



**MARY KAY McCOMAS**

**Ryzykowny związek**

Tytuł oryginału *Lovin' a Good Ol' Boy*

Przełożyła Izabela Kuligowska



## RYZYKOWNY ZWIĄZEK

*Może mój poziom ci nie odpowiada i dlatego nie chcesz ze mną zjeść kolacji?*

*Nie o to chodzi - odrzekła, czując się urażona i winna jednocześnie. - Przyznaję, że nie wiedziałam, jacy są tutejsi ludzie. Zawsze jednak uważałam, że...*

*Że jesteś odrobinę lepsza niż inni - przerwał jej szorstko, kończąc zdanie, zanim sama miała okazję to zrobić.*

*Przestań! - Mężczyzna wytrącił ją z równowagi. - Zawsze uważałam, że ludzie są wszędzie jednakowi. Oczywiście z wyjątkiem ciebie, bo ty jesteś źle wychowany, zarozumiały i podły.*

*Ja? - spytał ze zdumieniem. W jego oczach zapaliły się wesole ogniki. - Nie ma we mnie ani krzty podłości.*

*Stanął, wyciągnąwszy ramiona w bok, jakby chciał, żeby sama to sprawdziła. Wbrew własnej woli objęła wzrokiem zarys silnego, smukłego torsu. Kiedy ich oczy znów się spotkały na dłużej, wstrząsnął nią dreszcz najprawdziwszego pożądania.*

RS

*Dedykuję tę książkę chłopakowi  
z Południa, który został moim mężem.*

# Rozdział 1

AMBITNA, OBIECUJĄCA, PRZEDSIĘBIORCZA  
MŁODA KOBIETA, CZŁONEK KADRY KIEROWNI-  
CZEJ KORPORACJI...

- Nie - powiedziała głośno Anne Hunnicut, stwierdziwszy, że gazetowy nagłówek, który właśnie obmyśliła, nie opisuje jej dostatecznie. Zaczęła jeszcze raz:

DOŚĆ ATRAKCYJNĄ OBIECUJĄCĄ PRACOWNICĘ  
KORPORACJI - WYKSZTAŁCENIE WYŻSZE,  
OBSŁUGA KOMPUTERA - WŁAŚCICIELKĘ MIE-  
SZKANIA W ŚRÓDMIEŚCIU I NIEZŁEJ KOLEKCJI  
SZTUKI CHIŃSKIEJ ZNALEZIONO MARTWĄ  
W CZWARTEK WIECZOREM W OSTEPACH LEŚ-  
NYCH KENTUCKY.

- Szczegóły na stronie trzydziestej drugiej - dorzuciła jeszcze, całkowicie poddając się zwątpieniu.

Miała nadzieję, że jej szef, Calvin Schwab, do końca życia będzie dręczony przez wyrzuty sumienia, gdy się dowie, do czego ją doprowadził.

Stojąc gdzieś na końcu świata przy beużytecznym, plującym dymem samochodzie, Anne zastanawiała się, czy ciągle ryzyko także wchodzi w zakres jej obowiązków zawodowych.

- To nie jest takie straszne, Anne - rzekła do siebie, próbując podnieść się na duchu. Powiedziała to po cichu, by nie zbudzić bestii, kryjących się w pobliskich zaroślach.

Prawdę mówiąc, nie zauważyła jeszcze żadnych dzi-

kich zwierząt, była jednak dostatecznie przerażona, by wyobraźnia bez trudu podsunęła jej myśl, że są, patrzą na nią i czekają tylko na dogodny moment do zaatakowania.

- Gdybym znalazła się całkowicie bezbronna na środku Central Park w Nowym Jorku, wcale nie byłabym w lepszej sytuacji - pocieszała się, rzucając pełne obawy spojrzenie na szeregi olbrzymich drzew liściastych rosnących po obu stronach drogi. Wyglądały jak nieprzyjazne zielone olbrzymy.

Musiała przyznać, że koszmar, który stał się jej udziałem, zawdzięczała w głównej mierze sobie. W ciągu minionych kilku lat wielokrotnie miała możliwość podjęcia innej pracy. Postanowiła jednak udowodnić wszystkim, że pracując w korporacji Harriman Industries, potrafi być równie przydatna jak mężczyzna.

Przemysłem włókienniczym kierowali głównie mężczyźni o poglądach skrajnie szowinistycznych. I każdy z nich od początku do szczytu kariery pieścił w sercu głębokie przekonanie, iż w tej dziedzinie nie ma miejsca dla kobiet, chyba że w hali fabrycznej albo w biurze, przy maszynie do pisania. Kierowanie ludźmi to zawód dla mężczyzn. Tak zawsze było i będzie na wieki wieków. Amen.

Anne знаła tę śpiewkę na pamięć, lecz nic sobie z niej nie robiła. Od dzieciństwa próbowała dotrzymać kroku trzem starszym braciom. Jej uparte dążenie do „sprawdzenia się” w korporacji było rodzajem zabawy. Likwidacja fabryki włókienniczej nie jest chyba czymś gorszym niż wrzucenie na głęboką wodę, a to Anne miała okazję przeżyć jako dziesięcioletka.

Już od dłuższego czasu wszystkie poważne zadania, wszelkie intratne stanowiska przydzielano mężczyznom pracującym w biurze. Ją pomijano regularnie, podobno „z braku specyficznych umiejętności”. Anne wiedziała jednak równie dobrze jak wszyscy inni, że jedyną rzeczą,

której jej brakuje, jest właściwa mężczyznom przewaga androgenów. Była równie kompetentna jak każdy z pracowników Harrimana, tyle że nie potrafiła wypić pięciu szklanek szkockiej whisky i nie miała na swoim koncie podbojów seksualnych, które mogłyby się stać podstawą frywolnych opowieści.

Kiedy pojawił się problem zakładów włókienniczych w Webster, gotowa była błagać Calvina Schwaba, by właśnie jej przekazał tę sprawę. Zwlekał z decyzją tak długo, że straciła nadzieję. A jednak w końcu udało się go przekonać. Powiedziała, że jeśli nie powiodą się jej negocjacje z pracownikami, po powrocie przykuje się łańcuchami do komputera, a w wolnych chwilach zajmie się majsterkowaniem. No i patrzcie państwo! Z wściekłością kopnęła oponę pożyczanego samochodu.

Wtedy właśnie usłyszała warkot. Stało się to, czego się obawiała i o czym zarazem marzyła: drogą nadjeżdżał samochód.

Zwróciła się tam, skąd dobiegał hałas, czekając, co też wyłoni się zza zakrętu.

Spędziwszy całe życie na północ od Filadelfii i na wschód od Chicago, Anne nie miała pojęcia, czego może się spodziewać w Kentucky. Kierując się wiadomościami zdobytymi z filmów i opowieściami o Południowcach, sądziła, że wołałaby mieć z nimi jak najmniej do czynienia. Od biedy mogłaby popijać likier miętowy z miejscowymi pięknościami i wymieniać z nimi przepisy kulinarne, ale zucie tytoniu i spluwanie brązową śliną w ogóle nie wchodziło w rachubę.

Czarna, błyszcząca półciężarówka Ford z rykiem wyskoczyła zza zakrętu. Wyobrażała ją sobie inaczej; sądziła, że pojazd będzie starszy, upstrzony plamami farby podkładowej. Skoncentrowała uwagę na kierowcy: zatrzyma się i pomoże jej czy też nie?

Odetchnęła z ulgą, gdy samochód zaczął hamować kilkanaście metrów przed nią, a kiedy się okazało, że kierowca wygląda najnormalniej w świecie, odetchnęła znowu.

Nie miała zwyczaju wydawania pochopnych sądów o ludziach, ale nie знаła dotąd nikogo, kto mieszkałby w tej górzystej okolicy. Bała się. Jej strach był irracjonalny, to fakt, ale hydrofobia też jest irracjonalna. Czy ma sens, czy też nie, strach pozostaje strachem. Anne chciała być rozsądna i chętnie wierzyła w to, że inni ludzie też są tacy. Z drugiej jednak strony uważała, że ostrożność nie zawadzi.

Pierwsze, co rzuciło jej się w oczy, kiedy mężczyzna wysiadł z samochodu, było to, że nie miał przy sobie banjo ani dubeltówki. Anne głowę by dała, że Południowcy nigdzie się bez nich nie ruszają. Był wysoki, szczupły, szeroki w barach. Poruszał się tak leniwie, jakby dojscie do jej samochodu miało mu zająć cały dzień. Energicznym, szybkim krokiem wyszła na spotkanie.

Chwała Bogu, że się pan zatrzymał - powiedziała. - Już myślałam, że nigdy w życiu nie spotkam człowieka. Czuję się tak, jakbym tkwiła tu całe wieki.

- Dobry wieczór pani - odrzekł niskim, miłym głosem i uśmiechnął się ujmująco. - Jakiś problem z samochodem?

Zważywszy, że maska była podniesiona, drzwi otwarte, a nad drogą unosiły się obłoki pary i spalin, pytanie wydawało się raczej zbędne, ale mimo wszystko odpowiedziała:

- Och, głupi stary grat. Najpierw zapaliły mu się te małe czerwone światełka, potem zaczął kopcić, a wreszcie całkiem wysiadł. - Wiedziała, że w takich sytuacjach dobrze jest sprawiać wrażenie głupiej blondynki. Włosy miała wprawdzie kasztanowe, ale to nie miało większego znaczenia. Nieszkodliwa głupota zawsze najskuteczniej

apelowała do męskiej podświadomości i zachęcała panów do spieszenia z pomocą.

Poza tym Anne rzeczywiście nie знаła się na samochodach.

- Tata nauczył mnie zmieniać koło, ale nigdy nie mówił nic o kopczeniu - dorzuciła bezradnie.

Kiedy podszedł bliżej, miała okazję przyjrzeć się lepiej swemu wybawicielowi. Powiedzieć, że wyglądał zwyczajnie, byłoby nietaktem. Prawdę mówiąc, był wyjątkowo przystojny, choć nieco surową męską urodą. Pod czapką z napisem „Madę in America” widać było ciemne włosy zaczesane do góry, żeby nie spadały na twarz. Miał kwadratowy podbródek i wyraźnie zarysowane kości policzkowe. Prosty nos, pełne wargi. Rzeczywiście, jego usta mogły się podobać. Oczu nie było widać, bo przysłaśniały je ciemne szkła okularów.

Niby nic nadzwyczajnego, ale ta twarz robiła na Anne wrażenie. Miała, charakter, to pewne. I jeszcze cechy indywidualne, pojawiające się nawet na twarzach bliźniaków jednojajowych. Nie miała pojęcia dlaczego, lecz ta twarz z miejsca jej się spodobała.

Spokojnie przeszedł obok niej w kierunku otwartej maski samochodu i zajrzał do środka. Chyba znał się na rzeczy, bo zwrócił głowę w stronę dziewczyny i powiedział:

- Nie ma paska klinowego.

- Nie ma?

Słyszała coś niecoś o paskach klinowych. Miały zwyczaj się zrywać, a nie ginać.

- Pewnie zerwał się jakiś czas temu i zgubiła go pani. Mam zapasowy, ale nie będzie pasował do tego samochodu. Trzeba pojechać do miasta.

Zastanawiała się, co też to mogło znaczyć. W Nowym Jorku byłoby oczywiste, że należy znaleźć jakiś telefon i zadzwonić do warsztatu. Jeszcze dwie godziny temu



mogłaby to zrobić, ale teraz pozostawało jej tylko się modlić, że w Kentucky znajdzie się inne rozwiązanie.

- Czy to daleko? - spytała. - Nie bardzo wiem, gdzie właściwie jestem. Jechałam do Webster.

- Jakies dziesięć kilometrów tą drogą w kierunku Knott County - odrzekł, skinąwszy głową w tę stronę, w którą zmierzała, nim się jej popsuł samochód. - Jedzie pani z wizytą?

- Ach, nie. Jestem tu w pewnej sprawie.

Nie chciała mówić za dużo o celu swojej podróży. Bała się, że mógłby jej odmówić pomocy. Przypuszczała, że mieszkańcy Webster raczej nie powitają jej z otwartymi ramionami.

Wyglądał tak, jakby miał ochotę spytać, co to za sprawa. Nie zrobił tego jednak, za to zdjął okulary. Anne z trudem powstrzymała gwałtowną chęć włożenia mu ich z powrotem. Miał nieprawdopodobne oczy i brak okularów zmienił mu twarz całkowicie. Oczy były zielone, a może orzechowe. Nie kolor jednak, lecz raczej ich wyraz przyprawił ją o zawrót głowy.

Te oczy, bystre i przenikliwe, stanowiły kontrast z jego powolnymi, leniwymi ruchami. Wyrażały pewność siebie, która ją zaskoczyła. „Jestem taki, jaki jestem, i nie zamierzam się zmieniać” - czytała w tych oczach. Nigdy dotąd nie zdarzyło się jej spotkać kogoś takiego. Nie wyglądał na zarozumiałego, lecz był pewny siebie w sposób tak naturalny, że prawdopodobnie przyjąłby tytuł „Mężczyzny roku” bez mrugnięcia okiem, jako coś, co mu się z wyroku niebios najśluszniej należy.

Och, Anne знаła wielu bezczelnych mężczyzn. Wychowywała się z trzema - jej własnymi braćmi. Później zdarzało jej się poznawać mężczyzn zbyt dumnych, próżnych, często aroganckich. Ten był jednak inny. Był tak

natarczywie męski i traktował to w sposób tak naturalny, że mógł nawet byka przyprawić o rumieniec wstydu.

Stał, bezczelnie taksując ją wzrokiem jak ładny kawałek polędwicy wołowej u rzeźnika. Błysk rozbawienia w orzechowych oczach był denerwujący, a zuchwałość tego człowieka powoli wytrącała ją z równowagi. Świadoma sytuacji, w jakiej się znalazła, próbowała ignorować to spojrzenie.

Cierpliwość też ma jednak swoje granice. Prostactwo jest prostactwem bez względu na okoliczności. Powiedziała więc bez ogródek:

- Czy mógłby pan przestać mi się przyglądać?

- A dlaczego?

- A dlatego, proszę pana, że ten kawałek mięsa kosztuje więcej niż taki sam towar w tym cholernym Kentucky. Po prostu pana nie stać - odpowiedziała, kiedy jego impertynenckie spojrzenie zbyt mocno już działało jej na nerwy.

Uniół brwi, jakby zdziwiony i jednocześnie rozbawiony jej odpowiedzią.

Anne nie musiała tego znosić. Naprawdę nie musiała. Wyglądało na to, że będzie to najdłuższy, najbardziej szarpiący nerwy dzień w jej życiu. Boże, ależ on ma twarz. Może by jednak pójść do Webster i stamtąd sprowadzić pomoc? W towarzystwie nieznanego Anne czuła się niepewnie.

- Hej! A dokąd to? - zawołał, kiedy porwawszy z samochodu swoją torebkę, zaczęła się oddalać.

- Do Webster! Znajdę kogoś, kto będzie uprzejmy mi pomóc, zamiast się na mnie gapić. Nie lubię, gdy ktoś mi się przygląda! - odrzyknęła, nawet się nie obejrzawszy.

- W tych butach nigdzie pani nie dojdzie! - W głosie mężczyzny słychać było śmiech.

Anne zatrzymała się i spojrzała na wysokie obcasy

swoich pantofli. Potem obejrzała się na niego. Stał oparty o jej samochód, jakby nigdzie mu sienie spieszyło. Rękawy koszuli trzepotały od powiewu majowego wiatru. Z trudem łapiąc równowagę, Anne ściągnęła najpierw jeden, a potem drugi but, i ruszyła dalej boso. Przeszła za ledwie parę metrów, kiedy usłyszała za sobą odgłos szybkich kroków. Widziane w filmach obrazy zwariowanych Południowców stanęły jej w oczach. Mogła sobie wyobrazić jego drzewo genealogiczne. Proste jak pęd bambusa, którego puste wnętrze wypełnia strumień szaleństwa. Zaczęłyby biec, gdyby nie to, że w oczach mężczyzny nie znalazła śladu obłądu. Było wszystkiego w nadmiarze: pewności siebie, rozbawienia, przytomności umysłu, ale nie obłądu. Podświadomie czuła, że mądrzej by zrobiła, zostając z nim, niż uciekając.

Zeszywniała z oburzenia, gdy poczuła, jak palce mężczyzny ujmują jej ramię. Zwróciła twarz w jego stronę.

- Jezu! Wy, jankeskie dziewczyny, jesteście strasznie ostre - powiedział z uśmiechem. Tak się złożyło, że miał najbardziej seksowny uśmiech pod słońcem. Pełne, męskie usta rozchyliły się, ukazując równe, białe zęby, skóra wokół oczu zbiegła się w zmarszczki, a w policzkach ukazały się spore dołki. - Po prostu na panią patrzyłem. Czy u was to niedozwolone?

Anne nie zamierzała zniżyć się do odpowiedzi. Patrzyła w dół na opaloną dłoń, spoczywającą na jej ramieniu, ignorując uczucie łaskotania w żołądku i dzikie podskoki serca, wywołane dotykiem mężczyzny.

- No już dobrze, przepraszam - powiedział, puszczać jej rękę.

Dostrzegła, że spoważniał, a na jego twarzy w miejscu rozbawienia pojawił się wyraz szczerzej skruchy.

- Zachowałem się paskudnie.

To prawda.

Zakłopotanie nie bardzo do niego pasowało i być może dlatego trudno było odrzucić przeprosiny. Anne uśmiechnęła się.

- Czy patrzycie tak na wszystkie Jankeski? Może powinnam być na to przygotowana?

Zaśmiał się. Jego śmiech, głęboki i łagodny, dochodzący gdzieś z głębi piersi, wydał się Anne bardzo zmysłowy.

- Owszem, powinna pani być na to przygotowana. Niekoniecznie dlatego, że jest pani Jankeską.

Tym razem pełne uznania spojrzenie wywołało na twarzy Anne rumieniec. Mężczyzna starał się złagodzić wymowę swego spojrzenia domieszką szacunku i życzliwości. Powiedział po prostu komplement, nic więcej.

Poczuła się zażenowana swoją wcześniejszą reakcją, uśmiechnęła się i odwróciła wzrok.

- I tak jechałem do miasta. Jeśli pani poczeka, aż pozalatiem swoje sprawy, może się pani ze mną zabrać. Kupimy pasek, a w drodze powrotnej do domu naprawię samochód, zgoda?

W innej sytuacji, usłyszawszy taką propozycję, zdrętwiałaby ze strachu. Tak, ale w innej sytuacji nie miałyby w perspektywie samotnego oczekiwania na pomoc na pustej górskiej drodze. Przystała więc na ten plan.

Mężczyzna wyjął kluczyki ze stacyjki, a bagaż z tylnego siedzenia przeniósł do bagażnika. Następnie zawrócił w kierunku swojego samochodu i przytrzymał drzwi.

Choć podłoga półciężarówki znajdowała się zaledwie siedemdziesiąt centymetrów nad ziemią, o wyczynach, których dokonywała Anne, by dostać się do środka samochodu, można by napisać całe tomy. Prosty fason jej spódnicy nie przewidywał potrzeby wsiadania do półciężarówki. Ustawiała nogi na różne sposoby, aż wreszcie podciągnęła spódnicę wysoko na uda i spróbowała jeszcze raz. Kiedy i to nie pomogło, a jedynym sposobem, ja-

ki jej jeszcze pozostał, było wczółganie się do środka głową do przodu, dała za wygraną i niechętnie zwróciła się do swego towarzysza, oczekując pomocy.

Stał tuż za nią, nadal przytrzymał drzwi i przyglądał się jej z upodobaniem.

Był po prostu niemożliwy.

Anne nie przywykła czuć się tak całkowicie bezradna. Stała z rękami wspartymi pod boki, usiłując ratować resztki swej zgruchotanej godności i obserwując jak na jego twarzy pojawia się powstrzymywany z trudem uśmiech. Puścił drzwi, trzasnął obcasami, skłonił się jej z gracją i bardzo uprzejmie spytał:

- Czy można?

Poczuła, że z wrażenia mrówki jej chodzą po grzbiecie. Z westchnieniem zamknęła oczy. Nim zdążyła je znów otworzyć i zastanowić się, jak właściwie zamierza wpakować ją do samochodu, mężczyzna postąpił krok do przodu i oderwał jej ręce od bioder. Następnie w tym samym miejscu umieścił swoje dłonie, uniósł ją wysoko i posadził tak energicznie, że aż klapnęła na fotel. Zrobiło to na niej takie wrażenie, że równie dobrze mógł ją potrząsnąć jak grzechotką i postawić na głowie. Zaskoczył ją całkowicie.

Wkrótce było po wszystkim. Otworzyła oczy. Zupełnie bezwiednie położyła dłonie na ramionach mężczyzny, jego ręce nadal obejmowały jej talię. Ich twarze dzieliła teraz zaledwie odległość kilku centymetrów. Zieleń oczu ocienionych daszkiem czapki wydawała się teraz ciemniejsza i bardziej intensywna. Anne przełknęła z trudem ślinę, próbując uciszyć szalone bicie serca. Niejasno zdawała sobie sprawę z tego, że drżą jej ręce, lecz ich nie cofnęła.

Mężczyzna miał tak dziwny wyraz twarzy, że Anne patrzyła jak zahipnotyzowana, w nadziei, że uda się jej prze-

niknąć jego myśli. Zdawało się, że podejmuje właśnie ważną decyzję, pełen determinacji i owej pewności siebie, którą zauważyła u niego już wcześniej. Co dziwne, Anne miała wrażenie, że ta decyzja w jakiś sposób związana jest z jej osobą.

- Moja babcia hodowała kiedyś bratki w skrzynkach na werandzie. Pani oczy mają dokładnie ten sam odcień jak one. - Jego słowa, wypowiedane z lekkim południowym akcentem, brzmiały miękko i uderzały do głowy jak młode wino.

- Słucham? - Anne podobał się i głos, i sposób mówienia. Mogłaby słuchać całymi godzinami.

- Oczy. Pani oczy są tak piękne, jak kwiaty mojej babci. Bratki jego babci? To są właśnie te słodkie słówka,

przed którymi przestrzegali ją bracia i koledzy z pracy. Wciąż droczyli się z nią, ostrzegając przed mężczyznami, których pozna w swojej pierwszej ważnej podróży służbowej. Należało zignorować tę uwagę, lecz Anne poczuła się dziwnie poruszona. Być może za sprawą odmiennego akcentu, a może sposobu, w jaki nieznajomy na nią patrzył.

- Moje oczy... - Próbowała powiedzieć to zupełnie obojętnie, pełna nadziei, że usłyszy coś więcej.

- Uhm, są naprawdę piękne.

„Nie powinien się tak przyglądać” - pomyślała Anne, czując, że oblewa ją fala gorąca. Patrzył głęboko w jej oczy, jakby próbował przeniknąć je spojrzeniem. Po chwili odniosła wrażenie, że znalazł to, czego szukał. Odsunęła się spłoszona.

Nie próbował jej przytrzymać. Cofnął się i czekał, aż Anne schowa nogi do środka i będzie można zamknąć drzwi. Przejęta do głębi, kilka razy głęboko odetchnęła. Próbowała wokół siebie znaleźć coś, co ją uspokoi i zajmie jej myśli. Gdy mężczyzna okrążył samochód, by wsiąść od strony kierowcy, Anne zdążyła dostrzec w cie-

mnym wnętrzu wozu małą lodówkę i zawieszoną z tyłu strzelbę.

Nie znalazła więcej nic, co by się jej pomogło odprężyć. Tymczasem mężczyzna zgrabnie wsunął się do środka. Poczowała delikatny zapach wody po goleniu lub mydła, którego używał.

- Dobrze mieć długie nogi. Przy wchodzeniu. To znaczy przy wchodzeniu do samochodu. Dobrze, jak się ma długie nogi - wyjąkała, strasznie skrepowana tym swoim wyczuleniem na wszystko, co go dotyczy, włączając w to długie nogi.

Jego spojrzenie przesunęło się w dół, spoczęło na jej nogach i pozostało tam odrobinę za długo, nim znów spojrzał w górę i odrzekł:

- Taak.

Włożył z powrotem okulary przeciwsłoneczne, przekręcił kluczyk w stacyjce i włączył silnik. Ich milczeniu wtórowała cisza gęstwiny drzew zwieszających gałęzie nad drogą zamkniętą w szczelnym, zielonym tunelu. Anne wydawało się, że cierpi na klaustrofobię. Mężczyzna tak szczelnie wypełniał sobą kabinę, że dziewczyna z trudem mogła oddychać.

Analizowała niedawne wydarzenia, próbując się otrząsnąć z ogarniających ją uczuć. Miała wrażenie, że przekazano właśnie komunikat w jakimś nie znanym jej języku i musi koniecznie poznać ten język, by wszystko zrozumieć.

Może to jakiś urok? Zastanawiała się gorączkowo, czy tutejsi ludzie wciąż jeszcze zajmują się czarą magią. Górale znali kiedyś rozmaite czary i trucizny. Czytała gdzieś o tym, a książki zawsze w jakimś stopniu oparte są na faktach.

- Pani na długo?

- Słucham? - spytała nieprzytomnie, oderwana od swoich dziwaczych myśli.

- Czy długo pani tu zostanie? - powtórzył pytanie i spojrzał na nią dziwnie.

- Jeszcze nie wiem - odpowiedziała szczerze. „Mam nadzieję, że krótko” - dodała w myślach, patrząc przez okno na okolicę. Samochód osiągnął właśnie szczyt wzgórza i zaczął jechać w dół. Przed jej oczami rozpościerały się olbrzymie przestrzenie pokrytych lasem pagórków i dolin. - Myślę, że jeszcze nigdy nie widziałam tylu drzew. Tu jest naprawdę pięknie.

Mężczyzna przytaknął i dostrzegła, że patrzy na krajobraz z wielką dumą i czymś w rodzaju czci. Jej słowa najwyraźniej sprawiły mu przyjemność. To ją ucieszyło.

Całkiem niedawno las wydał się jej przerażający. Teraz strach minął. Już żadna bestia nie wypełnia zza drzewa, żeby zrobić jej krzywdę. Czuli się wystarczająco pewnie, by podziwiać piękną okolicę. Zieleń była tak bujna, soczysta. Nie widziała nigdy dotąd miejsca, które wyglądałoby równie zdrowo.

Zdrowo... Dziwne słowo przy opisie krajobrazu, a jednak odpowiednie. Ten kraj był potężny, mocny, tętniący życiem.

Ptaki rozpościerały skrzydła w kryształowo czystym powietrzu, wiatr delikatnie kołysał liście drzew. Zapach wiosennych kwiatów, których kwitło tu całe mnóstwo, znakomicie wpływał na jej samopoczucie. Przywykła do ziemi pokrytej betonem i asfaltem, a to, co widziała teraz wokół siebie, przypominało miasto w takim samym stopniu, w jakim woda, którą można kupić w sklepie spożywczym, poddana różnym procesom chemicznym, destylowana, sztucznie nasycona dwutlenkiem węgla, przypomina czystą wodę ze źródła.

- Czy pan mieszka tu od urodzenia? - spytała.



Pomyślała, że mężczyzna pasuje do tego miejsca i zastanawiała się, czy ona także pasuje do środowiska, w którym mieszka.

- Tak. Moja rodzina w czasie kryzysu przyjechała tu z Letcher County do pracy w fabryce. I tak już zostało.

- Myślał pan kiedyś, żeby wyjechać? - spytała świadoma tego, że być może za kilka tygodni będzie musiał to zrobić, żeby mieć z czego żyć.

- Wyjechać z Kentucky?

Przytaknęła.

- Prędzej dałbym sobie rękę uciąć - powiedział krótko z przekonaniem, które zdziwiło Anne, choć gniew, jaki słyszała w jego głosie, wcale jej nie zaskoczył.

Kiedy dojeżdżali do Webster, Anne wyglądała przez okno. Im bliżej miasta, tym więcej widać było domów, aż zwarte szeregi pojawiły się po obu stronach ulicy. Były wśród nich i murowane, i drewniane. Niektóre wyglądały porządnie, inne przypominały wysypiska śmieci. Wszystkie mniej więcej tej samej wielkości i utrzymane w jednakowym stylu. Żaden się nie przedstawiał szczególnie okazale. Pomyślała, że miasta przemysłowe wyglądają jednakowo w Pensylwanii, Nowym Jorku czy Kentucky. I wszędzie widać gołym okiem, że trudno zbić majątek, pracując w fabryce.

- Czy będziemy przejeżdżać koło motelu McKee?

- Tak, proszę pani, jeszcze kawaleczek.

- Gdyby pan mnie tam podrzucił, mogłabym zgłosić swój przyjazd w recepcji. Będzie pan mógł pozalać swoje sprawy, nie ciągnąć mnie wszędzie z sobą. Potem pan po mnie wróci.

- Dobrze, proszę pani.

Nie był szczególnie rozmowny. „Tak, proszę pani, nie, proszę pani”. Kiedy do niej mówił, czuła się, jakby miała dziewięćdziesiąt lat. Był na to prosty sposób.

- Mam na imię Anne.

- Buck - odrzekł.

Zamiast wysadzić ją przed hotelem, zawinął i zaparkował przed wejściem do recepcji. Kiedy wysiadł, Anne ześlizgnęła się na ziemię po swojej stronie.

- Udało się? - spytał, stojąc przed samochodem.

- Tak. Łatwiej wysiąść, niż wsiąść. - Uśmiechnęła się, dziękując za troskliwość.

- A szkoda - mruknął, nie kryjąc rozczarowania.

Anne wzniosła oczy i ciężko westchnęła. Jak można

być jednocześnie tak irytującym i tak sympatycznym?

Miała wrażenie, że bez względu na to, ile potrwa jej pobyt w Webster, zapamięta go na długo.

Nie weszła do recepcji, choć przytrzymał jej drzwi.

- Jeśli wiesz, ile ci zajmą twoje sprawy, mogę czekać przed hotelem - zaproponowała, nie chcąc absorbować go sobą bardziej, niż było to konieczne.

- Ze dwie godziny.

- Dobrze. Będę czekała.

Weszła do środka, pewna, że teraz Buck pójdzie już własną drogą. Oszłupiała ze zdziwienia, gdy podszedł do kontuaru i uderzył dłonią dzwonek przywołujący obsługę.

Zanim zdążyła oświadczyć, że nie potrzebuje asysty przy formalnościach meldunkowych, zza drzwi prowadzących na zaplecze wyszedł niski siwowłosy mężczyzna. Miał wąsy i rogowe okulary.

- Buck, stary draniu, tylko mi nie mów, że ty i Bryce znowu musieliście się podzielić - powiedział na przywitanie. W jego głosie dźwięczał śmiech.

Mężczyzna, który jej towarzyszył, zaśmiał się i chrząknął, nieco zażenowany.

- Tym razem nie, Jimmy. Teraz masz tu gościa na całą noc.

Być może powinna być wdzięczna, że od razu przed-

stawił ją jako kobietę, która spędzi w hotelu całą noc, a nie parę godzin. Poczula, że się rumieni.

- Skąd ty wytrzasnąłeś taką panienkę? - spytał właściciel motelu.

Rzucił w jej stronę przyjacielskie, domyślne spojrzenie. Widocznie mu się spodobała, bo pochyłony do przodu, oparł się na kontuarze. Nie odrywał od niej wzroku.

- Podrzuciłem ją do miasta.

Anne zamurowało. Zabrzmiało to tak, jakby była psem, który się przybłąkał.

- Dokładnie tak - powiedziała bez uśmiechu i obojętnie zwróciła się najpierw w stronę swego wybawiciela, a następnie w kierunku Jimmy'ego McKee. - Bo wcześniej popsuł mi się samochód.

- Ach, te samochody - westchnął starszy mężczyzna.

Rozpoczęli we dwóch długą rozmowę o tym, co właściwie wysiadło w samochodzie Anne, kto w mieście ma największy wybór pasków klinowych i że dokładnie to samo przydarzyło się jakiemuś starszemu panu spod Lexington.

Anne była osobą cierpliwą. Uważała nawet, że jest nadzwyczaj cierpliwa. Czyż nie wytrzymała w Harriman Industries dłużej, niż należało, po to tylko, żeby wszystkim coś udowodnić? Czyż na szosie nie usiłowała znieść zuchwalstwa tego mężczyzny? Czyż nie stała grzecznie z boku, kiedy rozprawiali w najlepsze, nie zwracając na nią najmniejszej uwagi? Ile jeszcze może znieść?

- Bardzo przepraszam - starała się, by zabrzmiało to możliwie najuprzejmiej - ale ja naprawdę chcę dostać pokój. Mam rezerwację.

- Pani Hunnicut.

- Skąd pan wie, jak się nazywam?

- Cóż, nieczęsto ktoś rezerwuje u nas pokój. Nasi goście to przyjezdni. No i od czasu do czasu jakiś brat w po-

trzebie - powiedział, mrugając porozumiewawczo w stronę Bucka.

- W potrzebie? - Patrzyła pytająco to na jednego, to na drugiego.

- Oni na zmianę...

- Dałbyś wreszcie pani klucz - uciał ze śmiechem jej wybawiciel. - Nie musi tego słuchać.

Właściciel motelu zaśmiał się, ale nie podjął przerwano wątku. Dał jej do wypełnienia druczek meldunkowy, następnie sięgnął po klucz wiszący na wieszaku.

- Anne Hunnicut. - Buck zerknął jej przez ramię. - Ładne nazwisko.

- Dziękuję, zawdzięczam je ojcu.

- Ja się nazywam LaSalle. Buck LaSalle.

- Buck LaSalle? - powtórzyła, czując, że nogi uginają się jej z wrażenia.

## Rozdział 2

Pokój nie przypominał w niczym apartamentów hotelowych u Ritza, był jednak czysty i wygodnie urządzony. Anne umyła twarz i ręce, nałożyła delikatny makijaż w nadziei, że to pomoże jej odzyskać równowagę. Nie pomogło.

Wyciągnęła się na zaścielonym łóżku, założywszy ręce pod głowę, i zaczęła obmyślać swoje przyszłe posunięcia wobec Bucka LaSalle'a.

„Że też właśnie on musiał być pierwszą osobą, którą spotkałam w Webster" - poskarżyła się na prześladowający ją pech. LaSalle i jego młodszy brat byli przewodnikami czy też, jak sami siebie nazywali, przedstawicielami sporej grupy robotników, którzy odmówili zarządowi nowojorskiej korporacji współpracy w planowanej likwidacji zakładu. Zażądali, by korporacja przysłała do Webster swojego przedstawiciela, który ich wysłucha. Oświadczyli, że jeśli kierownictwo chce zamykać zakład, to niech samo przyjedzie i zamyka. Oni w każdym razie zamierzają pracować normalnie tak długo, aż zostaną spełnione ich żądania.

Trzeba przyznać, że to robiło wrażenie. Zwłaszcza że wyszło od - jak się wyraził Calvin Schwab - gromady miejscowych. Jeśli dochodzi do zamknięcia fabryki, najczęściej przeprowadza się to po cichu. Jedynym powodem, który skłonił pana Harrimana do zajęcia się sprawą Webster, była obawa przed nadaniem całemu incydento-

wi niepotrzebnego rozgłosu w prasie. Chciał, by rzecz załatwić bez hałasu.

To było zadanie Anne. Jako pracownica działu księgowości miała także przejrzeć dokumenty finansowe, by się upewnić, czy wszystko jest w porządku. Anne mogłaby wyjaśnić robotnikom, dlaczego dalsze istnienie fabryki jest ekonomicznym nonsensem. Z tej właśnie przyczyny w Harriman Industries zgodzono się na jej wyjazd. Miała również poinformować robotników, w jaki sposób zarząd korporacji zamierza zrekompensować pracownikom skutki swej decyzji.

Gdzieś w głębi duszy żywiła nadzieję, że Buck LaSalle czystemu przypadkowi zawdzięcza fakt, iż jego list był napisany tak inteligentnie i wypadł przekonująco. Miała nadzieję, że jest jedną z tych osób, które potrafią się efektywnie zaprezentować, w rzeczywistości jednak wypadają błado.

Nie trzeba mówić, że Buck LaSalle pod każdym względem zawiódł jej oczekiwania. Nie grał na banjo, nie miał broni - poza tą w samochodzie - w każdym razie nie trzymał jej stale na ramieniu. Nie miał zaokrąglonego od piwa brzuszka. Nosił czyste ubranie. Nie żuł tytoniu, nie pluł. Miał nawet zęby. „A najgorsze ze wszystkiego - stwierdziła, myśląc o jego bystrych, przenikliwych, zielonych oczach - było to, że z pewnością nie należał do głupich. Zarozumiały i nieuprzejmy - tak, ale nie głupi.”

Podobał się jej. Widać było po nim, że jest uczciwy i można na nim polegać. Och, był bezczelny, zgoda. Intuicja mówiła jej jednak, że to tylko pozory, że pod nimi kryje się zupełnie inny, szlachetny charakter.

W każdym razie - Anne podjęła tę decyzję, siadając w łóżku - to, co czuje do Bucka LaSalle'a, nie może wpłynąć w jakikolwiek sposób na jej postępowanie. Po prostu okazał się bardziej zdecydowany i bystrzejszy, niż

to sobie przedtem wyobrażała. I co z tego? Anne ma sprawę do załatwienia. Nikt i nic jej nie powstrzyma. Przekonała się, że prawie w każdej dziedzinie sportu uporem można pokonać przewagę wzrostu, talentu czy doświadczenia. Da się to zrobić także w wypadku Bucka LaSalle'a.

Powtórzyła to kilka razy, umacniając się w przeświadczeniu, że podjęła słuszną decyzję. Dwie godziny, w czasie których Buck miał być zajęty, prawie upłynęły. Wkrótce będzie jej szukał i wtedy wszystko mu wyjaśni. Kiedy się dowiedziała, kim jest, dała mu dwadzieścia dolarów na pasek klinowy i pobiegła do swojego pokoju, zanim zdołał dostrzec jej zakłopotanie. Ale teraz była już spokojna. Na własną rękę załatwiła naprawę samochodu. Z Buckiem też sobie poradzi.

Jakby na zawołanie ktoś zapukał. Żeby dodać sobie odwagi, nim wstała z łóżka i otworzyła drzwi, walnęła pięścią w materac. Buck stał, wsparty dłońmi o framugę, kołysząc w palcach okulary przeciwsłoneczne. Dopiero teraz dostrzegła, że ma na sobie koszulę w szaro-niebieską kratę, a pod nią śnieżnobiały podkoszulek, widoczny w rozpięciu pod szyją, wytarte džinsy, dobrze dopasowane i precyzyjnie podkreślające zarys nóg i bioder. Z trudem przełknęła ślinę. Potem zobaczyła promienny uśmiech i poczuła ściskanie w dołku.

To, że był bardzo męski, nie stanowiło dla Anne żadnej rewelacji, lecz odkryła w sobie nieznane doznania i czuła się za ich sprawą coraz bardziej zagubiona. Większość dnia spędzała przecież w towarzystwie mężczyzn, przywykła do bliskich, codziennych kontaktów. Ale nigdy nie czuła się tak bezbronna, tak... kobieca, jak wtedy gdy stała twarzą w twarz z Buckiem LaSalle'em.

- Jesteś już gotowa? - spytał z uśmiechem, zupełnie nieświadomy tego, że w ciągu ostatnich dwóch godzin wszystko się między nimi zmieniło. Objąwszy ją spojrze-

niem, napotkał ponury wzrok. Uśmiech zastygł mu na wargach.

Anne, zakłopotana, zachmurzyła się i spuściła głowę. Zapomniała włożyć z powrotem pantofle. W pogniecionym ubraniu, z bluzką wypuszczoną na spódnicę z pewnością na wyglądała na kogoś, kto właśnie dokąś się wybiera.

Wyprostowała się, rozejrzała i dopiero wtedy przeszła do rzeczy.

- Panie LaSalle...

- Mam na imię Buck.

- Buck. Hmm... Naprawdę bardzo mi dzisiaj pomogłeś. To miło z twojej strony. Sprawiał ci i tak wiele kłopotów, więc naprawę samochodu załatwiłam już na własną rękę.

Teraz on z kolei zmarszczył brwi i wyglądał na zdezorientowanego.

- Nie rozumiem, o czym mówisz.

Podczas twojej nieobecności poprosiłem pana McKee, żeby zadzwonił do warsztatu. Założą nowy pasek i podstawią mi samochód.

Był wyraźnie dotknięty.

- Ale dlaczego tak zrobiłaś?

Wiedziała, że to nie było w porządku. Westchnęła.

- Naprawdę, jestem ci bardzo wdzięczna. Byłam śmiertelnie przerażona, tkwiąc zupełnie sama na pustej drodze. Chodzi o to - wyrzuciła z siebie wreszcie - że nie chcę już mieć wobec ciebie żadnych dodatkowych zobowiązań.

- Zobowiązań?

- Długów wdzięczności.

Dopiero teraz naprawdę go rozzłościła. Pięknie! W ciągu niespełna minuty sprawić komuś przykrość, a potem



jeszcze go obrazić. Z pewnością nie wyczytała tego w poradniku „Jak zapewnić miłą atmosferę w miejscu pracy”.

-Nie spodziewałem się żadnych świadczeń w zamian za swoją pomoc. Jeśli ciągle ci chodzi o sposób, w jaki wtedy na ciebie patrzyłem, to się dowiedz, że jedno z drugim nie ma nic wspólnego. Pomógłbym ci nawet, gdybyś była brzydka jak noc.

- Wiem, że byś mi pomógł. Może nie potrafię tego wyjaśnić. Buck, ja... powinnam ci powiedzieć, kim jestem. Wtedy zrozumiesz, o co mi chodzi.

Jego gniew nieco opadł. Rękę, w której trzymał okulary, opuścił na biodro, drugim ramieniem wsparł się o framugę i patrzył na dziewczynę niecierpliwie w oczekiwaniu wyjaśnień.

- Pracuję w dziale finansowym Harriman Industries. Przyjechałam tu, żeby zamknąć waszą fabrykę.

Nie lubiła niczego owijać w bawełnę. Woląla wyjaśnić do końca wszystkie nieprzyjemne sprawy. Stał zupełnie bez ruchu.

- Teraz już wiesz - powiedziała, zastanawiając się, czy rzeczywiście pojął znaczenie jej słów.

Potrząsnął głową.

- Nie wiem, co to może mieć wspólnego z założeniem nowego paska w samochodzie.

- Może nie ma nic wspólnego. - Mówiąc te słowa, czuła się trochę głupio. - Chodzi mi o to, że gdybyś wiedział, kim jestem, pewnie nie zechciałbyś mi pomóc.

- No, no! I twierdzisz, że to ja jestem źle wychowany. - Odwrócił wzrok, jakby nie chciał na nią patrzeć. Anne poczuła bolesny ucisk w sercu. Kiedy w końcu zwrócił twarz w jej stronę, widać było, że kipi ze złości. - Nie jestem jakimś wysztafirowanym miejskim elegantem, który widzi tylko czubek własnego nosa. Jeśli ktoś potrzebuje pomocy, to po prostu mu pomagam. Jak myślisz, Annie,

czy często ktoś z Północy przyjeżdża tu, do Webster, w sprawach służbowych?

Wzruszyła ramionami.

- Nie ma pojęcia.

- Prawie nigdy.

Powiedziawszy te słowa, odwrócił się, by odejść. Anne powstrzymała go, dotykając wyciągniętą ręką jego ramienia.

- To znaczy, że od początku wiedziałeś, po co tu przyjechałam, i mimo wszystko mi pomogłeś?

Nie odezwał się, ale z jego twarzy wyczytała odpowiedź twierdzącą.

Anne czuła się jak zwinięta w kulkę papierowa serwetka, którą ciśnięto na podłogę ubikacji. Z wysiłkiem podniosła wzrok i spojrzała w oczy mężczyzny.

- Buck, jest mi strasznie wstyd, przepraszam cię. Nie miałam prawa przypuszczać, że mógłbyś być tak mało-  
stkowy i pozbawiony skrupułów.

- Rzeczywiście, nie miałaś prawa - przyznał.

Patrzyła, jak odchodząc, mija róg niższego budynku

motelu i kieruje się w stronę ulicy. Wróciła do siebie, zamknęła drzwi, po czym rzuciła się na łóżko. Odetchnęła głęboko, ramiona opuściła bezwładnie. Nie chciała go urazić. Próbowwała po prostu przywrócić ich stosunkom właściwy wymiar.

Odkąd tu przyjechała, popełnia błąd za błędem. Jeśli nadal będzie oceniać ludzi według standardów, do których przywykła, zrazi do siebie całe miasto. Teraz, kiedy zdawała sobie sprawę, że Buck cały czas wiedział, z kim ma do czynienia, jego akt dobrej woli robił jeszcze większe wrażenie. Nigdy dotąd nie czuła się tak nędznie.

Wzdrygnęła się, zaskoczona, gdy ponownie rozległo się pukanie.

Z bijącym sercem zobaczyła stojącego w progu Bucka.

Skierowała wzrok na przedmiot, który trzymał w ręce, i skóra na niej ścierpła. Buck bez słowa, z kamienną twarzą, podał jej pasek klinowy i resztę z pięćdziesięciodolarowego banknotu.

Anne wzięła pasek i zacisnęła palce Bucka wokół trzymanyh w dłoni pieniędzy.

- Przyjmij to za fatywę. Bardzo cię proszę.

- Nie potrzebuję wsparcia... na razie.

- To nie jest wsparcie. Tam, na drodze, naprawdę uratowałeś mi życie i... i musiałeś specjalnie pojechać po pasek, i w ogóle...

Minąwszy ją, wszedł do pokoju, z rozmachem położył pieniądze na małym stoliku stojącym przy drzwiach i znów wyszedł na zewnątrz.

- Nie jestem chamem, nie musisz mi płacić za przysługę.

- Chciałabym jednak zrewanżować się jakoś za twoją uprzejmość. Wynagrodzić ci to, że tak źle o tobie myślałam, tylko nie wiem jak.

Spojrzał na nią z namysłem.

- Możesz zjeść ze mną kolację.

- Nie - powiedziała może zbyt gwałtownie. - Dziękuję, ale nie uważam, żeby to był dobry pomysł.

- Dlaczego nie?

- Myślę, że nie powinniśmy dążyć do uzgodnienia naszych stanowisk, widując się prywatnie.

Zmarszczył ciemne brwi, jakby nie rozumiejąc, o co jej chodzi.

- Zapropnowałem ci tylko kolację, nic więcej, Annie.

- Mam na imię Anne.

- Chyba że twoja skrucha nie była szczera i w głębi duszy uważasz, że postanowiłem z naszego spotkania wyciągnąć nie wiadomo jakie korzyści.

Anne zawahała się. Prawdę mówiąc, nie wiedziała już, co rzeczywiście myśli.

Nie otrzymawszy odpowiedzi, Buck przyjrzał jej się uważnie.

- A może to chodzi o coś innego. Może po prostu masz mnie za głupkowatego wieśniaka, który do trzech nie potrafi zliczyć. Mam rację?

- Nie!

- Może mój poziom ci nie odpowiada i dlatego nie chcesz ze mną zjeść kolacji?

- Nie o to chodzi - odrzekła, czując się urażona i winna jednocześnie. - Przyznaję, że nie wiedziałam, jacy są tutejsi ludzie. Zawsze jednak uważałam, że...

- Że jesteś odrobinę lepsza niż inni - przerwał jej szorstko, kończąc zdanie, zanim sama miała okazję to zrobić.

- Przestań! - Mężczyzna wytrącił ją z równowagi. - Zawsze uważałam, że ludzie są wszędzie jednakowi. Oczywiście z wyjątkiem ciebie, bo ty jesteś źle wychowana, zarozumiała i podły.

- Ja? - spytał ze zdumieniem. W jego oczach zapaliły się wesołe ogniki. - Nie ma we mnie ani krzty podłości.

Stanął, wyciągnąwszy ramiona w bok, jakby chciał, żeby sama to sprawdziła. Wbrew własnej woli objęła wzrokiem zarys silnego, smukłego torsu. Kiedy ich oczy znów się spotkały na dłużej, wstrząsnął nią dreszcz najprawdziwszego pożądania.

- Rozumiem, że przyznajesz się do zarozumiałstwa i złego wychowania.

- Oczywiście - rzucił bezwstydnie. - Ale ja jestem swój chłop, i na tym między innymi polega mój wdzięk.

- Nie nazwałabym tego wdziękiem.

Widziała iskry śmiechu w jego źrenicach. Drażnił się z nią świadomie, sprawdzał ją i był zadowolony z reakcji.

- To dlatego, że jeszcze dobrze mnie nie znasz... na razie. Zła, westchnęła głęboko, potem niespokojnie przestała z nogi na nogę i rzuciła mu chłodne spojrzenie.

- Naprawdę nie lubię, kiedy ktoś się ze mną bawi, panie LaSalle. Nie mam czasu na takie głupoty. Skoro rzeczywiście z pana taki „swój chłop”, to dlaczego nie da mi pan spokoju? To prawda, że pana obraziłam. Jest mi przykro. Chciałabym to panu jakoś wynagrodzić. Jeśli jednak w czasie tej wspólnej kolacji mam być narażona na złośliwe uwagi, wyśmiewanie się z mojej pracy i z mojego pochodzenia, to lepiej od razu dajmy sobie spokój. Jutro rano usiądziemy i przedyskutujemy wszystkie pańskie problemy związane z likwidacją fabryki. Dojdziemy do porozumienia i potem będę już mogła zająć się swoją pracą.

- Annie, Annie. - Wzniósł ramiona w górę, jakby chodziło mu o coś zupełnie innego. - Wszystko to wygląda bardzo dobrze z twojego punktu widzenia. A czym ja się zajmę, jeśli zlikwidujecie mi fabrykę? - Uniósł brwi. - Umówmy się, że fabryka nie ma nic wspólnego z naszą kolacją.

- Nie ma?

Wcale nie chciała, by jej słowa zabrzmiały tak podejrzliwie.

Mężczyzna trochę dziwnie wymawiał końcówki wyrazów, ale poza tym bardzo zręcznie sobie poczynał.

-Nie, proszę pani. Kolacja będzie całkowicie prywatna. Za to, że zraniła mnie pani tak śmiertelnie. - Usiłował przybrać pompatyczną pozę, ale nie bardzo mu wychodziło.

- Dobrze, już dobrze, pójdę - powiedziała ze śmiechem. - Mam nadzieję, że nie zboczysz krwią całej restauracji?

- Och, nie, proszę pani - odparł z uśmiechem, na widok którego Anne uznała, że bezpieczniej będzie się odwrócić, nim nogi odmówią jej posłuszeństwa, i gorliwie zaczęła szykować się do wyjścia.

Wyszedszy z łazienki, stwierdziła, że Buck wszedł do pokoju i zamknął za sobą drzwi. Poczowała się niezręcznie,

że nie zaprosiła go wcześniej. Przebywanie z nim w jednym pokoju strasznie ją krępowało. Mimo że kabina samochodu była mniejsza, tu wydawało się bardziej intymnie. Na mężczyźnie ten nagle wspólny pokój, w którym oddzielało ich jedynie łóżko, zdawał się nie robić żadnego wrażenia.

- O to właśnie chodziło - powiedział, znów się uśmiechając tym swoim uśmiechem. Podał jej rękę, a idąc do drzwi, dorzucił: - Dzisiaj zjemy razem kolację, a... wspólne stanowiska uzgodnimy któreś innej nocy.

Anne się zawahała. Czyżby rzeczywiście nie zrozumiał określenia „uzgodnić pozycje”? Zadrzała na myśl o czekającym ją wieczorze. Podniósłszy wzrok, zobaczyła, że Buck patrzy na nią przez ramię, ma wesołe oczy, a na wargach kpiący uśmiech, z którym jest mu bardzo do twarzy.

- Przyznaj, że cię trochę przestraszyłem.

- Ależ skądże.

Gładko przełknął jej oczywiste kłamstwo i zyczliwie mówił dalej:

- Mamy przed sobą mnóstwo czasu na spory dotyczące fabryki, Annie. Dziś będziemy po prostu pracownikami Harrimana, którzy wspólnie spędzają wieczór.

- Zgoda.

Była skoncentrowana na odczuwaniu ciepła promieniującego z palców, którymi lekko ujął jej dłoń. Wydawało się, że trzymanie za rękę osoby właściwie zupełnie obcej jest dla niego czymś naturalnym. Z nią było inaczej. Czują się skrępowana, ale nie cofnęła ręki.

Śmiejąc się oświadczył, że czeka z niecierpliwością na chwilę, w której znów będzie mógł jej służyć pomocą przy wsiadaniu do samochodu.

Ją także rozbawiła la myśl.

- Zostań tu, a ja poproszę Jimmy'ego, żeby zajął się

twoimi bagażami, kiedy przyprowadzą samochód - powiedział do niej przez otwarte okno.

- Och, nie ma takiej potrzeby. Gdyby mógł po prostu odebrać klucze od mechanika, sama zajmę się później bagażem.

Buck pokręcił głową.

- Jimmy to swój chłop. Z przyjemnością wyświadczy ci tę przysługę.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, wszedł już do recepcji. Anne mogła przez ten czas wrócić do równowagi, przypomnieć sobie, kim właściwie jest i czego oczekuje od życia.

Nie ulegało wątpliwości, że Buck LaSalle jest przystojnym mężczyzną i że silnie na nią działa. To zrozumiałe, że ktoś taki jak on mógł zrobić na niej wrażenie, lecz wiązanie się z nim byłoby czystym szaleństwem. Z pewnością taki... jak on o sobie mówił?... swój chłop nie był jej potrzebny do szczęścia.

- Panie Boże, zmiłuj się - szepnęła, zastanawiając się jeszcze raz, w co się właściwie pakuje.

Jedynym skutkiem, jaki odniosły te przemyślenia, było wzmożone poczucie ciasnoty, które powróciło, kiedy Buck zajął swoje miejsce w samochodzie.

- Okay. Mamy do wyboru restaurację wło... ską - powiedział, przeciągając środkową samogłoskę - albo amerykańską. Wybór należy do ciebie.

Anne się uśmiechnęła.

- Wybór między pizzą a hamburgerem?

Spojrzał na nią uważnie, niemile zdziwiony tą kpina, ale zrzęcznie ją odparował.

- Wkrótce zasile- rzeszę bezrobotnych - zauważył z uśmiechem. - Nie sądzisz chyba, że zamierzam wydać majątek na frykasy dla babki, która się uparła, żeby wyrzucić mnie z pracy.

- Świetnie cię rozumiem. Możemy iść dokądkolwiek.  
- Bardzo lubię takie łatwe kobiety - odrzekł z głupim uśmiechem.

„Nie jestem taka łatwa, jak sądzisz, mój panie” - jej myślom towarzyszył potężny warkot włączonego silnika samochodu. Anne stwierdziła, że czuje się znakomicie. Zwykła czerpać przyjemność z tego, co logiczne i oczywiste. Na przykład Buck LaSalle. W poczuciu wyższości człowieka przywykłego do obcowania z ludźmi bardziej skomplikowanymi, stwierdziła, że poradzi z nim sobie bez specjalnego trudu. Był mniej więcej tak samo subtelny jak pięciokilowy odważnik.

- Czy twój brat jest bardzo do ciebie podobny? - spytała, ignorując wzmiankę o „łatwej kobiecie”.

Zastanawiała się właśnie, czy da sobie radę z oboma braćmi LaSalle naraz. W raporcie, który otrzymała przed odjazdem, niewiele miejsca poświęcono młodszemu z braci. Tyle tylko, że jest ktoś taki i że także pracuje w fabryce.

- Bryce? - Zastanawiał się przez chwilę. - Zdaje się, że tak. Jest spokojniejszy niż ja, ale to równy chłopak.

„Spokojniejszy!” - ucieszyła się Anne, a głośno zapytała:

- Domyślam się, że jesteście sobie bardzo bliscy, prawie nierozłączni.

Buck się roześmiał.

- Od czasu do czasu pracujemy razem i mieszkamy w jednym domu. Ale poza tym jesteśmy zdecydowanie... rozłączni. Rozglądamy się za odpowiednią kobietą, z którą mógłby się ożenić. Wtedy będzie musiał się wyprowadzić i znaleźć sobie własny kąt.

- Czyżbyście nie zgadzali się z sobą? - Mogłaby przyjąć, że jest odwrotnie.

- Zgadza się doskonale. Zawsze tak było. Ale jeśli



dwóch dorosłych mężczyzn mieszka pod jednym dachem, to w pewnym sensie wchodzi sobie w drogę. - Tu nastąpiła znacząca pauza. - On ogranicza moją swobodę, jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

Zrozumiała, ale uznała, że dalszy komentarz jest zbyt cenny.

- Ile masz lat? - zapytał ni stąd, ni zowąd, jakby się zastanawiał, czy mogłaby stanowić odpowiednią partię dla jego brata.

- Pewna, że tak nie jest, odrzekła:

- Za kilka tygodni skończę dwadzieścia osiem.

- Ile masz dzieci?

- Wcale nie mam dzieci.

Rzucił jej pełne zdziwienia spojrzenie:

- Byłaś kiedyś mężatką?

- Nie.

Zmarszczył brwi, ale nie oderwał wzroku od szosy. Anne słyszała niemal, jak jego umysł pracuje gorączkowo, analizując jej odpowiedź.

Dlaczego nie? - zapytał, nie przejmując się tym, że wtrąca się w nie swoje sprawy.

Nie spotkałam dotąd odpowiedniego mężczyzny.

Gwałtownie uniósł brwi i wydawał się zaskoczony, jakby uznał, że nie jest to wystarczający powód, by wyglądająca dość przyzwoicie kobieta w okolicy trzydziestki nie miała męża ani dzieci. Mimo to nie skomentował jej odpowiedzi.

A ty? - spytała w przekonaniu, że ma teraz do tego prawo i śmiało może być równie wścibska jak on. - Czy nie powinieneś zadzwonić do żony i powiedzieć, że nie przyjdiesz dziś do domu na obiad?

Nie.

Czyżbyś i ty nie był żonaty? - powiedziała, udając kompletnie zaskoczoną, i uśmiechnęła się figlarnie.

Wziął ostry zakręt, potem spojrział na nią z uśmiechem, od którego ścisnęła ją w dołku i rzekł:

- Nie. Już nie.
- Przepraszam.

Wzruszył ramionami.

- To było dawno temu.

Nie odniosła wrażenia, że strata żony szczególnie go dotknęła lub że czuł potrzebę dalszych wyjaśnień. Po prostu znowu zmienił temat.

- Gdzie chodziłaś do szkoły?
- Chcesz znać mój życiorys?

- No cóż, ty miałaś moje akta personalne. I mojego brata. Po prostu jestem ciekaw, z kim przyjdzie nam się zmierzyć.

- W stanie Pensylwania. A dyplom zrobiłam na Uniwersytecie Columbia.

Gwizdnął przeciągle.

- I od tego czasu pracujesz dla Harrimana?

Anne przytaknęła. Długie sześć lat szarpiącej nerwy pracy w Harriman Industries zbliżało się do końca. Udowodniła wszystkim, że jest w stanie podołać każdemu zadaniu, które poprzednio uważano za typowo męskie. Teraz już mogła odejść i poszukać sobie innej pracy. Tak postanowiła.

- Z twoich dokumentów wynika, że pracujesz dla Harrimana znacznie dłużej - podjęła tonem przyjacielskiej pogawędki.

- Trochę tu, trochę gdzie indziej, ale jednak głównie tu - od chwili gdy skończyłem piętnaście lat.

Policzyła szybko w myśli. Wyszło jej siedemnaście. Siedemnaście lat pracy w jednym przedsiębiorstwie. To w dzisiejszych czasach coś. Dobrze mu się wiodło. Szyli ko awansował na stanowisko szefa zmiany, została przedstawicielem związku zawodowego. Wiedziała, że w fa-

bryce byli ludzie z dwukrotnie dłuższym stażem pracy, ale to mimo wszystko długo. Ten fakt tłumaczy, przynajmniej w części, ich sprzeciw wobec likwidacji zakładu.

- Tu w okolicy praca w fabryce to jedyna możliwość zatrudnienia- powiedział, jakby czytając w jej myślach.

- Chyba że masz bogatego tatę. Wtedy wyjeżdżasz do college'u i nigdy tu nie wracasz.

Anne wydawało się, że słyszy nutkę goryczy w jego głosie, ale twarz zwrócona w jej stronę wydawała się pogodna. Potem dorzucił z uśmiechem:

- Oczywiście ten, kto wyjedzie, automatycznie traci prawo do łowienia ryb w najlepszych miejscach.

- Domyślam się, że to ciężka strata.

- Najcięższa. - Jego błady uśmiech mówił, że kara była niewspółmiernie wysoka do przewinienia.

Jadąc przez miasto, minęli kilka restauracji. Anne była gotowa wejść na życzenie swojego partnera do którejkolwiek z nich. On jednak minął je wszystkie i zatrzymał się dopiero w oryginalnej, małej jadłodajni w handlowej części śródmieścia. Jej wystroju dopełniały obrusy w biało-czerwona kratkę i świece zatknięte w butelki po winie.

- To jest urocze miejsce, ale równie dobrze moglibyśmy zjeść w jakimś barze. - Mówiąc te słowa, wdychała z lubością zapach czosnku, drożdży i oregano. Ślinka pociekła jej do ust.

- Jestem innego zdania - pokręcił głową Buck i wyrecytował swoje życiowe credo:- Mam zaufanie do szybkich samochodów, kobiet z temperamentem, seksu bez pośpiechu i prawdziwego jedzenia.

- W tej kolejności? - spytała bez zdziwienia.

Musiał sobie przemyśleć odpowiedź.

- Na ogół tak. Samochody zazwyczaj dłużej pozostają szybkie niż kobiety namiętne, zresztą tu mógłbym zmienić

kolejność. A seks wyzwala we mnie prawdziwy głód.  
A w tobie?

Zajęta roztrząsaniem w myślach rewelacji, które ogłosił, nie dosłyszała pytania.

- Co we mnie?
- Czy w czasie stosunku wzmacnia się twój apetyt?
- Na jedzenie?
- Taak - odparł, śmiejąc się z jej zakłopotania.

W głowie czuła całkowitą pustkę. Nie była w stanie przypomnieć sobie, czy bywa w takich razach głodna, czy też nie. Prawdę mówiąc, ledwie pamiętała, jak się nazywa, kiedy tak siedziała wpatrzona w zielone oczy, które migotały i błyszczały jak drogocenne kamienie, hipnotyzowały ją i pochłaniały jej całą uwagę.

Buck nie powrócił już do swojego pytania. Milczenie między nimi gęstniało, rodząc uciążliwe napięcie. Anne wydawało się, że ma serce w gardle. Na próżno próbowała je przełknąć. Zabrakło jej tchu, czuła, że się dusi.

W rozpaczliwej próbie ratowania życia wypuściła haust wstrzymywanego powietrza, mówiąc pierwszą rzecz, jaka jej przyszła do głowy.

- Mój brat, Charles, jest księdzem.

Buck w pierwszej chwili oniemiał. Zaśmiał się. Potem roześmiał się głośniej. Ten cudownie szczery, czysty śmiech sprawił jedynie, że Anne poczuła się jeszcze bardziej głupio. Och, nie znosiła tego!

Co, u licha, strzeliło jej do głowy, żeby wspominać o Charlesie? Nie był przecież rodzinnym talizmanem, a jednak wspominając w tej chwili jego imię i stan kapłański, zdołała zniszczyć urok, jaki rzucił na nią Buck.

- Niech pan posłucha, panie LaSalle.
- Buck.

- Posłuchaj, Buck. Jak się czuję po stosunku, to naprawdę nie twoja sprawa.

- Masz rację. Przepraszam. - Wcale nie wyglądał na skruszony. - Pomyślałem tylko, że być może powinienem na wszelki wypadek zgromadzić jakieś zapasy.

- Nie ma obawy. Nie zamierzam zostać tu aż tak długo.

- To nie potrwa długo.

Boże, czy ten człowiek nigdy nie rezygnuje?

- Owszem, trwa, jeśli lubisz seks bez pośpiechu - odrzekła głosem ociekającym słodyczą.

Pojawienie się kelnerki, która przyjęła ich zamówienie, wybawiło Bucka od konieczności odpowiedzi. Zanim jednak odwrócił wzrok, Anne zdołała dostrzec w jego oczach błysk aprobaty lub, być może, wyzwania. A niewykluczone, że i jednego, i drugiego. Tak czy inaczej cieszyła się, że skończyli ten temat. Czują, że stąpa po kruchym lodzie.

Manicotti, które zjadła, było pyszne, jej towarzysz nastawiony pokojowo, a słońce chowało się za obramowane lasem wzgórza otaczające dolinę. Wystrzegą się tematów, które dotyczyły spraw intymnych, on z kolei unikał wszystkiego, co miało jakikolwiek związek z fabryką.

Normalnie Anne uważałyby, że nie pozostało im wiele tematów do rozmowy. W jej mniemaniu robotników z tych południowych, rolniczych obszarów interesowało niewiele spraw poza samochodami, pracą, kobietami i ulubioną dyscypliną sportu. Ale Buck był dobrze zorientowany w wielu zagadnieniach, począwszy od rolnictwa i folkloru, a na historii i polityce lokalnej oraz światowej skończywszy.

- Właściwie byliśmy jednym ze stanów południowych - mówił jej, kiedy jechali w ciemnościach w kierunku motelu. - Niewolnictwo było tutaj legalne. Ale jako stan pograniczny mieliśmy też bardzo wielu abolicjonistów i poza tym nigdy nie wystąpiliśmy z Unii. Walczyliśmy po obu stronach, brat przeciwko bratu.

W małej kabinie półciężarówki było ciepło i przytulnie, choć wieczór, jak to bywa pod koniec maja, stawał się coraz chłodniejszy. Znakomite jedzenie, dwie szklanki wina wypitego do kolacji i przyjemny tembr głosu Bucka sprawiły, że Anne odprężyła się i zapadła w stan błęgiego zadowolenia. Szkoda, że wieczór, podczas którego Buck nie zdołał powiedzieć ani słowa na temat wędkarstwa, polowań czy futbolu, miał się wkrótce skończyć. Anne dziwiła się w głębi serca, że ktoś tak nieokrzesany jak Buck może być zarazem tak uroczym kompanem. Niechętnie przyznała, że czuje do niego coś więcej niż zwykłą sympatię.

- Pewnie wiesz o tym, że z tych stron pochodzili i Lincoln, i Davis. Urodzili się w odstępnie niespełna roku, w odległości niecałych stu mil od siebie. Zawsze mnie to frapowało. - Buck jeszcze raz rozważał tę dziwną zbieżność.

- Tak, to rzeczywiście bardzo interesujące - przyznała Anne, zbyt nim oczarowana, by mogły ją obchodzić zbiegi okoliczności.

Mało byłoby powiedzieć, że nigdy dotąd nie spotkała kogoś takiego jak on, kto fascynowałby ją i intrygował jednocześnie. W jednej chwili był ucieleśnieniem typowej amerykańskiej gruboskórności, a za moment inteligentnym, fascynującym mężczyzną.

Serce Anne ścisnęło się z żalu, gdy ujrzała w oddali światła motelu. Nie miała ochoty na zakończenie wieczoru. Jutro znów będą parą ludzi zatrudnionych u Harrimana, z tą jednak różnicą, że on będzie robotnikiem, a ona kimś z dyrekcji. Oddzieli ich linia frontu głęboka jak przepaść i długa... Odpowiednio długa. Nie była przygotowana na to, by z nim walczyć. Jeszcze nie teraz.

W pewnym sensie żałowała, że zjedli razem kolację. O ileż prostszy byłby ich spór o likwidację zakładu, gdy -

by nadal sądziła, że ma przed sobą nierozgarniętego wieśniaka. Teraz, gdy go знаła, gdy był dla niej człowiekiem z krwi i kości, zadanie, które ją czekało, było sto razy trudniejsze.

- Annie? - odezwał się, kiedy przecinał parking, jadąc obok recepcji do jej pokoju mieszczącego się po drugiej stronie budynku.

- Hmm? - Pomyślała, że nikt jej jeszcze tak nie nazywał.

- To dotyczy jutrzejszego wieczoru. Mamy w planie zebranie związkowców. Stwierdziliśmy, że lepiej będzie, jeśli głośno wypowiemy nasze skargi. Spodziewamy się, że w ten sposób powstanie mniej zamieszania. - Powiedział to z napięciem w głosie, jakby zdał sobie sprawę, że ich dzisiejszy wspólny wieczór to tylko cisza przed burzą i że nazajutrz wszystko między nimi się zmieni. - Muszę cię ostrzec, że ludzie... po prostu są zrozpaczeni. Mogą być nawet groźni. Ale trzeba im kogoś, kto by ich wysłuchał.

Czuła, że cofnął się za tę niewidzialną linię, która ich dzieliła, jakby stali naprzeciwko siebie po obu stronach Wielkiego Kanionu.

- Wysłucham ich, Buck, ale to i tak niczego nie zmieni - powiedziała uczciwie. - Harriman chce, żeby fabryka została zamknięta.

Spojrzał na nią z dezaprobatą, jakby spodziewał się, że Anne okaże więcej dobrej woli. Nie chciała go rozczarować, ale znał sytuację równie dobrze jak ona.

Samochód zatrzymał się tuż przed drzwiami jej pokoju. Buck przerzucił dźwignię zmiany biegów na luz, ale nie wyłączał silnika.

- Przykro mi, Buck, naprawdę, ale jestem tu po to, by wykonać swoją pracę, i mam szczerzy zamiar to zrobić.

Obrócił się na siedzeniu w jej stronę, blask latarni

oświetlających parking oświetlił jego zamyśloną twarz i oczy, ciemne teraz i poważne.

- To śmierdząca robota, Anne.

- Zgadzam się z tym. - Nie widziała nic przyjemnego w wyrzucaniu tysięcy ludzi na bruk.

W milczeniu uznali, że ich krótka przyjaźń zbliża się do końca, rozejm upłynął. Kiedy znów się spotkają, będą przeciwnikami.

- Posłuchaj, Annie...

Uniosła dłoń, by mu przerwać. Czowała, że musi pierwsza wypowiedzieć to, co jej leży na sercu.

- Cokolwiek się zdarzy w ciągu najbliższych dni, chciałabym, żebyś wiedział, iż dobrze ci życzę.

- Wiem - odrzekł. - Ja też ci dobrze życzę.

Patrzyła, jak powoli pochyla się w jej stronę. Kilka razy rozpaczliwie przełknęła ślinę, próbując złapać haust powietrza w ściśnięte płuca. Czowała, że serce jej wali, pełna była obawy i oczekiwania.

- Chyba... chyba nie powinniśmy... tego robić - szepnęła bez tchu, ponad wszystko na świecie pragnąc, by ją pocałował.

- Chyba powinniśmy - wyszeptał tuż przy jej ustach, aż poczuła ciepły oddech na swoim policzku. - Może nie będziemy mieli innej okazji.

- No tak, ale...

Zamknął jej usta pocałunkiem. Cofnął się i spojrzał na nią uważnie. Musiał wyczytać z jej twarzy, że taki pocałunek nie zaspokaja ciekawości Anne, że pragnie, by zrobił to znowu i żeby tym razem pocałował ją naprawdę, bo ujął jej twarz w dłonie, a ustami przykrył wargi. Niecierpliwie przesunął po nich językiem, domagając się wejścia. Drażnił delikatne wnętrze warg, przewędrował wzdłuż zębów, potem wdarł się do środka. Z wprawą doświadczonego myśliwego porywał ją, przekonywał, wa-



bił, ośmielał, pozwalał w spokoju smakować przyjemność pocałunku. Wreszcie, gdy upojenie doszło do szczytu, sięgnął głębiej, sprawił, że opadła z sił, odurzona, pozbawiona tchu, zbyt słaba, by błagać o litość.

Oderwali się od siebie zdyszani, napięci. Wciąż nie nasyćeni. Pragnienie, które czytała w jego oczach, przestało ją. Czuła, że mogłaby się w nim zatracić i świat przestałby dla niej istnieć, próbowała zdławić rozhuśtane emocje.

- Buck, ja...

- Wiem - przerwał jej. Namiętny pocałunek, do którego nigdy nie powinno dojść, miał smak owocu zakazanego i był równie zgubny. - Chodź, odprowadzę cię.

Wysiadła z ociąganiem, minęła wiszącą nad drogą chmurę spalin. Spotkali się przy drzwiach jej pokoju. Włożyła klucz do zamka, ale nie otwierała drzwi.

- Dziękuję za miły wieczór - powiedziała - i za wszystko, co dziś dla mnie zrobiłeś.

- Cała przyjemność po mojej stronie.

- I przepraszam za to, co się zdarzyło przedtem.

- Nic już nie mów.

Delikatnie ujął jej twarz w obie dłonie, zamieniając szept w lekki, czuły dotyk warg, który wprowadził ją w drżenie. Wolno odsunęli się od siebie, lecz Buck nadal delikatnie gładził kciukiem jej policzek, jakby twarz, którą miał przed sobą, była czymś najwspanialszym na świecie.

- W takim razie zobaczymy się jutro wieczorem.

Sprawa fabryki nieodwołalnie stawała między nimi. Przytaknął bez słowa. Z jego twarzy czytała, że nie miał większej niż ona ochoty pójść na zebranie załogi.

- Cóż, w takim razie dobranoc.

Obróciła się w kierunku drzwi. Poczowała, jak jego stwardniałe od pracy ręce, ręce, które przed chwilą były tak cudownie delikatne, zsunęły się z jej twarzy.

- Do zobaczenia, Annie - usłyszała jeszcze, nim weszła do pokoju.

Zamknęła za sobą drzwi. Stała w ciemnościach z ciężko bijącym sercem, łapiąc powietrze krótkimi haustami. Wreszcie usłyszała, jak odjeżdża.

RS

## Rozdział 3

Kiedy nazajutrz rano Anne pojawiła się w fabryce włókienniczej w Webster, obserwowało ją wiele par oczu. Wydawało się, że wszyscy wiedzą już, kim jest i po co tu przyjechała.

Jadąc przez wielki parking w kierunku biura, patrzyła na twarze robotników. Nie powinna była tego robić. Dostrzegła w nich gniew i oburzenie. Wysiadając z samochodu, usłyszała kilka szyderczych uwag. Jeśli ludziom zależało, by miała wrażenie, że w tym dramacie gra rolę czarnego charakteru, to z pewnością im się udało.

Wspięła się po metalowych schodach do drzwi biura. Będąc na górze, spojrzała w dół, na parking. Choć większość stojących na nim samochodów stanowiły półciężarówki, z dziwną łatwością znalazła wśród nich pickup Bucka. Szukała oczywiście właściciela, lecz nigdzie nie było go widać. Z przyjemnością ujrzałaby teraz przyjazną twarz. Miała w każdym razie nadzieję, że ta twarz nadal byłaby przyjazna.

Przedstawiała się Drake'owi Edwardsowi - dyrektorowi fabryki, a on z kolei przedstawił jej swoją sekretarkę. Edwards był mężczyzną średniego wzrostu, z pokaźnym brzuszkiem. Uśmiechał się przyjaźnie. Wchodził już chyba w wiek emerytalny, być może dzięki temu mógł być dla niej miłszy niż ludzie spotkani na parkingu.

Część tego przedpołudnia Anne spędziła na zapoznawaniu się z biurem i dokumentacją finansową przedsię-

biorstwa. Lily, sekretarka Drake'a Edwardsa, z punktu widzenia zarządu prawdziwy skarb, bardzo jej pomogła. Wyjaśniła zasady płatności i kredytowania materiałów, system wynagrodzeń i tysiące innych szczegółów, dzięki którym zakład dobrze funkcjonował w ciągu minionych stu lat.

Na ścianach wisiały fotografie przedstawiające dawną fabrykę z drewnianymi krosnami, znacznie bardziej skomplikowanymi w obsłudze od wielkich krosien mechanicznych, które je zastąpiły. Te nowe też były na kilku zdjęciach, sfotografowane tego dnia, gdy pojawiły się w zakładzie nowiutkie i błyszczące. Anne zrobiło się smutno na myśl o tym, że wkrótce dyplomy i zdjęcia ze wspólnych wycieczek wypłowieją na ścianach, pozabawione z chwilą zamknięcia fabryki wszelkiego znaczenia.

Następnie Drake Edwards odprowadził ją do fabryki, gdzie okazało się niespodziewanie, że zorganizowano dla niej zwiedzanie fabryki. Powiedzieć, że witano ją jak jakąś ważną osobistość, byłoby przesadą. Nie było uśmiechów, pogodnych twarzy i przyjaznych gestów. Przeciwnie. Robotnicy, zajęci pracą, w ogóle nie zwracali na nią uwagi albo patrzyli złym okiem, mrużąc słowa, których nie słyszała, gdyż ginęły w szumie maszyn.

Wkrótce potem Drake przedstawił Anne kierownika zmiany, Bucka LaSalle'a, który uściśnił jej rękę, jakby nie widzieli się nigdy przedtem, a później mrugnął do niej z uśmiechem.

Ucieszyła się, że przynajmniej on nie ma zamiaru jej unikać. Wiedziała, że przyjaźń, która połączyła ich ubiegłej nocy, nie może trwać dłużej, ale Buck przynajmniej próbował być serdeczny. Stwierdziwszy to, poczuła wielką ulgę i uśmiech rozjaśnił jej twarz.

Edwards powierzył Buckowi rolę przewodnika podczas dalszego zwiedzania zakładu przez Anne.

- Odkąd tu się pojawiłaś, powiało chłodem - zażartował, gdy razem odchodzili.

- Ty też to zauważyłeś? A taki był ładny dzień. Kto by pomyślał, że będę potrzebowała płaszcza.

- Dali ci popalić? - zapytał z troską, która ją wzruszyła.

- Niczego innego się nie spodziewałam. Prawdopodobnie, będąc na ich miejscu, czułabym się tak samo.

Jego oczy zdradzały teraz dziwną mieszaninę uczuć: czułości i wyrachowania. Uśmiech świadczył o tym, że słowa Anne sprawiły mu przyjemność, a na twarzy, gdy uważnie patrzył na dziewczynę, malowała się nadzieja i duma.

Obchód rozpoczęli oficjalnie. Chwała Bogu, nie robił po cichu żadnych uwag czy aluzji na tematy związane z seksem. W gruncie rzeczy zadał sobie wiele trudu, by wszystko jej pokazać i upewnić się, czy należycie zrozumiała funkcjonowanie zakładu. Przypominał w tym pośrednika sprzedaży nieruchomości, wskazywał nawet drobne ulepszenia, jakie można by zrobić niewielkim kosztem.

Słuchała go tylko jednym uchem. Nie miała wcale wrażenia, że zachowuje się niegrzecznie. To, że w ogóle słuchała, było z jej strony dostatecznie wielkim poświęceniem. Roztaczał przed nią mirażę, a ona mu na to pozwalała. A prawda była taka, że w fabryce nie zrobi się już żadnych ulepszeń i napraw. Mówienie o przyszłości zakładu nie miało sensu, bo przyszłość taka nie istniała.

Anne nie przerwała mu i nie powiedziała wprost, jak sprawy stoją, wyłącznie ze względów osobistych. Podobąo się jej ciche brzmienie jego głosu, które miało jeszcze tę dobrą stronę, że w pełnej hałasie hali fabrycznej musiała przysunąć się do niego bardzo blisko, by usłyszeć słowa.

Podniecał ją sam sposób, w jaki na nią patrzył, jego

błyszczące oczy i twarz pełna ożywienia. Wąski pasek dzielącej ich przestrzeni przepelniał miętowy zapach jej oddechu, jakiegoś mydła, które stosował Buck, i piżma wchodzącego w skład uniwersalnych kosmetyków, których najwidoczniej oboje używali.

Ujrzała nagle w myślach, jak silne, szorstkie dłonie splatają się z jej delikatnymi palcami o jasnej skórze. W pełni zdawała sobie sprawę z tego, że jego tors jest szeroki, twardy i potężny, a jej piersi i ramiona są drobne i miękkie. Była nawet świadoma tego, że nogi miał dłuższe i silniejsze od jej własnych. Ale w pozycji leżącej... wtedy ta różnica byłaby bez znaczenia.

- Nie zrozumiałaś czegoś? - Zmiana intonacji, wywołana tym pytaniem, przerwała dalsze wyobrażenia na temat anatomicznych różnic między kobietą a mężczyzną, które snuły się po głowie Anne. - Wyglądasz tak, jakbyś się trochę pogubiła.

- Nie, skądże! Bardzo jasno to przedstawiasz. Mów dalej.

Uśmiechnęła się z wysiłkiem. Podążając za Buckiem wąskim przejściem między maszynami, spojrzała ukradkiem na zgrabną talię mężczyzny, jego szczupłe, foremne pośladki. Połowa wszystkich zadków w Nowym Jorku należała do mężczyzn i Anne sądziła, że widziała już wszystkie możliwe warianty. Ale dla niej Buck był w tej konkurencji nie do pobicia; zostawiał wszystkich daleko w tyle.

Zakład składał się z czterech wielkich budynków przypominających magazyny, łączących się z sobą w amfiladzie. Pierwszy wypełniały olbrzymie krosna, na których ogromne szpule nylonowych lub bawełnianych nici przestaczały się w tkaninę. Anne widziała już nieraz fabrykę włókienniczą, wiedziała, co to wątek, co osnowa, ale stała

tu kilka minut, nie mogąc się nadziwić, że nici tak zmyślnie splatają się z sobą.

Buck poprowadził ją teraz przez hale kolejnego etapu produkcji. Stały tam rzędy olbrzymich kadzi mieszczących po kilkanaście tysięcy litrów barwników anilinowych i innych odczynników do farbowania i usztywniania tkanin. Tu także mieścił się dział produkcji będącej specjalnością Webster. W tej właśnie fabryce wytwarzano niepalne tkaniny syntetyczne. Niektóre wciąż jeszcze były w stadium eksperymentu. Miały z nich być wytwarzane w przyszłości tkaniny zasłonowe, obiciowe i inne, które, jak sądzono, z powodzeniem zastąpią używane dotąd w mieszkaniach i miejscach publicznych materiały łatwopalne.

Drukarnia była ulubionym miejscem Anne. Mogłaby stać i patrzeć godzinami, jak duże walce, obracając się, kładą deseń na jednobarwną tkaninę. Z drugiej strony jednak nie musiała patrzeć na to codziennie. Choć wykonywała pracę bardzo szarpiącą nerwy, nie zamieniłaby jej mimo wszystko na monotonię fabryki.

Prasowanie, składanie i rolowanie gotowej tkaniny odbywało się w ostatnim pomieszczeniu. Tu właśnie podeszła do nich kobieta, która mimo gniewu i oburzenia odczuła widocznie potrzebę podzielenia się z Anne własnymi obawami. Kobieta była szczupła i jasnowłosa, wyglądała na młodszą od Anne, lecz musiała mieć więcej lat. Coś ukrytego głęboko na dnie oczu i stwardniałe od pracy ręce zdradzały, że doświadczyła już w życiu trosk i cierpienia.

Gdy kobieta się zbliżyła, Anne zdała sobie sprawę z tego, ile odwagi i determinacji kosztowało ją przewyciężenie własnych obaw.

- Nie mogę przyjść wieczorem na zebranie, bo nie mam z kim zostawić dzieci - usprawiedliwiała się, gdy

Buck zaproponował, by ze względu na innych wstrzymała się ze skargami do wieczora, kiedy wszyscy będą mogli usłyszeć, jaką otrzyma odpowiedź. - A przecież muszę wiedzieć, co się stanie z moim synem, tym średnim, jeśli zamkną fabrykę. Jest poważnie chory, a lekarstwa kosztują. Czy będą nam dalej płacić?

Anne nie chroniła się dłużej w cieniu Bucka. Postąpiła do przodu i zwróciła się do kobiety, pragnąc, by zabrzmiało to możliwie bezpośrednio.

- A co dolega synkowi, pani...

- Dillard Evans, a właściwie Liddy. Mój Teddy ma cukrzycę. Musi przyjmować leki i wymaga stałej kontroli lekarskiej, bo jeśli nie... - Głos jej się załamał, a w oczach zabłyśły łzy. - Już dwa razy mogłam go stracić, niewiele brakowało.

- Czy nie należy się pani zasiłek?

- Należy się, ale co oni tam płacą, a poza tym na zasiłek trzeba czekać. A ja, proszę pani, mam jeszcze dwóch chłopaków na utrzymaniu.

A czy pani i mąż próbowaliście znaleźć inną pracę? Dyrekcja przedsiębiorstwa starała się stworzyć dużo nowych stanowisk pracy w innych fabrykach...

Kobieta przerwała grzecznie, żeby nie słuchać kolejny raz wywodów o nowych miejscach pracy.

- Wychowuję ich sama. Nie wyobrażam sobie, żeby było mnie stać na przeprowadzkę, i tak ledwie wiązę koniec z końcem.

Anne odpowiedziała dopiero po chwili, bo przyszedł jej do głowy pewien pomysł.

- Przez dwa lub trzy miesiące po zamknięciu fabryki wszelkie wydatki związane z leczeniem pani syna pokryje ubezpieczenie. Później trzeba będzie pomyśleć o czymś innym. W każdym razie proszę się w tej chwili nie zamartwiać. Jest jeszcze jedna możliwość pomocy, dowiem się



o szczegóły. Teraz musi pani szukać pracy, to najlepsze rozwiązanie.

Obiecała kobiecie, że jeśli uda się coś załatwić, to odzwie się do niej pod koniec przyszłego tygodnia, po czym oboje z Buckiem przeszli dalej.

Niewiele już zostało do obejrzenia, a Anne jakoś nie była w nastroju do zwiedzania. Na próżno próbowała wmówić sobie, że nie ponosi odpowiedzialności za to, co się stanie z miastem.

- Dzięki za wycieczkę, Buck - odezwała się z roztargnieniem, kiedy opuścili rampę towarową fabryki i znów znaleźli się w promieniach majowego słońca. - Myślę, że będziesz dziś wieczorem na zebraniu?

Przytaknął z ponurą miną.

Zapanowało długie niezręczne milczenie. Z różnych wprawdzie powodów, lecz dla każdego z nich sprawa fabryki była równie ważna, nic tu się nie zmieniło.

- W takim razie do zobaczenia.

Znów jedynie przytaknął, Anne odwróciła się i skierowała kroki w stronę biura.

- Annie?

Zatrzymała się i spojrzała na niego. Wyraz twarzy Bucka nie uległ zmianie. LaSalle wyglądał teraz jeszcze poważniej. Ujął Anne obiema rękami za ramiona i lekko przyciągnął w swoją stronę. Bawił się pasmem jej ciemnych włosów, czuła palce leciutko ocierające się o policzek. Spojrzał na nią miękko, delikatnie pocałował w usta, aż serce w niej zamarło, szepnął: „uważaj na siebie” i już go nie było.

„A kto miałby na mnie uważać” - myślała, czując jednocześnie, że pocałunek rozkołysał ziemię pod nogami. Przyjechała do Webster tylko po to, żeby zamknąć fabrykę, a co się stanie później, to już nie jej sprawa, prawda? Ale nie była o tym tak do końca przekonana. Szła między

stojącymi na parkingu samochodami, rozważając w myślach, czy przypadkiem, wykonując swoją pracę, nie ponosi, przynajmniej w części, odpowiedzialności za to, co się stanie z bezrobotnymi mieszkańcami Webster.

Ciekawe, czy będąc jednym z facetów ze swojego biura, też czułaby się tak parszywie, wyrzucając ludzi na bruk? Musiała szczerze przyznać, że najprawdopodobniej czułaby się równie okropnie. Zadumała się głęboko nad predyspozycjami potrzebnymi w tego rodzaju pracy.

A może Calvin ma rację? Może w takich okolicznościach serce się kraje tylko kobietom? Czyżby w teorii mówiącej o androgenach był rzeczywiście jakiś sens? Być może mężczyźni czują się w takich okolicznościach równie fatalnie, ale mając w sobie dodatek tego „czegoś”, stawiają na to i robią swoje.

Mruknęła coś i wzruszyła ramionami, próbując rozproszyć ogarniający ją żal i zwątpienie. Czowała w tym rękę Bucka LaSalle'a. Pomyślałszy chwilę, doszła do wniosku, że po to właśnie zafundował jej wycieczkę, o którą przecież nie prosiła. Wiedział, że Anne nie jest z kamienia, i wykorzystał to: zetknął ją z ludźmi, którym niszczyła życie, zmuszał, by patrzyła im w twarz i była świadkiem ich udręki.

To nie była uczciwa gra. Im dłużej nad tym myślała, tym bardziej wzbierała w niej złość, choć nie adresowana do Bucka. Wróciła pamięcią do dnia, w którym zmuszona przez okoliczności, i ona także musiała złamać reguły uczciwej gry, by uzyskać to, na czym jej zależało.

- Anne, co ty wyprawiasz, skarbie, czy wiesz, która jest godzina?

- Nie wiem.

Pochylona nad silnikiem swojego pierwszego samochodu, który był jej dumą i radością, płakała bezgłośnie.

Łzy skapywały z pompy paliwa, pokrytej smarem. Z perspektywy minionych lat dostrzegą teraz, że szesnasty rok życia spędziła albo w czarnej, skrapianej łzami rozpacz, albo w euforii z równie błahego powodu.

- Jest wpół do trzeciej rano, a jutro musisz wstać do szkoły. Chodź do domu i kładź się spać.

- Nie mogę, muszę to naprawić.

- Poprosisz jutro Toma. No, chodź już.

- Nie, tatusiu. Nie chcę prosić Toma. Sama potrafię naprawić samochód. Tylko że to jest takie jakieś... dziwne. Już trzy razy ją rozmontowałam. - Podniosła usmarowaną pompę, by pokazać ojcu, i głośno pociągnęła nosem. - A kiedy ją składam, to albo czegoś brakuje, albo zostają mi jakieś śrubki i nakrętki. Na dodatek wcale nie działa lepiej niż przedtem.

Ojciec zmarszczył brwi i przyjrzał się Anne uważnie.

- Dlaczego koniecznie musisz sama to zrobić? Nikt nie oczekuje, że będziesz umiała wszystko. Może po prostu nie masz zdolności do mechaniki.

- Tom, Charles i Kevin sami naprawiają samochody. Ja też powinnam to umieć. Pamiętasz, tatusiu, jak mówiłeś, że jeśli człowiek skoncentruje się na jakimś celu, to zawsze go osiągnie? Ja się skoncentrowałam na naprawie samochodu, a mimo to mi nie wychodzi - poskarżyła się przygnębiona. W sercu czuła gorycz porażki.

Twarz ojca, którą nadmiar myśli poznał bruzdami, a łagodziły miłość i wyrozumiałość, pełna była teraz współczucia.

- Tom miał poprawkę z algebry, Charles pływa jak siekiera, a Kevin beznadziejnie gotuje. Ale Tom znakomicie gra w koszykówkę, Charles jest najmilszym, najczulszym dzieckiem pod słońcem, a Kevin pamięta wszystko, co kiedykolwiek przeczytał. Każdy coś potrafi, ale nikt nie jest doskonały.

Mówiąc to, wyjął pompę z jej umorusanych na czarno rąk i niedbale wrzucił do odkrytego silnika. Potem otoczył ją ramieniem i wyprowadził z garażu.

- Zapamiętaj sobie, Anne. Ważne jest, żeby próbować. Próbuj wszystkiego. Staraj się robić to jak najlepiej. Ale jeśli nie jesteś do czegoś stworzona, daruj to sobie.

- Ale będą się ze mnie śmiać.

- Kto?

- Chłopcy.

- A niech się śmieją. Dałaś z siebie wszystko. Tylko to się liczy.

Szli w milczeniu.

- A ja, co mnie wyróżnia? - Korciło ją, by znać odpowiedź na to pytanie.

- Powiedziałbym, że twoja determinacja. Nigdy nie uczyłaś się chodzić. Od razu zaczęłaś biegać, chcąc dotrzymać kroku braciom. Chciałaś być traktowana tak samo jak oni. I muszę przyznać, że w jednej sprawie miałem całkowitą rację. - Anne uniosła głowę i spojrzała w twarz ojca. - Nie ma rzeczy, której byś nie dokonała, jeśli sobie postanowisz, że musisz to zrobić. Ale - pocałował ją w czoło - jedno ci się nie uda. Nie będziesz mechanikiem, skarbie.

Nazajutrz zadzwoniła po mechanika. Przyjechał do domu, żeby naprawić samochód, pierwszy samochód, dumę i radość Anne. Tom, Charles i Kevin byli jeszcze w szkole. Kiedy bracia, którzy świetnie wiedzieli, jak bardzo ich siostra nie lubi przegrywać, dziwili się jej umiejętnościom, a ona właśnie miała zamiar wyznać im prawdę, ojciec wkroczył raz jeszcze.

- Anne postanowiła sobie, że naprawi samochód, i naprawiła. To wszystko. Sądzę, że nie ma się nad czym rozwodzić.

\* \* \*

Anne miała najszczerzy zamiar uporać się z likwidacją fabryki tak szybko, by Buck LaSalle dostał zawrotu głowy. Po jej powrocie wszyscy mężczyźni w biurze, wliczając w to Calvina Schwaba, a nawet samego Joela Harrimana, przekonują się, że potrafi dokonać wszystkiego, co sobie postanowi. Tym razem miała w ręku same atuty. Nie mogła przegrać.

Była zła raczej ze względu na Bucka, do niego nie czuła złości. Wiedziała, że próbuje on zmierzyć się z zadaniem właściwie niewykonalnym, że podjął się czegoś, co wymaga pewnych umiejętności, których mu brakuje, i wobec tego musi ponieść klęskę.

Kiedy zdała sobie sprawę, że idąc przez parking, minęła właśnie drzwi półciężarówki należącej do Bucka, specjalnie zawróciła i podeszła do samochodu. Zdrowo go rąbnęła zwinętą w pięść ręką. Nie lubiła sytuacji bez wyjścia. Wcale nie odczuwała satysfakcji, widząc jak na dłoni nikłe szanse Bucka. Wolałaby nie wiedzieć, co go czeka. Po prostu chciała zrobić swoje.

- Nie zajmuj się żadnymi duperelami. - Taką instrukcję w chwilę później otrzymała przez telefon od Calvina Schwaba. Obecność w fabryce wzmogła jej wyrzuty sumienia, onieśmieliła ją i złamała wolę działania, wróciła więc do motelu, wzięła prysznic, żeby się nieco odprężyć, a potem zadzwoniła do swojego biura w Nowym Jorku, by powiedzieć, że dotarła na miejsce. Złożyła sprawozdanie z dotychczasowych działań. - Idziesz wieczorem na zebranie. Krótko i jasno przedstawisz sprawę. Potem dajesz im dwumiesięczny termin wypowiedzenia i wychodzisz.

- Jak to? Bez żadnej dyskusji? - Pytanie zabrzmiało ostro i zgryźliwie nawet w jej uszach.

- Jeśli chce ci się bawić w takie rzeczy, proszę bardzo.

Dla swojej przyjemności możesz zostać na kawę i ciasteczka. Po prostu masz zrobić, co do ciebie należy.

- Zrobię, Calvin, nie przejmuj się.

- Anne? - Zabrzmiało to tak, jakby rozważał jeszcze jej poprzednie słowa.

- Słucham.

- Bądź ostrożna. Musisz ich trzymać w korbach. Bądź stanowcza, ale z wyczuciem. Możesz coś obiecać, byle w granicach rozsądku. Nie pozwól, żeby zrobili z tego aferę. Wiesz, o czym mówię.

- Wiem, przecież słyszę - potwierdziła, a w myśli przełożyła sobie jego słowa: muszę to zrobić po cichu.

- Mądra dziewczynka. Świetnie ci pójdzie! - zakończył rozmowę.

„Tak, to prawda, pójdzie mi świetnie” - postanowiła sobie. Czyż mogło być inaczej?

Wybranie stroju odpowiedniego na zebranie związkowe pracowników przemysłu włókienniczego wcale nie było proste. I znikąd pomocy. Dla autorów poradników takie problemy w ogóle nie istnieją.

Włożenie czegoś strojnego z góry wykluczała, w obawie, że robotnicy, widząc w niej jedynie kobietę, pożą ją żywcem. Nie miała także ochoty włożyć spodni, bo mogliby sądzić, że zamierza podrabiać męski styl bycia.

W takim wypadku, zdenerwowani, pożarliby ją z pewnością. Zdecydowała się wreszcie na granatowo-biały kostium. Miała nadzieję, że dzięki temu strojowi uświadomi im, iż pełni tylko niewdzięczną rolę zwiastuna złych wieści, i poskromi ich apetyt.

Była zadowolona ze swojego odbicia w lustrze: wyglądała poważnie i rozsądnie. Nie dało się jednak zaprzeczyć, że to ona właśnie była osobą przyslaną przez Harrimana w celu likwidacji fabryki. Ani jej wdzięk, ani ubiór

nie mogły tego zmienić. Wiedziała, że robotnicy zmiażdżą ją z rozkoszą.

W głębokim przeświadczeniu, że czeka ją niechybna klęska, Anne zgłosiła się do przedstawiciela lokalnych władz, Leroya Spencera, który był tęgim, łysiejącym panem po pięćdziesiątce.

- Co im przyszło do głowy, żeby przysłać kobietę? To pytanie, wypowiedziane podniesionym głosem, nie było skierowane do Anne, która przysłała przed zebraniem, żeby się przedstawić. Leroy Spencer parzył właśnie kawę w wielkim elektrycznym ekspresie. Kiedy spojrzął na Anne, uznała, że dobrze mu z oczu patrzy.

- No cóż, pani Hunnicut - powiedział. - Pozostaje mi tylko mieć nadzieję, że jest pani bardziej odporna, niż się zdaje. Ludzie są wściekli. Oni panią zjedzą.

- Tego właśnie i ja się obawiam - szepnęła do siebie, pełna złych przeczuc. Jej rozmówca przeszedł do drugiego pokoju.

- A poza tym... - Wrócił, niosąc w obu rękach długie rulony plastikowych kubków. - Buck mówi, że ma pani dobrze poukładane w głowie, więc może jednak wszystko jakoś da się załatwić.

- Buck LaSalle?

- Oczywiście. Mówi, że jest pani bystra i obiektywna. I że jeśli coś ma ręce i nogi, potrafi pani to dostrzec, choć jest pani kobietą.

Anne rozciągnęła wargi w grymasie, który miał imitować uśmiech. Zdawała sobie sprawę, że wygląda dość głupio, niemal słyszała zgrzyt własnych zębów. Powinna była zareagować na komplement, mówiąc coś miłego, lecz nagle zabrakło jej słów.

Jakim prawem ten nieznośny, uparty typ, Buck LaSalle, wystawia jej cenzurki? - zżymała się.

Wkrótce jednak ochłonęła. „Bystra i obiektywna” -

całkiem nieźle, zwłaszcza w ustach człowieka, który z zasady odmawia kobietom rozumu.

Zajęła miejsce przy stoliku z przodu sali. Decyzję, czy ma powody być wściekła na Bucka, czy też nie, odłożyła na później. Robotnicy zaczęli już schodzić, postanowiła raczej im poświęcić więcej uwagi.

A jednak tuż przed rozpoczęciem zebrania, kiedy sala prawie się wypełniła, Anne zaczęła szukać Bucka. Brakowało jej w tłumie choćby jednej przyjaznej twarzy. Te, które widziała, były obce, pełne gniewu, spięte, patrzyły na nią wrogo. Twarzy Bucka wśród nich nie dostrzegła.

Leroy Spencer poprosił zebranych, aby się uciszyli. Szybko przeczytał porządek zebrania, po czym zwrócił się bezpośrednio do Anne. Idąc w stronę stołu prezydiального, zastanawiała się, dlaczego trzęsienie ziemi, trąby powietrzne i inne żywioły nigdy nie zjawiają się wtedy, kiedy człowiek ich potrzebuje.

Gdy podniosła oczy i powiodła spojrzeniem ponad głowami zebranych, jej wzrok spoczął na twarzy Bucka. Nie zauważyła, kiedy wszedł do sali, lecz od razu poczuła się różniej.

Skinął głową, ale w tym geście, nie zobowiązującym i pełnym rezerwy, nie znalazła nic poza potwierdzeniem, że już kiedyś mieli okazję się spotkać. Mimo to jego obecność podniosła ją na duchu. W głębi serca czuła, że dopiero teraz ma szansę jakoś przetrwać fatalne zebranie. Obok Bucka stał mężczyzna, który musiał być od niego młodszy. Anne z miejsca zorientowała się, że to pewnie Bryce. Nieco wyższy od Bucka, lecz równie szczupły jak brat, miał ten sam kolor włosów i te same świetliste oczy. Zauważyła, choć trudno jej było ująć to w słowa, że Bryce'owi brak spokoju cechującego Bucka i jego siły osobowości. Nie zrobił na niej takiego wrażenia jak starszy LaSalle.



Spuściła wzrok, próbując skoncentrować uwagę na czekającym ją zadaniu i oderwać myśli od spraw mniej istotnych.

- Dobry wieczór - powitała zebranych.

- A co pani w nim widzi dobrego?! - krzyknął ktoś z sali.

Poczuła, że serce w niej zamiera. Ledwie otworzyła usta, a już zaczęli swoje.

Leroy Spencer poderwał się z krzesła. Podeszedł do podium, lekko odsunął Anne i sięgnął po mikrofon.

- Posłuchajcie - odezwał się zdecydowanym tonem. - Ten, kto ma coś do powiedzenia, niech czeka, aż udzieli mu głosu. Zebraliśmy się, żeby zobaczyć, czy da się zarządzić likwidacji zakładu, a nie po to, żeby nawymyślać tej pani.

Anne przesłała Leroyowi uśmiech pełen wdzięczności, choć nazwanie jej „panienką” wywołało w niej umiarkowany entuzjazm. Znowu zajęła miejsce na podium.

- Ma pan rację - powiedziała, patrząc na mężczyznę, który przerwał jej przed chwilą. - Ma pan całkowitą rację. Rzeczywiście bywają lepsze wieczory. Wiem, że wszystkich sprowadziła do tej sali troska o przyszłość rodziny i warsztat pracy. Jestem w pełni świadoma tego, czym jest fabryka dla waszego miasta. I jest mi niezmiernie przykro, że musi zostać zamknięta.

Przez salę przebiegł pełen dezaprobaty pomruk.

- Korporacja Harriman Industries - ciągnęła Anne spokojnie, na tyle jednak głośno, że dobrze ją było słychać w całym pomieszczeniu - wykorzystywała wszystkie możliwości utrzymania tego zakładu. Nie stać nas na dalsze zwlekanie z likwidacją. Nie chcemy niczyjej krzywdy. Osoby zbliżające się do wieku emerytalnego otrzymają godziwą odprawę. Tym, którzy zdecydują się przenieść do innych miast, oferujemy specjalnie utworzone stano-

wiska pracy w tkalniach i przędzalniach. Nic więcej w tej sprawie zrobić nie możemy.

- Jak się chce, to wszystko się da. Ale wam chodzi tylko o wasze napchane kabzy!

Zaperzony mężczyzna stanął w przejściu między rzędami, żeby wszyscy zebrani mogli go zobaczyć. Okazało się, że nie zgłosił się wcześniej do dyskusji, i Leroy Spencer zamierzał odebrać mu głos i skarcić go za nieregularne zachowanie, Anne jednak powstrzymała go gestem. Chciała podjąć ten wątek.

- W porządku. Spójrzmy na wszystko z perspektywy dochodów, jakie przynosi fabryka. - Anne nie zareagowała na nieprzyjazny ton mężczyzny, podjęła natomiast rzeczowo treść jego wystąpienia. - Po pierwsze, Webster jest tylko jednym z czterech zakładów Harriman Industries. Po drugie, inwestowanie w krajowy przemysł tekstylny staje się ryzykowne z uwagi na możliwość taniego importu. I wreszcie ostatnia sprawa: po to, by utrzymać pełną moc produkcyjną pozostałych fabryk, jedną trzeba będzie zamknąć. Wybrano najstarszą, tę, której modernizacja byłaby najmniej opłacalna. To oczywiste. Poświęcono ją dla dobra pozostałych.

- Łatwo komuś mówić o sprawach oczywistych i namawiać do poświęceń, jeśli się stoi z boku. No, mam rację?

Mężczyzna zwrócił się do sali, oczekując aprobaty zebranych. I sala go poparła. Anne widziała, że ludzie przestali jej słuchać, patrzyli tylko na niego.

- Źle mnie pan zrozumiał. Przedstawiłam tylko punkt widzenia zarządu. - Musiała krzyczeć, inaczej nikt by jej nie usłyszał, choć miała do dyspozycji mikrofon. - Jestem tu po to, żeby z wami rozmawiać. Być może uda nam się w tej trudnej sytuacji osiągnąć kompromis. Fabryka będzie zlikwidowana, to przesądzone, ale panu Harrimanowi, a i mnie także, zależy na tyra, by operacja

przebiegła możliwie bezboleśnie dla wszystkich zainteresowanych.

Mężczyzna roześmiał się głośno. Poświęcał Anne jedynie część swej uwagi, resztę koncentrował na reakcjach słuchaczy.

- Co pani powie, zależy! Tylko że pani nikt z pracy nie zwalnia. Mam rację, nie?

- Rzeczywiście - przyznała. - Ale proszę nie przyjmować wszystkiego tak osobiście. Nikt nie robi tego przeciwko panu ani przeciwko pana kolegom. Decyzja nie była łatwa. Gdybym mogła, zostawiłabym wszystko tak, jak jest, i jeszcze każdemu dała podwyżkę. Ale nie mogę. To niemożliwe. Jeszcze raz powtarzam: decyzja nie była łatwa i pan Harriman dobrze ją przemyślał. Konieczność likwidacji fabryki rysowała się już od kilku lat. Pan Harriman zwlekał tak długo, jak mógł. Ale dłużej już nie może.

- Muszę cię rozczarować, skarbie - powiedział mężczyzna groźnie, zbliżając się do podium - ale ten numer nie przejdzie. Po moim trupie.

W jednej chwili sala przemieniła się w gotowy do linczu tłum. Robotnicy krzykiem zachęcali rozjuszonego kolegę do dalszej utarczki, a on, odwracając się w ich stronę, skinieniem głowy kwitował poparcie sali.

Anne uznała, że nic już tu nie wskóra. Zamierzała właśnie poinformować o dwumiesięcznym terminie wypowiedzenia, a potem tylko w porę dopaść drzwi, gdy nagle powietrze przeszył przeraźliwy gwizd. Nawet uderzenie pioruna nie mogłoby wywołać większego efektu.

Sala na moment zamarła, a po chwili ludzie z wolna zaczęli wracać na miejsca. Nawet sam sprawca zamętu usunął się na bok, by zrobić miejsce dla Bucka pośrodku tłumy zebranych.

- Odnoszę wrażenie, że sprawa przybiera niewłaściwy obrót - powiedział LaSalle. - Harriman postąpił bardzo

przyzwicie, godząc się na zebranie. Nic nie zyskamy, naskakując na przedstawiciela zarządu. Zrobmy to, co postanowiliśmy wcześniej, i kończymy na dziś.

Rozległ się szmer aprobaty, a gdy sala ponownie ucichła, Buck zwrócił się w kierunku Anne.

- Omówiliśmy wcześniej całą sprawę. Zamierzamy odkupić fabrykę od Harrimana i przekształcić ją w spółkę pracowniczą.

Anne poczuła, że wpada z deszczu pod rynnę.

- Co zamierzacie? - spytała w nadziei, że się przesłyszała.

-Odkupić fabrykę. Mamy szansę otrzymać kredyt od...

- Nie chcę nawet o tym słyszeć - przerwała mu, machając rękami. - Czy w ogóle macie pojęcie, jakie operacje wiążą się z przekształceniem zakładu w spółkę pracowniczą? Brniecie w to z zamkniętymi oczami i myślicie, że wszystko samo się zrobi, a na dodatek zrobi dobrze? Czy w ogóle wiecie, na co zamierzacie się porwać?

- Z naszego punktu widzenia to wygląda trochę inaczej - odparł Buck. - Poza tym coś niecoś już zrobiliśmy. Nie jesteśmy w tych sprawach zupełnie zieloni.

„A niech to jasny szlag trafi” - pomyślała Anne, dostrzegłszy na twarzy Bucka wyraz determinacji, który widziała u niego już wcześniej. Powiodła wzrokiem po sali. Wszędzie widziała twarze ludzi, którzy świetnie wiedzą, co robią. A potem przypomniała sobie Joela Harrimana i Calvina Schwaba. Ich reakcje także była w stanie przewidzieć.

- Nie ma takiej możliwości - powiedziała może nieco zbyt kategorycznie. - Fabryka nie zarabia na sobie i Harriman chce ją zamknąć.

Agresywny mężczyzna wyrwał się znowu

- To trzeba było przysłać do nas chłopą, a nie takie pięć minut.

Sala i tym razem stanęła po jego stronie.

- Proszę mnie nie lekceważyć, panie...

- Jestem Shanks. Roy Shanks -przedstawił się głośno, aby udowodnić zebranym, że niewiele sobie robi z takiej władzy. Fabryka tak czy inaczej miała być zamknięta, więc niewiele ryzykował. Najwidoczniej nie przyszło to jednak do głowy jego hałaśliwym klakierom.

- Jeśli pan i pańscy koledzy odmówicie współpracy, otrzymam sądowy nakaz zamknięcia fabryki i w razie potrzeby wyegzekwuję go nawet przy pomocy wojska. Dopóki jednak istnieje możliwość polubownych rozwiązań, pan Harriman z pewnością wyjdzie wam naprzeciw. Ale fabryka zostanie zlikwidowana.

W sali powstało nieopisane zamieszanie. Wszyscy mówili i krzyczeli jednocześnie. Leroy Spencer kilkakrotnie walnął młotkiem w stół, próbując przywrócić porządek, lecz nikt nie zwracał na niego najmniejszej uwagi.

Anne, zajęta wymianą zdań z chudą kobietą, która trzymała w ramionach dwoje dzieci, ledwo zdawała sobie sprawę z tego, że jacyś ludzie próbują się przedostać w jej kierunku. Widziała, jak Buck powstrzymuje ich wyciągniętymi rękami.

- Nie możecie zamknąć fabryki - krzyczała kobieta. - Co to, czy prości ludzie nie mają już nic do powiedzenia? Żadnych praw? Jak pani nie wstyd przychodzić tu i likwidować nam fabrykę?!

- Zamykając przedsiębiorstwo, postępujemy zgodnie z prawem. Związek został powiadomiony o decyzji. Pracownikom przysługuje dwumiesięczny okres wypowiedzenia, licząc od przyszłego poniedziałku. - Anne musiała krzyczeć, starając się, by jej słowa mimo wszystko nie brzmiały bezwzględnie.

Ogłoszenie sześćdziesięciodniowego okresu wypowiedzenia wywołało na sali piorunujące wrażenie. Krzyki jeszcze się wzmogły, dał się słyszeć stukot gwałtownie odsuwanych krzesel. Tłum ludzi na środku sali topniał, dzielił się na grupki i sunął wzdłuż ścian w kierunku Anne.

Nagle poczuła, że czyjeś silne ręce chwytają ją za ramiona i ciągną w tył.

- Puszczaj - wysapała, wściekła i przerażona zarazem. Próbowwała się wykręcić, by ujrzeć przynajmniej twarz napastnika. Ale dopiero gdy wtaszczył ją z trudem na zaplecze budynku, do krótkiego i pustego korytarzyka, znalazła okazję, by się przekonać, z kim ma do czynienia.

- To pan?!

- Ciii! - syknął Bryce LaSalle. - Buck kazał mi w razie czego panią wyprowadzić. Nie chciałem pani przestraszyć, ale nie było czasu do stracenia.

Anne ze zdenerwowania z trudem łapała oddech.

- Jest pan trochę podobny do brata - powiedziała, jakby fakt rodzinnego podobieństwa mógł starczyć za oficjalną prezentację. Zaufanie, jakim darzyła Bucka, przeniosła na brata i posłusznie podążyła za mężczyzną w kierunku wyjścia z budynku. - Ale należą mi się chyba wyjaśnienia.

- Buck nie chciał, żeby coś się pani stało.

To stwierdzenie przywróciło jej wolę działania. Zastanawiała się przez chwilę, co robi na pokrytym żwirem terenie parkingu. Czy mężczyzna, będąc na jej miejscu, też by uciekł w takiej chwili?

- Po co ta panika? Dałabym sobie radę. Przykre słowa nigdy jeszcze nikomu nie zrobiły krzywdy. Na tym polega moja praca i potrafię zrobić, co do mnie należy.

Odwróciła się, zamierzając wrócić do sali, lecz Bryce przytrzymał ją za ramię.

- Buck się nie bał ostrej gadki. Powiedział, że jeśli na

tym się skończy, to jest o panią spokojny. Ale kazał mi wywieźć panią, jak się zrobi gorąco. I wywozę, choćbym miał panią zdrowo trzepnąć.

- Ja się chyba przesłyszałam!

- Buck mi pozwolił. Powiedział, że jak się pani będzie szarpać, to mam panią zdrowo trzepnąć. Do tych słów Bryce dołączył serdeczną prośbę: - Niech mi pani tego nie robi.

Anne po prostu stała. Chwilę patrzyła na niego z otwartymi ustami, nim dotarł do niej sens słów Bryce'a.

- Wie pan, że to się w głowie nie mieści parsknęła wściekle, upokorzona i oburzona.

Jak śmiał?! Gdyby była mężczyzną, wróciłyby stąd prościuteńko do sali i tak palnęła Bucka, żeby się przewrócił. Ale tak... Pozwoliła, by jej obrońca holował ją przez parking i „na wszelki wypadek” wpakował do samochodu.

- Pojadę za panią do motelu - oznajmił, pewny widocznie, że ona także podporządkuje się bez szemrania życzeniom Bucka.

Kiedy poszedł do swojego wozu, przemknęło jej przez myśl, że mogłaby nie usłuchać. Ale perspektywa spotkania twarzą w twarz z rozjuszonym tłumem także jej się nie uśmiechała. A co będzie, jeśli sprawy posuną się za daleko, jeśli policja nie zdoła w porę przybyć na pomoc? A jeśli wcale nie przyjedzie? Co będzie, jak informacje przenikną do prasy?

Ruszyła dopiero wtedy, gdy w jej wstecznym lusterku ukazały się reflektory samochodu Bryce'a.

- Jedziesz teraz pomóc bratu? - spytała go już przed motelem przez opuszczoną szybę małej półciężarówki.

Noc była łagodniejsza od poprzedniej, prawie ciepła. Anne ni stąd, ni zowąd pomyślała, że wiosna nie może się w tym roku zdecydować, czy przyjść na dobre, a to przy-

wołało z kolei obraz płaszcza pozostawionego w sali obrad.

- Nie, mam zostać tutaj. Z panią.

- A jeśli coś się stanie? Jeśli ktoś będzie próbował zrobić mu coś złego? Nie chcę, żeby nadstawiał za mnie karku.

- Spokojna głowa. Może pani być pewna, że jemu nic nie zrobią.

- Nie mów do mnie „pani”. Jesteśmy właściwie w tym samym wieku - powiedziała z rozdrażnieniem, które wiązało się nie tyle z Bryce' em, ile z Buckiem, który został w sali, by naprawić to, co Anne spartaczyła. Wiedziała o tym i było jej ciężko na sercu.

- Dobrze, prosz... To znaczy dobrze - zgodził się, idąc za nią do pokoju.



## Rozdział 4

Bryce usadowił się na krześle naprzeciwko telewizora i tak długo pstrykał przełącznikami kanałów, aż znalazł powtórzenie ostatniego odcinka jakiegoś serialu. Kątem oka obserwował Anne, która nerwowo krążyła między łóżkiem a oknem.

Nie pomyliła się co do niego. Mówił jeszcze mniej niż starszy brat, brakowało mu także zdolności przywódczych Bucka. Dostrzegła to na pierwszy rzut oka. Była przygnębiona. Nie odczuwała potrzeby zabawiania go nawet błahą rozmową. Czowała się podle.

- Jimmy każe ci ekstra zapłacić, jak mu za bardzo wydepcesz wykładzinę - odezwał się nagle Bryce.

Spojrzała na niego. Przyglądał jej się z uśmiechem zrozumienia.

- Nie martw się o niego. Buck da sobie radę - dorzucił po chwili.

Bryce nie należał do ludzi szczególnie rozmownych, ale Anne pomyślała, że nie brakuje mu ani wrażliwości, ani inteligencji.

-Nie jestem w stanie przestać o nim myśleć. Co będzie, jeśli coś się stanie? To tylko moja wina. Od początku do końca...

-No, prawdę mówiąc, nie wykazałaś szczególnego zainteresowania naszym projektem - przyznał Bryce. Nie musiał dodawać, że za fiasko zebrania ona ponosi odpowiedzialność. - Buck uważa, iż mamy szansę.

- Buck się myli. Kupno fabryki to zaledwie wierzchołek góry lodowej. Będziecie potrzebowali handlowców i ludzi do marketingu, rozmaitych specjalistów, którzy umożliwią wam zaistnienie na rynku. Już nawet nie wspominaam o dostawcach surowca, węgla i Bóg wie czego jeszcze. Utrzymać się na takim rynku to nie lada sztuka. Kto w Webster zna się na tym?

Wzruszył ramionami.

- Buck powiada, że się wgryziemy.

Anne odniosła wrażenie, że Bryce nieco przesadza z wiarą w starszego brata. Jej także wprawdzie parę razy zdarzyło się prosić brata o poradę w ważnych sprawach życiowych, lecz było nie było, Charles nosi sutannę. Można się po nim spodziewać więcej niż po innych. Ale Buck? No, ten to już na księdza nie wygląda.

- No cóż, miejmy nadzieję, że wam się uda - powiedziała Anne. W kącikach jej ust zadrażał lekki cień uśmiechu, kiedy wyobraziła sobie, jak małomówny Buck LaSalle próbuje przegadać Harrimana i skłonić go do sprzedaży fabryki. Zwróciła się w stronę Bryce'a. - Jesteś chyba święcie przekonany, że dla Bucka nie ma rzeczy niemożliwych.

- Zawsze mu szło. Dlaczego teraz miałoby być inaczej? - spytał, znów wzruszając ramionami.

- Jak długo pracujesz w tym zakładzie, Bryce?

- Będzie już osiem lat.

On osiem, a Buck siedemnaście. Czyli Buck był młodszy, kiedy zaczął, bo różnica wieku między braćmi wynosiła trzynaście lat. To ciekawe.

- Czyli musiałeś przedtem skończyć szkołę?

- Buck mi kazał. Nie dał mi pójść do pracy, póki nie zrobiłem matury.

- A sam przecież zaczął, jak miał piętnaście.

- Pracował na trzecią zmianę, a w dzień chodził do

szkoły. Zawsze spóźniał się parę minut, ale patrzyli na to przez palce. W szkole wiedzieli, że zbiera pieniądze, by pójść do college'u.

- No i co się stało? Dlaczego nie poszedł?

Anne przypomniała sobie ledwie wyczuwalną nutkę goryczy w głosie Bucka podczas ich wczorajszej rozmowy. „Chyba że masz bogatego tatę. Wtedy wyjeżdżasz do college'u i nigdy tu nie wracasz". A więc wycucie jej nie zawiodło. Czyżby Buck także planował opuszczenie Webster, nim coś pokrzyżowało jego plany?

- W końcu poszedł, tyle że na krótko. To był pomysł mamy i Bucka. Wykorzystali to, co zdołał zaoszczędzić, i odszkodowanie otrzymane od Harrimana po śmierci ojca... Buck poszedł do college'u. A kiedy przyszła moja kolej – wziął wszystko na siebie.

- A co się stało?

- Mamusia umarła. Buck wrócił do domu, żeby się mną zająć. Miałem wtedy zaledwie siedem lat.

- To straszne. Musieliście być okropnie osamotnieni.

Na myśl o Bucku serce ścisnęło jej się z żalu. Wyobraziła sobie dumnego, odważnego chłopaka, pełnego nadziei i planów na przyszłość. Nietrudno było zgadnąć, jak się czuł, kiedy nagle wszystkie jego plany runęły w gruzy.

- Mnie nie ciągnęło do książek tak jak Bucka. Mnie tam wystarczy fabryka.

Wzmianka o fabryce znów skierowała uwagę Anne ku sytuacji, w jakiej Buck obecnie się znajdował. Ciekawe, co go zatrzymało, czy nic mu nie grozi? Minęło przecież już ładnych parę godzin.

- Mam nadzieję, że nie przydarzyło mu się nic złego - odezwała się, wyglądając przez okno. Pozwoliła opaść firance i odwróciła się w stronę pokoju. - Ten... ten cały Shanks nic mu chyba nie zrobi?

- Jasne, że nie. Każdy wie, że Buck to swój chłop. Nic mu nie będzie. - Jego pewność wydawała się niezachwiana.

- Ty też jesteś „swój chłop”? - spytała impulsywnie, ale nim skończyła zdanie, policzki zaczęły jej płonąć. Pytanie było może naturalne dla kogoś, kto rzeczywiście nie znał odpowiedzi, ale nie wiedzieć czemu, zabrzmiało jakoś niedelikatnie.

- No, a jak? Jestem, proszę pani - stwierdził z dumą, a uświadomiwszy sobie, że znów zwrócił się do niej oficjalnie, przeprosił za swoją pomyłkę.

- Bryce? Odpowiedz mi na jedno głupie pytanie?

- Tak, prosz... znaczy odpowiem, czemu nie.

- Tak często używacie określenia „swój chłop”. Co to u was znaczy? Czym on ma się różnić od reszty?

Bryce się roześmiał.

- Wy, Jankesi, zawsze musicie sobie wszystko porządkować w głowie poukładać. Z grubsza chodzi o to, że jak szukasz przyjaciela, chcesz, żeby to był swój chłop. Jemu wszystko jedno, jaki masz kolor skóry, jakiego jesteś wyznania, na kogo głosujesz. Ważne, żebyś i ty był w porządku. A jak coś się stanie, weźmy na przykład samochód się popsuje, swój chłop nie tylko, że pomoże, lecz jeszcze podzieli się z tobą jedzeniem, jakie mu żona zapakowała na drogę. Inny to się pewno wcale nie zatrzyma, a jeśli już, będzie trzeba zapłacić mu za fatywę.

W głowie Anne zapaliła się lampka ostrzegawcza.

- Czy Buck ci mówił o naszym pierwszym spotkaniu? Przytaknął, ale pytanie wywołało jego szczere zdziwienie.

- Mówił, że oprowadzał cię dziś po fabryce. A dlaczego pytasz?

Wzruszyła ramionami.

- Tak tylko.

A więc Buck nic nie mówił bratu o ich wczorajszym

spotkaniu, o tym, jak paskudnie go potraktowała; nie wspomniał też o wspólnym obiedzie, zakończonym pocałunkami. A mimo to Bryce'owi wcale nie wydało się dziwne, że poproszono go o ochronę osoby właściwie całkiem mu obcej. „Swoj chłopak to jest to” - pomyślała, żalując, że tam, skąd przyjechała, jest ich tak niewielu. Buck i Bryce nie mieli może oglądy właściwej mężczyznom z jej środowiska, ale przecież nie wszystko złoto, co się świeci. Anne zawsze bardziej ceniła naturalne, nie oszlifowane diamenty. Wolą ją od równo przyciętych i wypolerowanych kamieni, które wyglądały jak tysiące im podobnych. Nie mówiąc już o tym, że mogły się wśród nich zdarzyć falsyfikaty.

Nie chciało im się rozmawiać. Po dwudziestu minutach milczenia usłyszeli, jak przed domek Anne podjeżdża samochód.

Buck wpadł do środka bez pukania. Na jego twarzy malowała się mieszanina obawy i ulgi.

- Zbieraj swoje rzeczy - nakazał Anne bez żadnych wstępów.

- Ale dlaczego?

- Nie chcę, żebyś była tu sama. Zabieram cię do domu. Tak bardzo chciała mu powiedzieć, że się cieszy, bo jest cały i zdrowy, ale uznała, iż jeszcze zdąży. Potraktował ją zbyt obcesowo. Już drugi raz tego wieczoru miała okazję się przekonać, że Buck chce nią dyrygować. Jeśli z niej nie przywoła go do porządku, potem będzie coraz trudniej.

- Ja przecież jeszcze nie skończyłam. Mam do wykonania pewną pracę i nie wyjadę do Nowego Jorku, dopóki jej nie skończę.

- Kto mówi o Nowym Jorku? Zabieram cię do mojego domu - sprostował Buck.

- O, co to, to nie - oświadczyła Anne.

Usiadła na brzegu tapczanu i demonstracyjnie założyła nogę na nogę.

Buck ujął się pod boki i patrzył na nią dłuższą chwilę. Wiedziała, że jest wściekły, i to wcale nie z powodu jej odmowy. Kiedy się wreszcie odezwał, jego głos brzmiał ciszej niż zwykle, łagodniej. Bryce poruszył się niespokojnie.

- W porządku, zostań, skoro taka twoja wola. Ale jeśli Roy Shanks wpadnie tu z kumplami, nie mów, że nie próbowałem ci pomóc.

- Wpadnie...?

- Spokojna głowa, nic ci nie zrobią - powiedział bez przekonania. - Sądząc po tym, co mówili „Pod Wrzecionem”, mają nadzieję, że jak ci stracha napędzą, to schowasz ogon pod siebie i wrócisz do domu.

- A co zamierzają zrobić?

- Skąd mam wiedzieć, do jasnej cholery. Wiem jedno: nie będę tu sterczał, żeby się przekonać. W razie gdybyś zmieniła zdanie, będę przez pięć minut czekał na dworze.

I powiedziawszy to, wypadł na zewnątrz, trzaskając drzwiami.

Anne i Bryce stali, patrząc na siebie bez słowa.

Anne odezwała się pierwsza:

- Ten Roy Shanks to chyba nie jest „swój chłop”?

Bryce ledwo dostrzegalnie pokręcił głową.

- Pomóc ci spakować rzeczy?

- Dzięki. Za trzy minuty będę gotowa.

Anne wiedziała tylko tyle, że posuwają się w górę w kierunku południowo-wschodnim.

Od kiedy opuścili motel, Buck milczał jak zakłęty. Pół godziny wcześniej, jeszcze na parkingu, Bryce otworzył samochód, ale mimo licznych prób, Anne znów się nie udało wsiąść.

- Podsadz ją i wrzuc do środka - burknął Buck do brata.

Bryce stawał na głowie, żeby wywindować Anne możliwie delikatnie. Na pożegnanie, nim zatrzasnął drzwi, spojrzeniem dodał jej otuchy, jakby chciał powiedzieć: „Trzymam kciuki”.

Buck siedział obok niej, rękę wystawił za okno, jakby sygnalizował zamiar skrętu w lewo, i uporczywie wpatrywał się w drogę. Wieczorem zrobiło się chłodno i Anne marzła przy otwartym oknie, ale nawet nie śmiała o tym wspomnieć. Próbowwała odgadnąć, czym go tak zdenerwowała.

Z pewnością nie chodziło mu o Roya Shanksa. Anne odniosła wrażenie, że ten człowiek zawsze szukał zwady. Cokolwiek by zrobiła lub powiedziała, znalazłby powód, żeby podburzyć ludzi przeciwko niej.

Pozostawała jeszcze sprawa spółki pracowniczej. Jeśli o to mu chodzi, nie powinien zabierać Anne z motelu. Od początku wiedziała, że w sprawie fabryki będą stać po przeciwnych stronach barykady. Gniew niczego tu nie zmieni. Tak musi być.

Obejrzała się i przez tylną szybę dojrzała samochód Bryce'a, jadący za nimi w pewnym oddaleniu. Może neutralny temat przełamie lody.

- Bryce to miły chłopak. Polubiłam go - rzekła.

Buck spojrział na nią ciężkim wzrokiem, a potem rzucił okiem na odbijające się w lusterku światła reflektorów. Kiwnął głową, ale się nie odezwał. Anne była przekonana, że nieprędko dane jej będzie znów zobaczyć zniwielający uśmiech Bucka. Mimo wszystko postanowiła próbować.

- Dlaczego mu nie powiedziałaś, że spotkaliśmy się już wcześniej? - spytała jakby nigdy nic.

- Bo to nie jego sprawa.

- No, dobrze. Spróbujmy jeszcze raz.

- „Pod Wrzecionem” to pewnie jakaś knajpa? Tam siedziałeś cały ten czas?

Skinał tylko głowę.

Nie była w stanie dłużej tego znieść.

- Czy jesteś na mnie wściekły, dlatego że nie popieram waszego zamiaru stworzenia spółki pracowniczej? - spytała wprost.

- To nie jest odpowiedni moment na taką rozmowę.

- Mogę wiedzieć dlaczego?

- Bo jestem zły jak diabli. Najchętniej kark bym ci skręcił.

- Dlaczego? Czy dlatego że uważam ten pomysł za nierealny?

- Dlatego że nawet nie chciałaś słuchać, co mamy do powiedzenia. Nie dałaś nam żadnej szansy.

Anne westchnęła i znów zamilkła. Bryce powiedział jej dokładnie to samo. Może rzeczywiście postąpiła nie fair. Ale jeśli plan nie ma szans powodzenia, czy rzeczywiście powinna była wysłuchać go do końca? Joel Harriman nie sprzeda fabryki w Webster nigdy i nikomu. Stanowiłaby konkurencję dla innych fabryk jego korporacji. Joel nigdy na to nie pójdzie. Gdyby wystąpiła do Calvina Schwaba z tym projektem, najpierw zaśmiałyby się jej w nos, a potem by ją wyrzucił z pracy. A zresztą, czy grupka robotników może wiedzieć cokolwiek o prowadzeniu takiego przedsiębiorstwa? Splajtowałiby w ciągu roku. Zaoszczędziła im czasu, kłopotów oraz niepotrzebnej goryczy i bólu, kiedy wszystko wzięłoby w łeb.

Skręcili i zjechali z asfaltowej drogi. Anne słyszała teraz chrzęst miażdżonego oponami żwiru. Dookoła były drzewa, lecz w ciemności odróżniała jedynie ich pnie. Tylko od czasu do czasu w świetle reflektorów ukazywał się jakiś konar.

- Usłyszałam dostatecznie wiele, żeby sobie wyrobić



zdanie. A jeśli sądzisz, że chroniąc mnie przed Royem Shanksem i jego kompanami, wpłyniesz na zmianę mojego stanowiska, to gorzko się rozczarujesz. Kazali mi zamknąć fabrykę, a nie sprzedać. Już wczoraj wiedziałeś, jak sprawy stoją - dodała tonem usprawiedliwienia.

- Możesz być pewna, że czegoś takiego się nie spodziewałem.

- Ja też nie - powiedziała bezradnie, czując w sercu niemiły ucisk.

Cała jej czujność wzięła w łeb. Ponad wszystko na świecie pragnęła, by przestał się na nią gniewać. Chciała, żeby zrozumiał jej sytuację, żeby nadal ją lubił. Nie wiedziała, czemu tak bardzo jej na tym zależy, ale zależało, to fakt. Tyle że szanse miała teraz minimalne.

Kiedy w końcu dostrzegła pograżony w ciemnościach dom, odniosła wrażenie, że budynek jest stary i przestronniejszy, niż się spodziewała. Zdążyła już jednak przywyknąć do tego, że tu, w Kentucky, nic nie odpowiada jej oczekiwaniom.

Buck zatrzymał samochód przed domem, u stóp niewielkiego wzniesienia. W tym momencie Anne wpadła na pewien pomysł i w jej serce znów wstąpiła otucha. Obróciła się na siedzeniu i spojrzała w stronę Bucka.

- Wobec tego - odezwała się, a jej głos zabrzmiał donośnie w ciszy, jaka zapadła po zgaszeniu silnika - pozwól, że się upewnię, czy dobrze cię zrozumiałam: jesteś na mnie strasznie wściekły, lecz mimo to chcesz mnie ochronić przez Royem Shanksem. Nie będziesz jednak się do mnie odzywał, bo najchętniej sam byś mnie zabił. Czy tak?

Dłonie Bucka znieruchomiały na kierownicy. Odwrócił głowę i spojrzał na nią z zadziwiającym spokojem. Kiedy się odezwał, nie musiała się szczególnie wsłuchiwać, by wychwycić w jego głosie nutkę rozbawienia.

- Tak - przyznał.

- Świetnie, to tylko chciałam wiedzieć, zanim znów zamilkiesz - stwierdziła już nieco pewniej. - Mam jeszcze tylko ostatnie pytanie.

Przez chwilę milczał, pełen wątpliwości.

- Co to za pytanie? - spytał w końcu.

- Czy powinnam ci podziękować?

W ciemnej kabinie samochodu nie mogła dostrzec wyrazu jego twarzy. Zauważyła tylko, że na moment odwrócił głowę w drugą stronę. Potem znów ujrzała jego profil. Czekala na jakąś reakcję, czując gwałtowne bicie serca.

W leśnej ciszy zadziwiająco głośno rozbrzmiewało brzęczenie owadów.

Nagle Buck uniósł w górę obie ręce i mruknął coś z rezygnacją.

- Tak - powiedział, patrząc jej prosto w oczy. - Ale nie mnie. Podziękuj swoim szczęśliwym gwiazdom, które sprawiły, że nie potrafię się na ciebie gniewać.

- Zrobię to, przysięgam - obiecała z żartobliwą gorliwością, choć zarazem z głębi serca. - Nie mam nic przeciwko przebywaniu w towarzystwie ludzi małymów-nych, ale milczenie doprowadza mnie do szaleństwa.

- Wyobrażam sobie - powiedział miękko. W ciemności ujrzała błysk zębów. Wyobrażenia natychmiast podsunęła jej obraz uśmiechu, który pojawiał się tak często i tak mocno na nią działał... - Oczywiście, jeśli sobie życzysz, możemy zawsze rozstrzygnąć nasz spór na ubitym placu. Co powiesz na zapasy? - spytał prowokująco.

Teraz już nie marzła. Zapiekły ją policzki i w dusznej kabinie nagle zrobiło się gorąco. Wciąż patrząc w jego stronę, sięgnęła po omacku do klamki, ale odpowiedziała przytomnie:

- Nie sądzę, żebyś dobrze na tym wyszedł. Pamiętaj,

że mam trzech starszych braci. Znam wszystkie niedozwolone chwytły.

Drzwi odskoczyły wreszcie, lecz nim się wygramoliła z samochodu na ziemię, usłyszała błyskawiczną ripostę:

- A wiesz, skąd wasze chłopaki znają niedozwolone chwytły? Kto ich nauczył? Założę się, że mógłbym ci pokazać takie numery, o jakich ci się nawet nie śniło - przechwalał się, zdejmując z tylnego siedzenia walizki Anne.

„W to nie wątpię” - pomyślała. Doznawała wrażenia, że nawet w ciemności ciało Bucka rzuca na nią przytłaczający cień. Niemalże dotykalnie czuła jego obecność; gdyby się ośmieliła, wystarczyło sięgnąć ręką. Korciło ją, żeby to zrobić. Odczuwała wręcz mrowienie w palcach.

- Pokaż, gdzie chcesz mnie położyć - powiedziała, rozcierając dłonie.

Buck parsknął głośnym śmiechem.

- Daję ci dwie sekundy na przeformułowanie tego zdania, Anne.

Gończkowo usiłowała odtworzyć w pamięci swoje własne słowa.

- No już dobrze, pokaż mi, gdzie będę spać - poprawiła się pośpiesznie.

Nie przestając się śmiać, Buck poprowadził ją w stronę domu.

Na werandę, która otaczała budynek, wiodła wyłożona kamieniami ścieżka. Dom został pomalowany na biało, tylko ozdobna framuga wokół drzwi wejściowych była ciemnozielona.

Buck pierwszy wszedł do środka, żeby zapalić Bryce'owi światło na werandzie, a dla Anne lampę stojącą na stole. Wnętrze domu w niczym nie przypominało pomieszczeń oglądanych w magazynach ilustrowanych, na pierwszy rzut oka znać było, że gospodarzą tu sami mężczyźni: rozrzucone wszędzie puszki po piwie, gazety i sterty książek

po kątach. Ale pokoje były czyste, zadbane i całkiem przytulne. Ciężkie stare sprzęty sprawiały wrażenie bardzo wygodnych. Kolejny raz, to co ujrzała, rozminęło się z jej wcześniejszymi wyobrażeniami.

- Jesteś głodna? - spytał Buck, stawiając jej bagaż u stóp schodów, naprzeciwko drzwi wejściowych.

- Nie, dzięki.

- Zmęczona?

Była nie tyle zmęczona, ile raczej śpiąca i ni stąd, ni zowąd onieśmielona. Mimo wszystko przytaknęła.

Buck pochylił się i znów ujął jej walizki. Kiedy wszedł na górę i zapalił światło, oczom Anne ukazały się czworo drzwi.

- To mój pokój - powiedział, wskazując ruchem głowy drzwi na piętrze po prawej stronie. - Możesz tu spać od czasu do czasu - dorzucił z uśmiechem. Żartobliwe iskierki, płonące w jego oczach, osłabiły wymowę samej uwagi. Anne mogła wziąć ją za żart i tak też zrobiła. - No a to pokój Bryce'a - ciągnął nie zrażony. - Ty możesz zając ten - oznajmił, kiedy stanęli pod trzecimi drzwiami, w prawym skrzydle domu. Wprowadził ją do środka i zapalił światło. Wystrój różnił się od reszty pomieszczeń. Pokój miał tapetę w błękitne i różowe kwiatki, a w oknach falbaniaste firaneczki. Był bardzo kobiecy. W odpowiedzi na pytające spojrzenie Anne, Buck wyjaśnił: - Ten pokój należał do mojej siostry.

- Nie wiedziałam, że masz siostrę - zdziwiła się Anne i nagle przyszło jej do głowy, że w ciągu ostatniej doby wciąż ze zdumieniem musiała eliminować jakieś cechy, które mu wcześniej przypisywała, lecz dotąd nie wie, jaki jest naprawdę. Uświadomiła sobie, że za wszelką cenę chciałaby się o tym przekonać. - Gdzie ona jest? - spyła po chwili.

- Mieszka z mężem w Covington - usłyszała odpo-

wiedź, a kiedy uniosła wzrok i spojrzała na Bucka, stwierdziła, że on też na nią patrzy. Gdy znów się odezwał, odniosła wrażenie, że potrafi czytać w jej myślach.

- Jest wiele rzeczy, których jeszcze o sobie nie wiemy, Anne. Ale jest też parę takich, co do których mamy całkowitą jasność.

- Na przykład? - spytała i natychmiast pożałowała, że zadała to pytanie.

Buck ujął ją za ramiona i obrócił twarzą w swoją stronę. Palcem wskazującym odgarnął jej za ucho pasmo włosów, potem pogłaskawszy leciutko płatek ucha, powiedział:

- Wiemy na przykład, że nigdy się nie dogadamy w sprawie fabryki.

Poczuła gwałtowne bicie serca.

- To prawda - wykrztusiła z trudem.

- Wiemy, że żyjemy wśród innych ludzi i w innym środowisku.

- To też prawda - szepnęła bez tchu.

Jego twarz była coraz bliżej.

- Wiemy, że być może mamy niewiele czasu dla siebie.

Skinęła tylko głową, gdyż nie była w stanie wydobyć głosu.

- Wiesz, że cię pragnę.

Ledwie dostrzegalny ruch głową.

- A ja wiem, że i ty mnie pragniesz.

- I ja to wiem - szepnęła.

Nie potrafiła już dłużej znieść oczekiwania, pierwsza zbliżyła wargi do jego ust, a on, spragniony, oddał jej pocałunek. Usta miał gorące, wilgotne, zachłanne. Nim zdążyła pomyśleć lub uświadomić sobie, co robi, przyłgnęła do szczupłego, silnego ciała mężczyzny. Nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo pragnie tego pocałunku. Czowała się tak, jakby dotąd była głodna i spragniona, wcale o tym

nie wiedząc. Budził w niej doznania, jakich nawet w sobie nie przeczuwała.

Może i nie chodził do college'u, może wiele świata nie widział. Spotkała już w życiu ludzi bardziej obytych i wyrobionych. Ale jedno trzeba mu było przyznać: całować potrafił. Okazał się mistrzem w pobudzaniu wrażliwych nerwów, rozgrzewał ją, doprowadzał do granic ekstazy. Jego dłonie błądziły po skórze w poszukiwaniu szczególnie czułych miejsc, miała wrażenie, że wszystkie zmysły zostały nagle pobudzone nadzieją rychłego spełnienia. Na zmianę drażnił ją i urzekał, sprawiał, że podłoga usuwała się spod stóp. Jego pocałunki nie były pośpieszne, chaotyczne. Smakowała je powoli.

Poczuła, jak bluzka wysuwa się spod paska spódnicy; zamarała, czekając z drżeniem na dotknięcie rąk na gołej skórze. Kiedy je poczuła, napięcie wzrosło. Zateęskniła za bardziej intymnym dotykiem i z jej ust wydobył się pełen pragnienia jęk. Buck pocałował ją jeszcze głębiej, palcami przesunął po skórze, aż poczuła na plecach gęsią skórę. Miała wrażenie, że jego pieczyoty to obietnica czegoś, co dopiero nastąpi, i czego z całej duszy pragnęła.

Buck pierwszy usłyszał kroki i niespiesznie uniósł głowę. Anne z trudem dźwignęła ciężkie powieki i wtedy jej wysiłek został nagrodzony jeszcze jednym pocałunkiem.

Oboje wsłuchiwali się teraz w dobiegający z dołu odgłos zamykanych drzwi sypialni.

- Zapewniam cię, że nie ode mnie przejął zwyczaj zjawiania się w najmniej odpowiednim momencie - skomentował Buck powrót brata.

Anne całkiem zapomniała o istnieniu Bryce'a. Wciąż jeszcze była zdyszana, serce tłukło się w jej piersiach nieprzytomnie, a nogi miała jak z waty. Rozbawił ją surowy, pełen dezaprobaty wyraz twarzy Bucka.

- Może to i lepiej - rzuciła.

Odsunął ją nieco, by móc dobrze jej się przyjrzeć. W głębi zielonych oczu czaił się jakiś wyraz, który skruszył jej ostatnie wątpliwości. Po raz drugi poczuła, że mogłaby pójść za głosem serca. Takie rozwiązanie wydawało się oczywiste, a zarazem przerażające.

- Wystraszona, co?

Wyglądało na to, że Buck zdaje sobie sprawę, iż to, co zaszło między nimi, nie powinno się było wydarzyć. Wiedział chyba, co to jest i w jaki sposób na nich działa. Nie sprawiał jednak wrażenia przestraszonego.

Anne z uśmiechem pokiwała głową.

- Prawdę mówiąc, czułam się pewniej, kiedy się na mnie gniewałeś.

Pocałował ją w czoło, a potem przytknął swoje w tym samym miejscu, jakby chciał przytrzymać pocałunek.

- Nie obawiaj się, Annie. Mamy czas. Wciąż jestem przy tobie.

O dziwo, rzeczywiście ją to pocieszyło. Na tym świecie, pełnym rzeczy nietrwałych, przemijających, zużywających się zbyt prędko, Buck wydawał się silny i trwały jak opoka. Przy nim czuła się bezpiecznie, ufała mu. Rada była, że ma go przy sobie.

- Łazienka jest na dole, obok kuchni - powiedział, przyciągając ją do siebie i ciasno otaczając ramionami. Po chwili puścił ją, pocałował na dobranoc i odwrócił się, by odejść. - Gdybyś czegoś potrzebowała, wołaj - dorzucił jeszcze.

- Dziękuję.

Patrzyła, jak idzie w stronę drzwi, i pomyślała, że mogłaby powiedzieć coś więcej.

- Dobranoc - usłyszała tylko.

- Dobranoc, Buck.

## Rozdział 5

Wiosna w Kentucky okazała się równie kapryśna jak w Nowym Jorku. Anne wyglądała przez okno na pierwszym piętrze, a chłodny poranny wietrzyk marszczył firanki w jej pokoju. Na środku podwórza za domem stał jeleni.

Anne nigdy przedtem nie spotkała jelenia na wolności. Widok dumnego zwierzęcia, które wyszło z dzikich ostępów, rozciągających się zaledwie dwieście metrów od domu Bucka, i spokojnie szczypało trawę, głęboko ją poruszył.

- Czegoś takiego w mieście się nie zobaczy - powiedziała do siebie z uśmiechem.

Prawdopodobnie po raz pierwszy i ostatni w życiu ogląda taki krajobraz. Tyle drzew! I to rozmaitych. Trzeba by chyba studiować botanikę, żeby je wszystkie rozpoznać. Znała nazwy tylko najbardziej pospolitych, takich jak dęby i klony. Ktoś zrobił kawał dobrej roboty, mieszając gatunki i piętrząc drzewa na zboczach i w dolinach. Kiedy zwróciła głowę nieco w prawo, ujrzała przed sobą wspaniałą dolinę, która wyglądała tak, jakby wyścielono ją dywanem młodych, wiosennych liści.

Dom Bucka okazał się jeszcze starszy, niż myślała. Sądząc po budynkach gospodarczych i ogrodzeniu otaczającym teren posiadłości, dawniej była to farma. Teraz nie istniał tu żaden inwentarz, tylko z prawej strony drzwi dostrzegła świeżo skopany ogródek. Dom nie był biały,



jak jej się zdawało w nocy, tylko żółty. Ściany już nieco przyblakły i przydałoby się na nowo je pomalować.

Anne obudziła się już godzinę temu i nasłuchiwała z dołu odgłosów krzątanimy wskazującej na to, że bracia też wstali i można zejść na dół wziąć prysznic. Wreszcie zza domu dobiegł odgłos zapalanego silnika. Jeleń usłyszał go także i pobiegł do lasu. Po żwirowej drodze jechała półciężarówka, a Anne zachodziła w głowę, jakim sposobem kierowca zdołał wstać, ubrać się i oporządzić przed wyjazdem, nie robiąc najmniejszego hałasu.

Bucka znalazła w kuchni. Widziała silne, szerokie plecy w błękitnej flanelowej koszuli i długie, szczupłe nogi wyciągnięte pod stołem. Jedną ręką podtrzymywał róg czytanej gazety, drugą unosił filiżankę parującej, aromatycznej kawy. Kiedy wyczekiwała na górze, on siedział w kuchni i najspokojniej w świecie popijał kawę. Miała ochotę zepchnąć go z krzesła na podłogę, ale przypomniawszy sobie wczorajsze niedwuznaczne żarty, dała sobie spokój.

- Dzień dobry - odezwała się słodziutko, mając nadzieję, że jako „swoj chłopak” poczęstuje ją kawą. - Przed chwilą na trawniku za domem widziałam Bambiego.

Odwrócił się do niej z uśmiechem i wtedy promień słońca przedarł się przez deszczowe chmury; takie przynajmniej odniosła wrażenie.

- Poprosiłaś, żeby wrócił, kiedy się zacznie sezon łowiecki? - spytał. Zgorszony wyraz twarzy Anne wyraźnie sprawił mu uciechę.

- Strzeliłbyś do Bambiego?

- Gdyby na mnie wyszedł, to czemu nie?

Anne jęknęła ze zgrozą, a Buck ze śmiechem otworzył kredens, w którym trzymał filiżanki do kawy.

- Jak się spało? - spytał.

- Spałam jak zabita. Jesteście wyjątkowo spokojnymi

ludźmi. Czekałam na górze, aż zaczniecie hałasować i będę mogła zejść, a tu nic.

Postawiła filiżankę, a Buck napełnił ją kawą.

- A my zachodziliśmy w głowę, co też możesz tak długo robić na górze, bo słyszeliśmy, jak wstałaś. - Pokiwał głową.

Roześmieli się, oboje trochę skrepowani wymuszoną przez okoliczności bliskością. Potem siedzieli dalej, w milczeniu popijając kawę.

Anne dostrzegła ukradkowe spojrzenie, którym Buck obrzucił jej szlafrok. Poczula, że pod wpływem wzroku mężczyzny krew zaczyna szybciej krążyć w jej żyłach. Z jednej strony chciała mu się podobać, z drugiej zaś coś jej mówiło, że najlepiej zrobi, jeśli zostawi ten cały paštet i wróci do Nowego Jorku. Owinęła się szczelnie szlafrokiem i zakazała sobie stanowczo dalszego wikłania się w miłosną aferę z Buckiem. „Wszystko nas dzieli, wkrótce się rozstaniemy. Z tej mąki chleba nie będzie” - przekonywała samą siebie.

- A ja wyglądałam przez okno. Nie mogę wyjść z podziwu, że tutaj jest tak pięknie. Chyba się zakocham w Kentucky - powiedziała filuternie, mając na myśli coś zupełnie innego.

- To zostań tu - podjął skwapliwie, jakby nie było nic prostszego, niż posłuchać jego rady. - Nie byłabyś pierwszą Jankeską przesadzoną na nasz grunt.

- Pewnie nie pierwszą, ale za to najmniej lubianą- zartowała ponuro, odwołując się do wydarzeń ubiegłego wieczoru.

- Hmm... - zafrasował się Buck. - Pewnie i masz rację. Chyba że zmienisz swoje stanowisko w sprawie likwidacji fabryki.

- Stanowisko nie jest moje, tylko Harrimana.

- Ale ty jesteś jego przedstawicielką i mogłabyś z nim rozmawiać w naszym imieniu.

- Buck!

Już sam ton miał świadczyć o tym, że nie pora wracać do tematów zawodowych. Buck chyba to zrozumiał.

- No już dobrze, dobrze - rzekł pojednawczo. Jego spojrzenie powędrowało w stronę atlasowego szlafroka, spod którego wystawał rąbek bielizny. Wyciągnął ramię w tę stronę, pochylił się nieco i chwycił w palce kołnierz od piżamy. - Co to jest? Jedwab? - spytał.

Jego ręka powędrowała niżej i wsunęła się pod rozcięcie przy dekolcie. Trzymając od spodu tkaninę i przesuwając ją między palcami, sprawdzał jakość materiału. Anne wstrzymała oddech, kiedy palce bezwiednie musnęły jej pierś. Gdyby nie czuła przyspieszonego bicia pulsu na szyi, mogłaby sądzić, że serce w niej zamarło.

Uniosła wzrok i napotkała spojrzenie Bucka. Wiedział już, co chciał, i wyglądał na zadowolonego.

- Dobra tkanina. Ładny splot - pochwalił.

- W życiu nie spotkałam mężczyzny, który by się interesował... ubraniami - wykrztusiła, świadoma, że musiał dostrzec jej wcześniejszą reakcję.

- Pamiętaj, że to mój zawód. Robię takie szmatki - powiedział, ujmując całą dłońią przód piżamy. Przyciągnął Anne w swoją stronę, aż poczuła na wargach jego oddech. - W naszej branży mówimy na to „materiał przylegający”.

Parsknęła z dezaprobatą, bo żart był głupi, ale na tym protest się skończył, gdyż Buck zamknął jej usta długim, głębokim pocałunkiem. Nie było gorzej niż wczoraj. W ciągu kilku sekund poczuła się lekka jak piórko, choć jednocześnie pulsująca energią. Całe jej ciało płonęło, a zarazem wszystko się wydawało nierzeczywiste.

Usłyszała, że Buck mruczy z zadowolenia, jego wargi

ześlizgnęły się w dół i poczuła na szyi ich wilgotny dotyk. Ogarnęło ją pragnienie, by zsunąć się z krzesła i kochać z nim natychmiast, desperacko, tu i teraz. „Boże, co on ze mną robi” - pomyślała. Słabła z pragnienia, lecz jedna natrętna myśl mąciła tę idyllę. Coś jej się nie zgadzało. Dziwiła się, że Buck potrafi tak prędko przerzucić się z rozmowy na temat fabryki do pieszczot. Nie była to właściwie myśl, przecucie raczej, zadra, która tkwiła w jej sercu. Tylko dzięki niej zdołała się oprzeć pragnieniu.

Buck - odezwała się głosem ochrypłym z emocji. Oburącz odciągnęła jego ręce i wreszcie zdołała odzyskać nieco swobody. - Buck, musimy porozmawiać.

- O czym? - spytał, próbując znów zamknąć jej usta pocałunkiem.

- O fabryce. O nas.

- Nie teraz.

- Właśnie, że teraz. Żeby nie było między nami żadnych niedomówień.

Dał za wygraną. Poważnie popatrzył jej w oczy, jakby rozważał propozycję i ją akceptował.

- Dobrze, ale potem. Chciałem powiedzieć, że teraz możemy porozmawiać o nas. Nigdy nie rozmawiam o interesach z kobietami, które nie mają nic pod spodem. To im z góry daje przewagę.

- Tak, ale rozmowa o nas w stroju, który mam na sobie, mnie z kolei ustawia na straconej pozycji. Pójdę włożyć coś na siebie - zdecydowała, zażenowana i bardziej niż kiedykolwiek świadoma wątpliwej osłony, jaką dawał cieniutki negliż.

- No cóż, jeśli uważasz, że trzeba - powiedział z rozczarowaniem w głosie. - Jak będziesz gotowa, możemy pójść na spacer. Wtedy pogadamy.

- A jeśli będzie padało? - spytała, patrząc z nadzieją na zachmurzone niebo za oknem.

- Wtedy zmokniemy - odparł bez wahania i po raz ostatni obrzucił spojrzeniem jej piersi, widoczne pod przylegającym do ciała materiałem. Kolejny raz poczuła ucisk w żołądku i przyspieszone tętno krwi.

Powinna pojechać do fabryki i rozpocząć analizę dokumentów finansowych, lecz nie potrafiła się oprzeć propozycji Bucka. Kto by tam pracował w sobotę, jeśli można tego uniknąć. Wymyśliła sobie świetną wymówkę: powie Calvinowi, że Lily ma wolne weekendy, a bez niej nie potrafiłaby nic znaleźć. On, który nie umie trafić do toalety bez pomocy swojej sekretarki, na pewno zrozumie.

Pakując się trzy dni temu, nie brała oczywiście pod uwagę spacerów w plenerze. Spośród rzeczy zabranych z domu wyciągnęła jasnofioletową bawelnianą bluzę, spódnicę w kwiaty i espadryle na sznurkowej podeszwie, gdyż tylko one miały płaski obcas.

Spacer rozpoczęli od obejrzenia posiadłości. Okazało się, że dziadek Bucka kupił tę ziemię od banku, kiedy poprzedni właściciele wyjechali w poszukiwaniu lepszego życia. Działo się to w okresie Wielkiego Kryzysu. Przetrwali na tej ziemi złe i dobre lata. - Człowiek musi mieć ziemię na własność, jeśli chce zapuścić gdzieś korzenie - stwierdził Buck.

- Mój ojciec miał duszę podróżnika - powiedziała Anne w zamyśleniu. - Nigdzie długo miejsca nie zagrzebał, wciąż zmieniał pracę i ciągnął nas za sobą. - Lekko się uśmiechnęła. - Dopiero w college'u dowiedziałam się, że istnieją ludzie, którzy całe życie spędzają w jednym miejscu.

- To musiało być dla ciebie trudne - rzekł Buck, zaskakując Anne nutą współczucia, brzmiącą w jego głosie. - Nieznani ludzie, nowe szkoły, nowe miasta...

Anne zastanawiała się przez chwilę. Rzeczywiście nie znosiła ciągłych przeprowadzek. Nigdzie nie czuła się

u siebie, bo wiedziała, że jak tylko przywyknie do jakiegoś miejsca, znów trzeba będzie je opuścić. Pamiętała ból rozstania z ludźmi, których kochała, z wszystkimi rzeczami, które stały się jej bliskie. Wciąż żywe było wspomnienie osamotnienia wśród kolegów, dla których była nowa, i strachu ogarniającego ją ilekroć myliła drogę, wracając ze szkoły do domu. Ale innego życia nie знаła, więc nie przyszło jej do głowy, żeby za nim tęsknić, akceptowała ciągle zmiany. Dopiero dziś, w rozmowie z Buckiem, poczuła ostre ukłucie zazdrości, kiedy zdała sobie sprawę, że jej samej obce jest poczucie przynależności do jakiegoś miejsca na ziemi.

- Nie było tak źle... - stwierdziła, zbyt dumna, by odkryć swe prawdziwe uczucia. - Mój tata zawsze potrafił zrobić z tego wielką przygodę. Poza tym przeprowadzki zbliżały naszą piątkę. Nie mieliśmy przecież nikogo innego.

Buck najwidoczniej nie mógł się dopatrzeć dobrych stron w koczowniczym trybie życia, lecz nie drażył tego tematu. Zaczął opowiadać, jak tu wyglądało, gdy mieli jeszcze farmę. Teraz uprawiali już tylko ogród i niekiedy trzymali trochę inwentarza, którym uzupełniali jądłospis składający się głównie z mięsa upolowanych zwierząt i ryb. Żaden z nich nie czuł powołania do rolnictwa. Anne pomyślała, że łatwiej, a przede wszystkim bez konieczności oglądania jatek, można to samo dostać u rzeźnika.

Po obejrzeniu posiadłości zapuścili się głęboko w las. Tam, skąd przyjechała, taki spacer zwykle się nazywać wspinaczką. Jak go zwał, tak go zwał. Dość, że i na okolicę, i na przewodnika miło było popatrzeć, czuła się jednakowo nimi oczarowana.

Pytała Bucka o rozmaite gatunki drzew i kwiatów. Pokazał jej hikorę, buk i topolę, a ponadto krzewy rododendronów, magnolie i górskie wawrzyny. Specjalnie się za-

trzymał, żeby mogła obejrzeć olbrzymie drzewo kawowe rosnące w Kentucky.

To, co zostało pomyślane jako wyprawa w góry, miało swój wyraźny zmysłowy podtekst: przypadkowe spojrzenia, nieumyślne gesty i inne podświadome komunikaty, świadczące o wzajemnej atrakcyjności partnerów. Anne zastanawiała się, czy najpierw zerwie się burza, którą zapowiadały deszczowe chmury, czy też ta druga, w nich samych, także wisząca w powietrzu.

Zbliżyli się do strumienia, który dalej rozlewał się szeroko i tworzył spore jezioro. Na brzegach aż kipiało od drzew i oplatanych pnączami krzewów. Wyglądało to tak, jakby las powstrzymywała tylko obawa przed pogrążeniem się w głębinach jeziora.

Anne oglądała te cuda natury, wstrzymując oddech z zachwytu. Raz tylko poczuła strach, kiedy po rozchwianym pomoście, który wyglądał tak, jakby jeszcze nigdy nie skaziła go stopa człowieka, zapuścili się w głąb jeziora.

- Cudnie tu - westchnęła Anne - a byłoby jeszcze ładniej, gdyby nie to - powiedziała, wskazując z obawą na deski pod stopami.

- Pięknie, prawda? - niepotrzebnie spytał Buck.

- Cudnie - powtórzyła szeptem. Miała wrażenie, że stanęła na skraju letniej rezydencji Boga.

- Jutro rano, jeśli będzie ładnie, wezmę cię na ryby. Spodoba ci się, zobaczysz. Stoi się na bosaka na brzegu i gmera palcami w błocie. Nie masz pojęcia, jakie to fantastyczne uczucie. A jeśli do tego coś się złapie, to już pełnia szczęścia.

- Brzmi zachęcająco - stwierdziła Anne.

Zrobiło się stromo i doszła do wniosku, że teraz zaczęła już prawdziwą wspinaczkę. Zapuszczali się coraz głębiej i głębiej w niedostępne lasy, aż w końcu znaleźli się na

niewielkim płaskowzgórzu, skąd mieli wspaniały widok na całą okolicę.

- Nie ma tu czasem jakiejś windy? - spytała, z trudem łapiąc oddech. Stała i zadarłszy w górę głowę, patrzyła na spiętrzone nad nią skały. Wyżej złowieszczo kłębiły się ciemne chmury.

- Zmęczona?

„Znów czyta w moich myślach” - stwierdziła w duchu Anne, a głośno powiedziała:

- Troszeczkę. Niezupełnie tak wyobrażałam sobie spacer. Buck, to przecież najprawdziwsza w świecie wspinaczka! Czarny szlak, dzikie pustkowia.

- Annie! - Popatrzył na nią z żartobliwą dezaprobatą. - Rozczarowujesz mnie! Wyrosłem na opowieściach o tym, jak silne i nieustraszone są jankeskie kobiety. Dlaczego akurat ja musiałem tak fatalnie trafić?

- Świetny dowcip.

Wykrzywiła się, ręką pokazała, by prowadził dalej. Nie była szczególną patriotką, ale zawsze łatwo ją było sprowokować.

Droga nie była aż tak trudna, jak Anne się obawiała. Nie wspinali się na skały, lecz przechodzili pomiędzy nimi, w sporej odległości od niebezpiecznych górskich krawędzi. W końcu znaleźli się na pagórku porośniętym sięgającą do kolan trawą, w której gdzieniegdzie błyszcząły błękitne kwiaty leśnych dzwonek.

Miejsce było cudowne i bardzo romantyczne, lecz kiedy Anna weszła na sam szczyt i spojrzała w dół, zaczęła podejrzewać, że Buck nie wybrał tego miejsca przypadkowo. Z pewnością romantyka nie była czynnikiem decydującym.

Na tle zielonych wzgórz, w dolinie, leżało Webster. Tyśiące mniejszych i większych domów, wieżowce, sklepy, restauracje. Pośród rzeką a linią kolejową, która łączy-



ła zachodnie wybrzeże ze wschodnim, wznosiły się mury fabryki włókienniczej Webster Textiles. Z kominów fabrycznych unosił się biały dym.

Nie używając słów, Buck jeszcze raz próbował postawić na swoim, sprawić, by zrozumiała jego opór przeciwko decyzji o zamknięciu fabryki. Była ona sercem tego miasta. Leżała w aksamitnej dolinie między Apalachami a płaskowyżem Cumberland. Okoliczna ludność od setki z górą lat zarabiała na życie przetwarzaniem przędzy na rozmaite tkaniny. Zaledwie siedemdziesiąt lat temu wprowadzono tu technikę drukowania i uszlachetniania materiałów; nowe działy potrzebowały nowych pracowników. Ludzie ściągali do fabryki z pobliskich gór, Webster się rozrastało, podobnie jak okoliczne miasteczka.

Chciał, by zdała sobie sprawę z tego, że zarówno Webster, jak i cała dolina staną wkrótce w obliczu problemu masowego bezrobocia, które doprowadzi do zubożenia ludzi, a następnie wyludnienia doliny. Miasto będzie wkrótce martwe.

- Z góry nie wygląda szczególnie, prawda? - spytał, stając tuż przy niej. - Stare. Fabryka zresztą też. Domy... Nawet mieszkańcy w większości są starzy, bo młodzi, jeśli tylko mogą, wyjeżdżają stąd do większych, nowocześniejszych miast. Jeśli zamknie się fabrykę, wszyscy ludzie przed sześćdziesiątką wyjadą, a kiedy pozostali pomierają, to miejsce przestanie istnieć.

Malował przyszłość miasta czarnymi barwami, nie wkładając w słowa najmniejszej emocji. Anne знаła go już jednak na tyle, by wiedzieć, że jeszcze się nie poddał. Widziała w jego oczach głębokie przywiązanie do tej ziemi. Nawet postawą manifestował podziw dla tutejszych ludzi. Kiedy znów na nią popatrzył, na jego twarzy malował się upór.

- Ale stąd nie widać prawdziwego miasta, Annie. To

nie domy i nie fabryka tworzą miasto, tylko ludzie, którzy w nim mieszkają. Zapuscili tu korzenie głębiej niż drzewa. Zostali tu, bo taki był ich wybór, bo kochają to miejsce. Mają tu rodziny, ich nadzieje, marzenia i wspomnienia są związane z Webster. Oni także są częścią miasta i dlatego nikt nie ma prawa zmieść go z powierzchni ziemi, jakby nigdy nie istniało. I jakby nie było tu ludzi.

Trudno było nie dostrzec, że temat bardzo go poruszył. Mówił więcej, niż miał w zwyczaju, a Anne czuła żarliwość, z jaką wypowiadał słowa, i czuła, jak bardzo pragnie ją przekonać.

- Do licha ciężkiego, Buck! Czego ty chcesz ode mnie? Czy myślisz, że mnie to się podoba, że sprawia mi jakąkolwiek przyjemność? Jeśli tak, to grubo się mylisz. Nie ja tu decyduję, wykonuję tylko swoją pracę, która nie ma nic wspólnego z odczuciami.

- A co czujesz?

- Już ci mówiłam. Uważam, że to śmierdząca sprawa.

- Więc czemu nie chcesz nam pomóc?

- W czym pomóc? Pomóc w zainwestowaniu ostatniego centa, wycisnąć ostatnią kroplę potu tylko w tym celu, by wszystko poszło na marne?

- Skąd możesz wiedzieć, że tak się stanie? Dlaczego sądzisz, że nie damy rady? - pytał gorączkowo, patrząc jej prosto w oczy.

- Harriman wam nie da! - krzyknęła wreszcie, wyprowadzona z równowagi i zrezygnowana. Dlaczego nie chce jej uwierzyć? Czemu nie chce się pogodzić z tym, co nieuchronne? Mogłaby się założyć, że Buck się nie podda bez walki. Teraz wiedział już, z kim przyjdzie mu walczyć. Może to go otrzeźwi. - I bez was konkurencja na rynku jest duża: tani import, inne zakłady. Harriman nie da rady utrzymać fabryki, ale nie stać go także na to, żeby

pracowała na cudze konto. Byłoby to zakładanie stryczka na własną szyję.

Buck przez chwilę rozważał jej słowa. Patrzył na nią w napięciu, lecz nie miała pewności, czy w ogóle ją widzi. Wreszcie zmarszczył brwi.

- Co z nas za konkurencja? - spytał. - Rynek nie jest aż tak mały, a my nie chcemy milionów, tylko zarobić na życie.

Anne odwróciła głowę. I tak powiedziała zbyt dużo. Ona także musi zarobić na życie.

Delikatnie odwrócił ją w swoją stronę.

- Annie! - powiedział ciepło. - Spróbuj zrozumieć. Jeśli się nie odważymy, możemy wszystko stracić. Nie tylko pracę, domy i wszystko, co się z tym wiąże. Stracimy także poczucie godności i szacunek dla siebie samych. Nawet jeśli się nie uda, jeśli padniemy, będziemy przynajmniej mieli satysfakcję, że próbowaliśmy. Tylko to naprawdę się liczy. Czy nie rozumiesz?

Rozumiała doskonale. Jej ojciec zawsze to mówił. Ale samo rozumienie niczego nie rozwiązywało. Dostrzegła ponadto, że Buck zaciągnął ją w te ostępy, ponieważ gdzie indziej nie odważyłby się mówić z nią o godności i szacunku do siebie samego. To należało do tematów tabu. Przełamał się, bo miał nadzieję, że Anne dzięki temu więcej zrozumie.

- Nie mogę was powstrzymać, Buck. Wyślijcie waszą ofertę, jeśli tak bardzo chcecie - powiedziała z rezygnacją. Teraz przynajmniej była pewna, że znają reguły gry. - Mam nadzieję, że dostaniecie fabrykę i że dobrze wam pójdzie. Ale musimy wyjaśnić sobie jeszcze jedną rzecz.

- Co mianowicie?

- Nie proście mnie o pomoc, bo jej wam nie udzielę. Ja też mam swoją pracę, swoją dumę i poczucie godności. Dopóki mnie nie odwołają, będę robić, co do mnie należy.

- To brzmi rozsądnie - powiedział, kiwając głową po-

takująco. Na wargi wypłynął mu uśmiech, a oczy rozbłysły radością. - A teraz, skoro osiągnęliśmy porozumienie na płaszczyźnie służbowej, powinniśmy omówić inne sprawy.

Mimo że skończył rozmowę na temat fabryki, sprawiał wrażenie, jakby nadal zamierzał mówić o interesach.

- Mam nadzieję, że nie jest to coś, co mnie rozzłości lub wpędzi w nowe kłopoty? - spytała, chcąc przebrnąć wreszcie przez wszystkie poważne rozmowy.

- Myślę, że nie.

- No więc, dobrze. O czym jeszcze musimy pomówić?

- dopytywała się niecierpliwie.

Robiło się chłodno i miała nadzieję, że Buck zdąży wyłuszczyć swój problem, nim burza się rozpocznie i trafi ich piorun. Zastanawiała się, jak wytłumaczy swoją decyzję Calvinowi. Jak cokolwiek zdoła mu wytłumaczyć.

Podniosła wzrok na Bucka i cierpliwie czekała, aż zacznie. Jego uśmiech przygasł nieco, wydawał się jakby niepewny czy skrepowany. Było to tak do Bucka niepodobne, że patrzyła zafascynowana. Wreszcie jednak ciekawość wzięła górę.

- O co chodzi? - zachęciła go raz jeszcze.

Długą chwilę patrzył na nią bez słowa. Zadawał nie wypowiedziane pytania, na które nie potrafiła znaleźć odpowiedzi. Chciała odwrócić wzrok, by umknąć przed tym przenikliwym spojrzeniem, lecz coś powstrzymało ją. Zapadło długie milczenie.

W końcu Buck poruszył się niespokojnie, ściągnął z głowy czapkę i potarł dłonią kark.

- To chyba jednak nie jest odpowiednia chwila - oznajmił.

- Odpowiednia na co?

- Już nic. Nie mówmy o tym. Trzeba wracać.

- Nie, Buck. Chciałeś mi coś powiedzieć. Co to było?

- Annie, nic ważnego. Chodźmy, bo burza zaraz się zacznie.

- Czy jest tu w pobliżu jakiś strumień? Strasznie chce mi się pić - powiedziała, chcąc zyskać na czasie. Miała nadzieję, że Buck zmieni zdanie i wyjaśni problem, który go nurtował.

- Nie, musisz poczekać, aż wrócimy do domu - rzekła, wyciągając rękę.

- W takim razie daj mi chociaż posiedzieć. Jestem skonana.

- To po co tyle krzyczałaś? - Chwycił jej ramię i pociągnął, dopóki nie stanęła na nogi. - Skoro jesteś spragniona i zmęczona, to chodźmy. Napijesz się, czego chcesz, po powrocie, możesz się nawet zdrzemnąć.

- Nie chcę iść. Chcę wiedzieć, co mi miałaś do powiedzenia - upierała się Anne, nie postąpiwszy nawet kroku.

Zmarszczył brwi, niezdecydowany i trochę poirytowany, zastanawiając się, co robić. Nagle porwał ją w ramiona i przycisnął usta do jej warg. Był to gwałtowny, namiętny pocałunek, pełen długo maskowanych uczuć.

Anne niczego się nie spodziewała. Poczula nagle na wargach język, nieustępliwy, penetrujący, żądający wstępu głębiej. Rozchyliła usta i ona z kolei ruszyła na poszukiwania, odkrywając nie znane jej dotąd podniety.

Przekonanie, że nie powinna się wiązać z Buckiem, krążyło jej po głowie jak uprzykrzony komar, lecz ciało mówiło co innego. Skłaniała się w jego ramiona, czując, że traci zmysły. Pragnęła wtopić się w niego, zniknąć z powierzchni ziemi. Piersi jej obrzmiały i ocierały się o jego pierś, zmysły miała napięte do ostatnich granic, gorączkowo wtulała się w jego ciało.

Oderwał się od niej powoli. Badał jej reakcję z niedowierzaniem, w taki sposób, jakby dopiero teraz przejrzał na oczy. Uniósł prawą dłoń i dotknął twarzy Anne, kciu-

kiem lekko pogładził policzek. Wydawał się zupełnie spokojny, tylko w oczach miał tęsknotę i zdziwienie. Potem znów pochylił głowę.

Lekki jak pieszczota pocałunkami obsypał jej czoło, policzki i szyję. Anne poczuła dreszcz wywołany przez miliony drobniutkich igiełek. Powieki jej opadały, kolana się uginały, pochyliła głowę na bok, by odsłonić szyję i zrobić więcej miejsca dla pocałunków.

- Annie - usłyszała szept.

Z trudem uniosła powieki. Pragnienie widoczne w jego oczach, uniesienie i żarliwa chęć objęcia w posiadanie mogłyby nawet przerazić, gdyby wrażenia nie łagodziła bezgraniczna czułość.

Stali, zapatrzeni w siebie, niepewni, czy cieszyć się chwilą obecną, czy też postąpić krok dalej, ku obszarom, które mogli wspólnie odkrywać.

Buck pierwszy doszedł do siebie. Zadarłszy głowę, spojrzał w złowrogie chmury, następnie z uśmiechem błakającym się w kącikach ust popatrzył na Anne.

- A teraz jesteś szczęśliwa? - spytał prowokująco.

- Bardzo. Choć wciąż nie wiem, co mi miałeś powiedzieć.

Buck zaśmiał się głośno i pokręcił głową z dezaprobatą.

- Naprawdę nie słyszałaś tego, co ci przed chwilą mówiłem? Od naszego ostatniego pocałunku wciąż miałem ochotę na następny. Czasami łatwiej pokazać, o co chodzi, niż tłumaczyć.

- Człowiek czynu, co? - Roześmiała się, ujęta jego słowami, które rozproszyły wszystkie czarne myśli. - Powinam chyba ostrzec przed tobą Harrimana, nie sądzisz?

Opuścił ręce i przez chwilę analizował jej słowa. Potem zdecydowanie ujął dłoń Anne i pociągnął w dół tą samą drogą, którą przyszli.

- Nie - odpowiedział wreszcie. - Niech ma okazję

przekonać się na własnej skórze. Zresztą to raczej ty powinnaś się mieć na baczności.

- Ja? Boże, to zabrzmiało złowieszczo. - Próbowała zachować powagę i wyrazić głosem stosowną do okoliczności obawę.

- Popamiętasz moje słowa - zapewnił, odwracając się w jej stronę, by pomóc w pokonaniu wąskiego przejścia między dwoma olbrzymimi głazami.

Kiedy stanęła na prostej drodze, nie puścił jej, tylko znów przyciągnął do siebie i złożył na jej ustach pełen obietnic pocałunek. Potem uśmiechnął się, poskrobał ją po nosie i oznajmił:

- Wiążę z tobą pewne plany, skarbie. - Po czym odwrócił się i spokojnie ruszył ścieżką w dół.

Och, milcz, serce! Buck zręcznie się prześlizgiwał między skałami. Obserwując go, doszła do wniosku, że kole-dzy w biurze wiedzą, co robią, trzymając ją z dala od wszystkich ciekawych zadań.

## Rozdział 6

- Chcesz pójść „Pod Wrzeciono” do Bryce'a czy wolisz wrócić do domu? - spytał Buck, gdy dopili kawę w przytulnej knajpce w mieście.

Cudowny wiosenny dzień właśnie się kończył i oboje byli w wyśmienitym nastroju.

Przez całe popołudnie zbierało się na burzę. Kiedy wreszcie lunęło, Buck napalił w kominku. Na dworze waliły pioruny, błyskawice rozświetlały niebo, a oni siedzieli blisko siebie przy ogniu, słuchając wspomnień, zwierzeń i dzieląc się planami na przyszłość.

Anne nigdy dotąd po tak krótkiej znajomości nie czuła się z nikim równie swobodnie. Z nikim też nie była tak -zczera. Nawet jej przyjaciółki nie znały sekretów, które z taką łatwością powierzała Buckowi. Potrafił słuchać, a w niej przez lata nazbierało się wiele nie wypowiedzianych spraw.

Usiadł tuż obok i obserwował ją bacznie. Wciąż, być może bezwiednie, szukał z nią fizycznego kontaktu. U Anne nie wywoływało to skrepowania czy rozdrażnienia. Spuszczając wzrok, widziała splecione dłonie, za chwilę czuła dotyk ręki na szyi, ramieniu lub na udzie. Co ciekawe, wzajemna bliskość dawała jej poczucie bezpieczeństwa. Anne wiedziała, że wciąż drzemie w nich jakaś ukryta potężna siła, choć żadne nie stara się przywołać jej do życia.

Mogła znaleźć sobie innego partnera do zwierzeń;



Buck był bądź co bądź przeciwnikiem. Gdy byli sami, tylko on i ona, nie istniała fabryka, nie było między nimi różnic środowiska i pochodzenia. Byli Anne i Buckiem. Czują się tak, jakby znała go całe życie. Ufała mu i tylko to się liczyło.

Kiedy na dworze ulewa przeszła w mżawkę, zaczął im doskwierać głód. Anne zaproponowała, że coś ugotuje, by się odwdzińczyć za gościnę. Ucieszył się i obiecał na deser najwspanialszą pod słońcem szarlotkę. Anne wykazała umiarkowany zapał, gdy się okazało, że po deser trzeba będzie jechać do miasta.

- Skąd wiesz, że Bryce jest „Pod Wrzecionem”? - spytała, zlizując z widelca ostatnie okruchy rzeczywiście najlepszej pod słońcem szarlotki.

- Dzwonił.

- Kiedy?

- Jak rano wróciliśmy ze spaceru.

Spojrzała mu w oczy. Czują, że nie mówi jej wszystkiego.

- Coś złego działo się wczoraj w motelu? - domyśliła się.

- Nic się takiego nie działo. - Lekceważącemu ruchowi ramion przeczył wyraz twarzy Bucka. Widząc, że Anne i tak mu nie wierzy, zdecydował się powiedzieć prawdę:

- Myśleli, że jesteś w pokoju. Poleciało parę kamieni. Jimmy słyszał, jak nadjeżdżali, ale nie zdążył nic zrobić. Zamierza przesłać im rachunek ze wszystkie szkody, jakie wyrządzili.

- Czy był tam Roy Shanks?

Pokręcił głową. Anne zastanawiała się, czy nie wie, czy też jego przeczenie miało oznaczać, że nie zamierza jej poinformować.

- Co ty na to? - spytał weselszym tonem. - Jak ci się podoba pomysł, żeby dołączyć do Bryce'a „Pod Wrzecionem”?

- Wiesz, naprawdę nie mam pojęcia. Czy to dobrze, żeby nas widziano razem? Znajdziesz się między młotem a kowadłem, jeśli komuś przyjdzie do głowy cisnąć we mnie zastawą.

Bryce od ładnych paru godzin kładzie w uszy co trzeba i komu trzeba. Wszyscy już wiedzą.

- O czym, na Boga?

- Że zmieniłaś stanowisko.

- Przecież wcale nie zmieniłam - powiedziała, przerażona, że źle się zrozumieli.

- Ale nie zamierzasz działać przeciwko nam. Ludziom trzeba tylko szansy, Anne. I ty im ją dałaś.

Postanowili w końcu, że pójdą „Pod Wrzeciono”.

Jadąc przez miasto, Buck pokazywał Anne obiekty, które, jego zdaniem, powinny ją zainteresować: a to kościół liczący sobie ponad dwa wieki, a to centrum młodzieżowe czy autostradę międzystanową. W pewnym momencie zatrzymał swój wóz na środku ulicy i wdał się w pogawędkę z kolegą, który jechał w przeciwnym kierunku. Przedstawił Anne, a ona odwzajemniła uśmiech powitania, mimo że wychodziła ze skóry, myśląc o korku, który się za nimi tworzył.

Nie była to wprawdzie godzina szczytu na Manhattanie, lecz inni kierowcy i tak musieli wykazać anielską cierpliwość. Kiedy wreszcie panowie pomachali sobie na pożegnanie, Anne z westchnieniem ulgi opadła na fotel.

- Wiesz co? Gdybyście zrobili taki numer w Nowym Jorku, wyciągnęliby was z samochodów i zatłukli na śmierć - poinformowała Bucka życzliwie.

Parsknął śmiechem i niedbale machnąwszy ręką, oznajmił:

- I to właśnie jest piękne, Annie. Nie jesteśmy w Nowym Jorku.

Pokiwała głową bez słowa.

„Nie wygląda szczególnie oryginalnie” - pomyślała, kiedy zaparkowali samochód przed parterowym budynkiem z cegieł, oświetlonym kolorowym neonem. Był dokładnie taki, jak inne bary piwne w Nowym Jorku, Filadelfii czy w Bostonie. W takich właśnie barach zwykli się spotykać robotnicy i zawsze czuli się w nich jak u siebie w domu. Tak się złożyło, że przybytek zwany „Pod Wrzecionem” należał do robotniczej braci z fabryki włókienniczej w Webster.

W środku było niebiesko od dymu. W powietrzu unosił się zapach piwa i spoconych ciał. Dopiero po kilku sekundach oczy Anne przywykły do przyćmionego światła.

Kiedy się pojawili, w barze nagle przycichło. W ciszy, która zapadła, słychać było tylko zawrozczenie jakiejś piosenkarki country, dochodzące z szafy grającej. Kilka twarzy wydało się Anne znajomych i na pierwszy rzut oka dostrzegła, że Bryce rzetelnie wypełnił swoją misję. Nie nawiązała miejsca podejrzliwości, niechęci i obawie. Przechodząc między stolikami, stwierdziła z ulgą, że prawdopodobnie nikt jej nogi nie podstawi. Nie miała pretensji o to, że jej nie lubią. Sam fakt tolerowania jej obecności w barze był wystarczającym gestem dobrej woli.

- Cześć! - zawołał głośno Buck i unosił rękę na powitanie. - Wygląda na to, że większość zna tę miłą panią. Wyszliśmy, żeby spędzić czas w gronie znajomych. Wy także. Więc jeśli ktoś chce powiedzieć coś nieprzyjemnego, niech to zachowa na inną okazję. A jeśli zechcecie przyjść, żeby pokazać, jacy z was równi kumple, zapraszam do stolika i stawiam wszystkim piwo.

Anne miała ochotę zapaść się pod ziemię. Najchętniej wsunęłaby się boczkami i usiadła przy stoliku gdzieś w kącie. Głośne oświadczenie, złożone przez Bucka w sali pełnej ludzi, zwróciło na nią uwagę wszystkich obecnych.

Stała pod obstrzałem niechętnych oczu, w samym środku nieprzyjaznego terytorium, i czuła się całkowicie bezbronna. Zarejestrowała jednak, prawie automatycznie, że Buck nie mówił do obcych ludzi, lecz do swych przyjaciół, znajomych i kolegów ze związku. Mogła go tylko podziwiać, gdyż nie знаła nikogo innego, kto odważyłby się dla niej na taki gest.

Reakcję obecnych w barze ludzi trudno było ocenić, gdyż każdy przyjął słowa Bucka inaczej. Po chwili cały incydent poszedł w zapomnienie i wszyscy wrócili do przerwanych zajęć.

Wśród dźwięków muzyki country Anne szła śladem Bucka w stronę baru, przy którym dostrzegł brata. Wciąż jej się zdawało, że znajduje się w centrum uwagi, i próbowała nie rzucić się w oczy. Wszystko na nic. Buck był tu tak lubiany, że wiele osób by go powitało, choćby towarzyszył mu sam diabeł. Wciąż trzymał ją za rękę, próbował ją wciągnąć w krótkie rozmowy, w jakie się wdawał, przechodząc między stolikami. Anne mimo to czuła skrepowanie, które jej kazało usunąć się w cień. Dopiero kiedy napotkała w tłumie Bryce'a, zdała sobie sprawę, że jej obawy są bezpodstawne. Zerknęła na starszego mężczyznę, z którym Buck właśnie rozmawiał, i dostrzegła, że w spojrzeniu, jakim obrzuca ją nieznajomy, nie ma niechęci, tylko całkiem naturalna ciekawość. Uznał najwidoczniej, że choć Anne pracuje dla Harrimana, tłą się w niej jeszcze resztki przyzwoitości.

Nagle poczuła do niego sympatię i posłała mu ciepły uśmiech. Jeszcze raz powiodła wzrokiem po twarzach ludzi, z którymi Buck dopiero co rozmawiał, i dostrzegła w większości z nich gotowość zawarcia przymierza. Mieszkańcy Kentucky byli dziwnymi ludźmi. Wiedziała z literatury, że potrafili być pamiętliwi, a jednak zdobyli się

na to, by jej udzielić kredytu zaufania. W głębi serca miała nadzieję, że ich nie rozczaruje.

Gdy wreszcie dotarli do stolika, który Bryce trzymał dla nich, Anne czuła się już całkiem swobodnie. Pojawiła się kelnerka, by przyjąć zamówienie. Choć w barze było tłoczno, Anne wiedziała, że jeśli nie chce znów zwrócić na siebie uwagi wszystkich obecnych, musi zamówić zimne piwo. Lubiła piwo, lecz nie był to napój, którym się raczyła, kiedy jej się zdarzało odwiedzać modne nowojorskie lokale czy nocne kluby.

Bryce wstał, by wrzucić kilka monet do szafy grającej, a Buck przysunął się z krzesłem do Anne, otoczył ją ramieniem i pochylił się do jej ucha, by przekrzyczeć muzykę.

- Widzisz? Nie było tak źle! - powiedział.

Znajdował się tak blisko Anne, że kiedy mówił, jego oddech łaskotał ją w policzek. Lekko odwróciła głowę i potarła nosem o nos Bucka. Potem uśmiechnęła się i przytaknęła ledwo dostrzegalnym ruchem głowy. Przez chwilę jak urzeczeni patrzyli sobie w oczy.

- To w większości wspaniali ludzie. Naprawdę wspaniali. Daj im choćby cień szansy, a zostaną twymi przyjaciółmi do końca życia.

Anne po raz drugi skinęła głową. Nie potrafiła zdobyć się na nic więcej. Jego twarz była tak blisko, oczy ją hipnotyzowały, czuła ciepło bijące od ciała... Pomyślała, że pewnie znów ją pocałuje. Miała nadzieję, że wreszcie to zrobi. Powiedział, że ma plany wobec niej, a Anne wysnuła wniosek, że pokrywają się one z jej planami. Przez całe popołudnie Buck nie uczynił nic, by ją upewnić, że obojgu chodzi o to samo. Jej odporność na dotyk i spojrzenia miała swoje granice. Czuła, że jeszcze trochę, a podda się sygnałom własnego ciała, drobnym igielkom, które ją przenikały, i zacznie pierwsza.

Chciał ją pocałować; miał to wypisane na twarzy. Nie robiła nic, by go powstrzymać, raczej przeciwnie: robiła wszystko, co w ludzkiej mocy, żeby mu dać do zrozumienia, iż nie miałyby nic przeciwko jednemu, jednemu pocałunkowi.

Przysunęła się jeszcze bliżej. Kiedy poczuła jego wzrok na swoich ustach, specjalnie zwilżyła wargi czubkiem języka, starając się, by ten gest wypadł możliwie seksownie. Tysiące razy widziała takie chwytły w kinie i tam to działało, tu jednak zyskała jedynie tyle, że Buck wyciągnął rękę i z łokciem opartym na stole bawił się kosmykiem jej włosów.

- Jesteś najcudowniejszą istotą, jaką w życiu widziałem - oznajmił niespodziewanie.

Była to dobra nowina i Anne poczuła się pochlebiona, lecz prawdę mówiąc, wołała, kiedy mniej mówił, a więcej robił.

- Zatańczysz, Anne?

Dopiero chmurne spojrzenie Bucka uświadomiło jej, że propozycja nie wyszła od niego. Spojrzała przez ramię na Bryce'a, który z zakłopotaniem przenosił wzrok z brata na Anne.

- Chyba że ty zamierzasz zatańczyć - bąknął niepewnie.

- Nie krępuj się - powiedział Buck, ale twarz miał zachmurzoną.

To, że wybór właściwie należy do niej, żadnemu nie przyszło do głowy. Tak się złożyło, że rzeczywiście wołała zatańczyć z młodszym, bo podobało jej się żalodne, a zarazem groźne spojrzenie Bucka.

Obdarzyła obu panów czarującym uśmiechem, a następnie Bryce poprowadził ją w stronę małego parkietu, znajdującego się w centrum baru, między stolikami a stolami bilardowymi. Miejsce oświetlone było różnokolorowymi przyćmionymi światłami i kręciło się tam kilka par.

Muzyka country to jeszcze jedna dziedzina nowa dla Anne. Nieraz ją słyszała, lecz tańczyć w tym rytmie nigdy nie miała okazji. Bryce zaczął od podskoku, a potem ruszył żwawo w przód. Niestety, nie zdołała w porę zejść mu z drogi. W mig połapała się, w czym problem.

- Wy, Jankesi, nie macie pojęcia o najprostszych rzeczach - powiedział żartobliwie.

- Na to wygląda, więc mnie naucz! - krzyknęła mu prosto do ucha.

- Każdy stan tańczy polkę trochę inaczej, ale nasza jest najfajniejsza.

Pokazał jej po kolei, kiedy należy tupnąć, kiedy unieść nogę, a kiedy drobić małe kroczki; potem był podskok i posuwisty krok, który najtrudniej było złapać. Z początku czuła się okropnie niezdarnie, a zarazem zła, że własne stopy uparcie nie chcą robić tego, co im się każe.

- Okay. Spróbujemy - rzekł w końcu Bryce, ujmując jej lewą dłoń, prawą zaś kładąc na swoim ramieniu.

Najpierw potykała się o jego stopy. O swoje także. Potem zgrali się jakoś i Anne poczuła się dostatecznie pewnie, by unieść wzrok i popatrzeć triumfalnie na Bryce'a. Pękała z dumy i chciała się upewnić, że Buck też widzi jej postępy.

Kiedy tylko Bryce odwrócił ją twarzą w kierunku stolików, spojrzała na Bucka. Mało, że wcale na nią nie patrzył, to jeszcze trzymał na kolanach jakąś babę.

- Ojej. Przepraszam - powiedziała, kiedy z rozmachem nastąpiła partnerowi na nogę.

Powinna się skoncentrować, żeby znów złapać rytm, ale nie mogła się powstrzymać od zerkania w stronę Bucka i jego znajomej. Uśmiechali się do siebie i rozmawiali jak starzy dobrzy przyjaciele. Nawet bardzo dobrzy. Dziewczyna miała na sobie obcisłe dzinsy i bluzkę bez pleców, a rozpuszczone ciemne włosy zakrywały twarz,

kiedy pochylona mówiła mu coś na ucho. Buck trzymał ją w pasie, dłonie miał splecione dokładnie na jej brzuchu.

Anne musiała odwrócić wzrok. Wezbrała w niej niezrozumiała wściekłość. Choć знаła to uczucie, bo bywała już w życiu zazdrosna, nie miała żadnego powodu, żeby odczuwać zazdrość o Bucka. Zbliżyli się do siebie, stali przyjaciółmi, lecz ich związek nadal był w najlepszym wypadku dyskusyjny. Cóż więc dziwnego, że Buck miał innych przyjaciół, a raczej przyjaciółki, które znały go dłużej i lepiej niż ona.

Wszystko to brzmiało rozsądnie, lecz w uczuciach rzadko kiedy idziemy za głosem rozsądku.

Kiedy muzyka przestała grać, Bryce zamierzał odprowadzić Anne do stolika, lecz ta, wzburzona i wściekła na Bucka, przeprosiła na chwilę i poszła do damskiej toalety, żeby jakoś się pozbierać i zapanować nad rozhuśtanymi emocjami. Nie czuła się na siłach, by stanąć twarzą w twarz z Buckiem i jego sympatią. Gdy tylko upewniła się, że jest sama, zaczęła przywoływać się do porządku.

- Anne Hunnicut, masz w tej chwili przestać - powiedziała na głos, patrząc prosto w swoje niebieskie oczy odbijające się w lustrze nad umywalką. - Zaczynasz wariować. Absolutnie nie masz prawa winić tego człowieka. Ty zostaniesz tutaj parę dni, góra dwa tygodnie. A dla niego tu jest całe życie. Takich lał, jak tamta w džinsach, ma tu pewno więcej - przekonywała się, żalując jednocześnie, że nie przyszło jej do głowy, by wziąć z sobą do Webster obcisłe džinsy. - Czyś ty całkiem zdurniała? Czego właściwie chcesz? Napytać sobie biedy? Zwiążesz się z tym człowiekiem, wpadniesz po uszy, a później trzeba będzie zbierać manatki. Czy właśnie na tym ci zależy?

Odwróciła wzrok od lustra, zastanawiając się nad odpowiedzią.

- Dam sobie radę - oznajmiła. - Oboje jesteśmy doj-



rzałymi ludźmi, którzy mają... pewne potrzeby. Będę się kontrolować, żeby nie zabrnąć zbyt daleko. A kiedy wrócę do Nowego Jorku, nie będzie żadnych łez. Przysięgam. Zostaną wyłącznie piękne wspomnienia. - Przerwała nagle i popatrzyła w lustro z politowaniem. - Upadłaś na głowę. Wiesz o tym. Ten numer nie przejdzie. Piękne wspomnienia miewasz tylko w nocy po dobrym programie rozrywkowym. Wpadniesz jak nic, a wtedy...

Usłyszała hałas przed drzwiami toalety. Nie chciała, żeby ją widziano, jak stoi przed lustrem, więc błyskawicznie wślizgnęła się do jednej z kabin.

- Popatrz, nikogo tu nie ma - powiedział jakiś kobiecy głos. - Załatw się, bo zrobisz w majtki.

- Wyobrażasz sobie, jakie to bezczelne babsko? Co taka sobie myśli? Że kto ona jest? - rzuciła ze złością druga kobieta, a jej słowa odbiły się echem od wyłożonych kafelkami ścian. - Hasa tu jak u siebie, fabrykę będzie zamykać, a potem się wprowadza do Bucka. Oczy bym jej wydrapała.

- Uspokój się, Georgie. Twój czy co? Pewnie zresztą między nimi nie ma nic poważnego.

- Co ty powiesz? A jak mu powiedziałam, że kiedy się nią znudzi, może do mnie przyjść, to wiesz, co mi powiedział? - Druga kobieta milczała, czekając najwidoczniej na odpowiedź. - Powiedział, że noce będzie miał teraz raczej zajęte, ale w każdym razie dziękuje - burknęła, a potem prychnęła wściekle.

Pierwsza kobieta wybuchnęła śmiechem.

- Pewnie specjalnie to powiedział, żebyś podniosła swój ołowiany tyłek z jego kolan. Buck się lubi drażnić.

Nastąpiła chwila ciszy.

- Wiesz, co ja sobie myślę? - podjęła po chwili.

Nie było odpowiedzi, tylko Anne wyszeptała bezgłośnie: co? co?

- Myślę, że on ją chce wykorzystać. Już śpiewa inaczej. Zmieniła zdanie w sprawie kupna fabryki, no nie?

- Niby tak...

- Może teraz chce ją zmiękczyć, żeby mu pomogła w negocjacjach z Harrimanem.

- Tak myślisz?

- No, a jak? Idź na salę i udawaj, że nic się nie stało. Zobaczysz, że za parę tygodni, jak jej wysokość wróci do Nowego Jorku, czy skąd tam przyjechała, znów będzie dobrze między wami.

- Naprawdę tak myślisz? Ciuchy ma beznadziejne, a w ogóle...

Głos nagle ucichł, gdyż obie kobiety wyszły z toalety, zamykając za sobą drzwi.

Po chwili Anne ostrożnie wyszła z kabiny. Spojrzała na swoje odbicie w lustrze. Dylemat został rozstrzygnięty. Odpowiedź wyczytała w swojej twarzy, na której malowała się doznana uraza i rozczarowanie. Czyżby to miał być plan, o którym wspominał Buck? Czyżby cały jego urok, wszystkie te uśmiechy i pocałunki obliczone były na to, by mu pomogła zrealizować samobójczy plan założenia spółki pracowniczej? Jak mogła być tak naiwna, żeby się na to nabrać? Czy którykolwiek z jej kolegów z pracy mógł się kiedykolwiek okazać równie głupi? Jeśli tak, to nigdy o tym nie słyszała.

Tym razem też nikt się nie dowie. Mało brakowało, by wpadła w sprytnie zastawioną pułapkę, ale nie wszystko stracone. Błędy uda się jeszcze naprawić.

Kiedy wróciła do stolika, obaj bracia powitali ją uśmiechem. W oczach Bucka dostrzegła błysk uznania, który tym razem nie zrobił na niej wrażenia. Było jej wprawdzie gorąco, lecz rozgrzewał ją wyłącznie gniew.

- Chcę już wyjść - oznajmiła, wzbudzając zrozumiałe zdziwienie obu panów.

Wymienili zakłopotane spojrzenia, a Buck zerwał się z krzesła.

- Czy stało się coś złego?

- Jeśli nawet, to po raz ostatni.

Skinął głową i ruszył za nią, obserwując ją bacznie.

- Czy ktoś ci coś powiedział?

- O czym miał mi powiedzieć?

- O niczym. Pytam, czy ktoś powiedział coś, co cię zdenerwowało?

- Nie - powiedziała obojętnie, zamykając w ten sposób rozmowę.

Droga powrotna do domu Bucka przypominała tę, którą odbyli poprzedniej nocy. Z tą różnicą, że tym razem Buck czuł się niezręcznie i niespokojnie na nią popatrywał, a ona kipiała ze złości. Znowu poczuła zimny powiew od otwartego okna, lecz tym razem nie omieszkała mu o tym powiedzieć:

- Zamknij to cholerne okno, bo całkiem skostnieję.

- Annie, nie chcesz ze mną rozmawiać? Powiedz, co cię ugryzło? - pytał, zdziwiony i zaskoczony.

- Bardzo proszę, nie wyłączaj silnika, dobrze? Zaraz wracam - rzekła, kiedy zatrzymali się przed domem. Z rozmachem zamknęła drzwi i zdecydowanym krokiem ruszyła przed siebie.

## Rozdział 7

Na bezchmurnym niebie świeciła okrągła tarcza księżyca. Miliony gwiazd błyszczały jak brylanty na czarnym aksamicie, lecz Anne nie poświęciła im nawet chwili uwagi. W rekordowym czasie wróciła do samochodu, wlokąc za sobą ciężkie walizy. Księżyc oświetlał jej ścieżkę, którą szła do samochodu, i była to jedyna korzyść z romantycznej nocy.

- Co ty robisz? - spytał Buck, spojrzawszy w jej stronę. Wyraz zafrasowania na jego twarzy jeszcze się pogłębił.

- Bądź łaskaw odwiedzić mnie z powrotem do motelu Jimmy'ego McKee.

- Dobrze. Tylko powiedz dlaczego. Czemu się wyprawdasz?

- Alarm odwołany. Powinnam była to zrobić rano.

- Annie, powiedz mi, co się stało?

- Nic się nie stało.

- Kłamstwo. Coś się musiało stać, inaczej tak byś ze mną nie postępowала - powiedział przygnębiony.

Miał nad nią przewagę i jeśli nie otrzyma wiarygodnej odpowiedzi, pewnie będzie próbował tę przewagę wykorzystać.

- Dobrze, powiem ci. Powiedzmy, że... nauczyłam się czegoś.

- Czego?

- Czegoś, co dotyczy „swoich chłopów”.

- O nas mówisz?

- A o kim? Pomożesz mi włożyć walizki? - spytała, uginając się pod ich ciężarem.

- Nie pomogę. Chcę, żebyś została. Chcę wiedzieć, czego konkretnie się nauczyłaś - powtórzył, a następnie oparł się o samochód, jakby zamierzał zostać tak do rana.

- Świetnie, w takim razie pójde pieszko - stwierdziła. Nagle coś jej się przypomniało: - Jak to się stało, że nie wzięłam samochodu? Mogłam przecież wczoraj jechać za tobą albo wziąć go dziś w ciągu dnia. Jak mogliśmy o tym nie pomyśleć?

Nawet jej samej pytanie wydało się niedorzeczne, lecz zraniona do żywego i wściekła, nie potrafiła już myśleć rozsądnie. Najchętniej by mu przyłożyła, lecz nie miała pewności, czy przypadkiem nie odda. Wiedziała tylko jedno: ufała mu od pierwszej chwili, zależało jej na nim, a on od samego początku ją oszukiwał. Teraz potrzebowała samotności; co tam kamienie, w motelu będzie się mogła wypłakać i do woli walić pięścią w poduszkę.

- Zostawiliśmy go dla zmyłki. Dzięki niemu wszyscy myśleli, że wciąż tam jesteś. Dlaczego ty nie pomyślałaś, żeby dziś go zabrać, tego nie wiem. Ja pomyślałem, ale doszedłem do wniosku, że lubię, kiedy jesteś ode mnie uzależniona, więc po prostu ci nie przypominałem - wyjaśnił.

Sprawa miała wrażenie całkiem spokojnego, lecz Anne w jego oczach widziała, że jest maksymalnie spięty. Czyżby się bał, że go przejrzała?

- No tak. Wszystko się zgadza. Nie mówisz wiele, ale baśka pracuje, prawda? - To nie miało brzmieć jak komplement. Pomyślała, że Buck jest chytry jak lis. Dziwny wybrał sobie moment na szczerość.

- Więc dlatego jesteś zły? - spytał. - Bo nie wzięliśmy twojego samochodu?

Najwyraźniej postanowił sobie, że się nie domyśli.

Pewnie mu się zdaje, że jest strasznie sprytny i nikt nie przejrzy jego zamiarów. „Już ja mu zepsuję to dobre samopoczucie” - zdecydowała Anne.

- Nie, wcale nie dlatego jestem zła - krzyknęła. Postawiła koło siebie ciężkie walizki. Nie wiedziała, ile jej zajmie wyłuszczenie zarzutów, a musiała zachować siły, na wypadek gdyby jej przyszło wracać pieszo do Webster. - Zaczaj ci powiem, dlaczego jestem zła. Jestem zła, bo mnie wykorzystałeś. Och, pozwoliłam na to, i między innymi dlatego jestem tak wściekła. Ale mnie oszukałeś. Wszystkie te uśmiechy, gadanina o tutejszych chłopakach, o bratkach babci. Wszystko było grą, a ja się dałam nabrać. I tak nie mogłabym was powstrzymać przed złożeniem Harrimanowi oferty, więc cała wzniosła przemowa o dumie i szacunku do samego siebie była stratą czasu. Nie wyobrażaj sobie tylko, że mi zawrócisz w głowie i pomogę ci złożyć ofertę, a potem prowadzić negocjacje. Takie plany ze mną wiązałeś, o tym mówiłeś rano, prawda? Od początku miałeś taki plan, od pierwszego momentu na drodze, kiedy się zorientowałeś, kim jestem. Wiesz, prędzej umrę, niż...

Buck nagle postąpił krok w jej stronę. Cofnęła się, lecz niepotrzebnie. Sięgnął tylko po walizki, chwycił je, jakby nic nie ważyły, i wrzucił na tylne siedzenie. Szarpnął drzwiczkami samochodu i otworzył je na oścież.

- Jeśli rzeczywiście wierzysz w to, co powiedziałaś, to wsiadaj. Będę uszczęśliwiony, mogąc odwiedzić cię do motelu - powiedział spokojnie, lecz w jego zielonych oczach płonął ogień.

Anne patrzyła jak zahipnotyzowana. Wyglądał tak, jakby spotkała go krzywda. Był dotknięty do żywego, bardziej niż ona sama. Nagle straciła cały rozpęd. Znieruchomiała w obliczu suchych faktów jak żaglowiec na mieliźnie.

Poczuła, że Buck jej nie oszukał, choć na własne uszy słyszała co innego.

Nagromadzona złość nie mogła znaleźć sobie ujścia i oczy Anne wezbrały łzami.

- Nie chciałam wierzyć - chlipnęła - ale wszystko, co słyszałam, brzmiało tak logicznie. Jak miałam postąpić?

- Kto ci powiedział, że cię wykorzystuję?

- Właściwie nikt. Słyszałam przypadkiem, jak dwie kobiety rozmawiały w damskiej toalecie.

Wzięła wielką białą chusteczkę do nosa, którą Buck wyjął na wszelki wypadek, rozpostarła ją i osuszyła oczy.

- W damskiej toalecie?

Anne przytaknęła, wycierając nos.

- Jedna z nich była zła, że przyszłam „Pod Wrzeciono”, a druga ją pocieszała, że jesteś dla mnie miły tylko po to, żebym ci pomogła zdobyć fabrykę.

- A ty, rzecz jasna, wierzysz w każde słowo usłyszane w damskiej toalecie - stwierdził Buck.

- Ludzie zwykle wierzą podsłuchanym informacjom - odparowała, walcząc z napływającymi do oczu łzami.

- Tylko głupi ludzie, których nie stać na więcej.

- Co ty powiesz? A wyobraź sobie, że jedną z tych kobiet trzymałeś na kolanach. Ona chyba miała informacje z pierwszej ręki.

Wszystko się pomieszało. Ufała mu w głębi serca, pełna jednocześnie wątpliwości i obaw. Odwróciła się od niego w nadziei, że jeśli nie będzie na niego patrzeć, dojdzie z sobą do ładu.

Nastąpiła długa chwila ciszy. Już się miała obrócić, by sprawdzić, czy Buck stoi tam jeszcze, kiedy dobiegło ją pełne namysłu pytanie.

- Wiesz, co ja o tym myślę?

- Nie mam pojęcia. Co? - spytała, odwróciwszy się w jego stronę.

- Myślę, że nie tyle jesteś zła o to, że cię ponoć oszukiwałem, ile o tę kobietę na kolanach.

- Nie bądź śmieszny - parsknęła, starannie unikając jego wzroku. - To najbardziej niedorzeczna myśl, jaką kiedykolwiek słyszałam.

- Czyżby?

- Ależ oczywiście. - Zaśmiała się nerwowo. - Nie roszczę sobie żadnych praw. To twoje kolana. Możesz na nich sadzać, kogo zechcesz.

Przez chwilę rozważał coś w myślach, a po chwili rzucił:

- A chciałabyś rościć sobie prawa, Annie?

- Ależ skąd! - zaprzeczyła gwałtownie. - Przecież jestem tu na krótko.

- Pewna jesteś, że nie? - spytał, odrywając plecy od samochodu i idąc w jej stronę z rozpostartymi ramionami. - Jestem wolny i chętny. Żadnych zobowiązań. Jestem teraz do wzięcia - drażnił się z nią.

- Przestaniesz? Ja mówię całkiem poważnie.

- Ja też, Annie. Chciałbym, żebyś przypieczętowała swoje prawa. I to zaraz.

- Och - parsknęła z niesmakiem. - Strasznie się zgrywasz.

- Dlaczego? - spytał nie zrażony. - Czy dlatego że przypadł mi do gustu pomysł o wzajemnych prawach?

- Czemu zaraz wzajemnych?

- Oczywiście - powiedział ze sztuczną powagą - to działa w obie strony.

Jego uśmiech całkiem Anne rozbroił. Zapragnęła nagle dla siebie wszelkich praw. Chciała mieć na własny użytek to muskularne ciało, te wargi, które doprowadzały ją do szaleństwa. Pragnęła uzyskać dostęp do jego myśli i zawładnąć jego duszą, otrzymać wyłączny dostęp do jego serca.

- Naprawdę? - spytała. - Więc pokaż, jak to działa.



W jego oczach pojawił się błysk, który dobrze znała. Dzielili ich niewielka odległość, lecz Buck przywołał Annie do siebie. Serce tłukło się w jej piersiach jak oszalałe, kiedy na uginających się nogach postąpiła mały krok naprzód. W tej chwili dzieliły ich już tylko centymetry.

Buck wciąż na nią patrzył. W jego oczach dostrzegła pragnienie równie silne jak to, które płonęło w niej samej.

- To takie łatwe - powiedział. - Wystarczy sięgnąć ręką. Ja zrobię to samo.

Łatwe, akurat. Ramiona ciążyły jej jak ołowiane. Drżała. Nigdy w życiu nie pragnęła jeszcze nikogo równie silnie. Z nagłą determinacją, drżącymi palcami sięgnęła w stronę zapięcia jego koszuli. Patrzył na jej ręce, kiedy odpinała dwa górne guziki. Dopiero wtedy podniósł na nią oczy płonące pożądaniem. Wyzwolili tym prostym gestem całe pokłady nagromadzonych w nim uczuć. Pognął ją wzrokiem; czuła to i ręce poruszały się teraz mniej sprawnie. Skoncentrowała całą uwagę na trzecim guziku, starając się nie myśleć o tym, że postępuje bardzo lekkomyślnie.

Jak to możliwe, że przed chwilą było jej zimno? Teraz czuła się tak rozgrzana, że całe jej ciało zwilgotniało.

Gdy Anne zdała sobie sprawę, że ręce Bucka wędrują w kierunku ściągacza jej bluzy, znieruchomiała. Pochylił się lekko i ściągnął bluzę przez głowę, a potem przyciągnął Anne i zamknął w ramionach. Delikatne wilgotne pocałunki na karku wywołały w niej wstrząsające całym ciałem dreszcze. Czuła na szyi elektryzujący dotyk języka, leniwie zakreślającego kręgi na skórze: Ledwo zdała sobie sprawę z tego, że oboje przesuwają się stale w kierunku domu.

Jego szorstkie ręce zahaczały o gładki jedwab bielizny, lecz na skórze ich dotyk wydawał się delikatny i czuły, a jednocześnie śmiały. Pociągnął ją na ziemię. Mokra od

rosy trawa łaskotała w szyję i chłodziła rozpalone ciało. Kiedy poczuła na sobie ciężar Bucka, zrozumiała, że nie ma już odwrotu. W tym momencie tylko to się liczyło. Nie istniała żadna przeszłość; nie było fabryki ani ludzi z Webster. Nawet przyszłość nie miała żadnego znaczenia. Teraz liczył się tylko Buck, jego delikatny dotyk, ręce, którymi torował pocałunkom drogę do ciała. Anne też dawała z siebie wszystko. Chciała pieścić go domyślniej niż wszystkie kobiety, z którymi był przed nią. Choć nie przyznała się do tego, nie ścierpiałaby już żadnej baby na jego kolanach, chyba że byłaby to ona we własnej osobie. Ten moment powinien zapaść mu w pamięć tak głęboko, by wszystkie dawne i przyszłe doznania gasły w porównaniu z tym, czego teraz doświadczał.

Namiętne pocałunki i dotyk rąk, błędzących po omacku, wywołały w obojgu dotkliwą tęsknotę. Niecierpliwe dłonie pokonywały przeszkodę, jaką było ubranie. Pozbywali się go chaotycznie. Wreszcie skóra zetknęła się ze skórą i oboje wydali westchnienie zachwytu.

Jego usta, wilgotne i gorące, spoczęły na piersi Anne, ssały delikatnie i drażniły językiem twardy, wrażliwy sutek. Księżyc i gwiazdy skryły się nagle. Anne zamknęła oczy. Jej palce błędziły w gęstych, krótkich włosach Bucka. Przyciągała go do siebie, przytrzymywała. Pragnęła, by ta oszałamiająca pieśczoła nigdy się nie skończyła. Wygięła szyję w łuk i wydała jęk, który zdawał się poruszać w nim najgłębsze pokłady emocji. Stał się nagle bardziej natarczywy, niecierpliwy, spragniony. Poczuła jego zęby na skórze, a ten dotyk doprowadził ją na skraj szaleństwa. Jego ręka zsunęła się w dół i powoli, lecz nieomylnie powędrowała po brzuchu w kierunku łona, wślizgnęła się między uda, usiłując je rozchylić. Anne instynktownie uniosła biodra, wychodząc naprzeciw pal-

com, które dopiero poznawały drogę. Czują dotkliwy ból pustki i pragnęła, by została wypełniona.

Jej ręce nieprzytomnie błądziły po ciele mężczyzny. Poczują nagły dreszcz, kiedy napotkały napięte mięśnie muskularnych pleców i silnego torsu. Narastające pragnienie wkrótce przytępiło radość odczuwania. Postanowiła sama ruszyć w drogę. Czują pod opuszkami palców drżenie mięśni. Serce śpiewało w niej z radości, że potrafi wywołać w nim doznania, jakie sama odczuwa. Wsunęła mu rękę między uda i z dreszczem zachwytu, wywołanym jego pełnym rozkoszy i udręki jękiem, objęła wreszcie dłonią to, czego szukała.

- Annie - wyszeptał ochryple.

Stał się jeszcze bardziej natarczywy, jego ręce doprowadzały ją do szaleństwa. Wydała z siebie gwałtowny okrzyk, zdławiony dotykiem jego ust. Ukłękął przed nią, oparł jej nogi na swoich biodrach i przyciągnął ją jeszcze bliżej. Wszedł w nią silnymi, gwałtownymi pchnięciami, a Anne czuła się tak, jakby nastąpił koniec świata.

Księżyc i gwiazdy rozbłysły na nowo. Świeciły niżej i jaśniej niż kiedykolwiek. Oślepiały, a Anne wiedziała, że kiedy wyciągnie rękę, będzie mogła ich dotknąć. Dotknęła jednej, potem drugiej. Przez jeden cudowny moment ścisnęła gwiazdy w dłoniach, potem rozchyliła palce, by znów je uwolnić.

Anne powoli wracała z obłoków rą ziemię. Jeszcze przed chwilą jej się zdawało, że płynie w powietrzu, straciła poczucie rzeczywistości. Teraz zaczynała czuć wilgotne źdźbła trawy nad głową. Było chłodno, drżała z zimna. Silne ramiona podniosły ją z ziemi i trzymały w ciepłym opiekuńczym uścisku.

- Buck.

Nie musiała nawet otwierać oczu. Wiedziała, że to on

trzymają w ramionach. Czowała się bezpieczna. Zarzuciła mu ramiona na szyję i przestała myśleć o czymkolwiek.

Leżała z głową wspartą na silnym ramieniu i nie otworzyła oczu nawet wtedy, gdy poczuła, że weszli do domu. Jeszcze niedawno miała nadzieję, że nigdy już nie ujrzy tego miasta. Teraz pragnęła zostać tu na zawsze. Uświadomiła sobie, że Buck niesie ją po schodach na górę, a kiedy poczuła szorstką pościel i miękki dotyk koca, którym ją otulał, przysunęła się bliżej, by poczuć ciepło jego ciała.

- Jesteś kobietą zachłanną, Anne Hunnicut - skarcił ją, lecz delikatnie przytulił i pozwolił przyjąć pozycję, jaką sobie wymarzyła.

- Mówiłeś, zdaje się, że lubisz szybkie kobiety i seks bez pośpiechu - mruknęła z ustami tuż przy jego piersi. Włosy porastające tors łaskotały ją w nos.

- Nie sądziłem, że przyjmiesz to jako zachętę. Po prostu zbiłaś mnie z nóg. Ledwo żyję.

- Ha! Wy, Południowcy, nie potraficie dotrzymać kroku. Nic dziwnego, że wygraliśmy wojnę - droczyła się z nim.

- Ty wstręciuchu - powiedział, ujmując całą dłońią brodę Anne i zmuszając dziewczynę, by na niego spojrzała. - Za pierwszym razem próbowałem być dżentelmenem. Powszechnie wiadomo, że Jankeski się pełne pruderii. Nie chciałem cię wystraszyć.

- Pruderii? Wydałam ci się pruderyjna albo wystraszona?

Buck uśmiechnął się z zachwytem.

- Nie, moja pani. Co to, to nie.

Pocałował ją, delikatnie chwycił zębami jej dolną wargę, potem znów pocałował. Zareagowała nagłym przyływem pożądania i wtuliła się głębiej w obnażony, zaróżniony tors.

Buck zsunął się niżej, położył Anne na wznak, oswobo-

dził nogę unieruchomioną przez jej nogi, potem zdjął z szyi jej ręce i ułożył symetrycznie na poduszce po obu stronach głowy. Niespiesznie całował małe zagłębienie pod obojczykiem, a ona miała wrażenie, że jej szyję obejmują kolia słodkich dreszczy. Leniwie się przeciągnęła, czując łaskoczący, delikatny dotyk warg Bucka.

Kiedy przestał ją całować, otworzyła oczy, mrużąc z rozczarowania, i wtedy w świetle księżyca napotkała jego wzrok.

Delikatna, srebrna poświata podkreślała jedynie linię policzków, wykrój warg i zarys szczęki, resztę twarzy kryjąc w cieniu. Patrzyła w zachwycie na światło drgające na samym koniuszku rzęs, jakby pokrytych czarodziejskim pyłem.

- Myślę, że nim znów zajmiemy się wyłącznie sobą - powiedział głosem ochryłym od powstrzymywanych emocji - musimy ustalić kilka rzeczy. Nie chcę więcej żadnych nieporozumień między nami.

Serce Anne ścisnęło się boleśnie. Miała wrażenie, że już wcześniej odbyli taką rozmowę. Po co wyjaśnienia, skoro oboje wiedzą, że ich związek z konieczności będzie krótkotrwały. Buck jednak najwidoczniej sądził inaczej.

- Nie jestem jakimś prostakiem - odezwał się, wprawiając ją w osłupienie takim zagajeniem rozmowy.

- W... wiem o tym - wyjąkała.

- Nie chcę twojej pomocy w sprawach związanych z fabryką ani jej nie potrzebuję. Od ósmej do szesnastej trzydzieści ty robisz swoje, a ja swoje. Po fajrancie nie rozmawiamy na ten temat. Umowa stoi?

- Stoi.

- Od szesnastej trzydzieści do ósmej jesteś tylko dla mnie - oświadczył, jakby chcąc wyjaśnić także tę kwestię.

- A ty dla mnie.

- Wyłącznie - powiedział, łaskocząc jej szyję oddechem.

- A ta kobieta w dżinsach? - spytała. Z ulgą stwierdziła, że udało jej się zdobyć na żartobliwy ton.

Uniósł głowę. Kiedy z uśmiechem spoglądał na Anne, refleks księżycowego światła padł na jego białe zęby.

- Po co ci ona? - spytał przekornie. - Chyba potrafisz sama mnie rozgrzać, prawda, słonko?

RS

## Rozdział 8

Następnego poranka Anne obudziła się późno. Ponieważ cały jej dobytek leżał nadal w walizkach w samochodzie, zarzuciła na siebie flanelową koszulę, którą Buck miał na sobie poprzedniego wieczora. Strój ten nie był szczególnie seksowny, lecz mimo to schodząc na dół, czuła się tak, jakby wyglądała nad wyraz zmysłowo.

Bucka znalazła w kuchni przy stole, jak poprzednio. Tym razem jednak nie czytał gazety, tylko tkwił po czubek głowy w stertach książek, teczek i papierów.

- Hmm, hmm - chrząknęła głośno.

- Dzień dobry - powitał ją, nie podnosząc wzroku.

Dopiero kiedy skończył, zwrócił się do niej z uśmiechem, od którego Anne topniała jak wosk. - Muszę przyznać, że wolę to, co masz na sobie dziś, niż wczorajsze ubranie.

- Ten stary łańch? - spytała, przybierając pozę modelki prezentującej stroje.

- Ten stary łańch nigdy jeszcze nie wyglądał równie atrakcyjnie - zapewnił. Wyciągnął ramiona na powitanie.

- Masz dla mnie jankeską dychę?

Anne popatrzyła na niego z uśmiechem. Wojna domowa skończyła się ponad sto lat temu, a na Południu przetrwało zadziwiająco wiele dowcipów i powiedzonek o Jankesach. Anne zdążyła się już dowiedzieć, że „jankeską dychę” oznacza pocałunek.

Wcześniej Buck objaśnił jej poglądowo termin „jankeski strzał”. Okazało się, że kiedy dziecko jest zbyt małe,

by zrozumieć, do czego służy pępowina, matka mówi, że pępuszek to ślad po jankeskim strzale. Pępek Anne bardzo przypadł Buckowi do gustu, choć był śladem po strzale z przeciwnej barykady.

Słuchała go ze śmiechem, czując jednocześnie na brzuchu przyjemny dotyk języka. Pociągnęła Bucka za włosy, aż jego twarz znalazła się na wysokości jej twarzy. Całowali się długo do utraty tchu. Drżąc pod dotykiem jego rąk, skoncentrowana na własnych doznaniach, usłyszała swoje imię, powtarzane jak modlitwa.

Teraz, kiedy wyciągnął do niej ramiona, wyczuła, że i on pamięta chwile, które wspólnie przeżyli tego ranka, nim wschodzące słońce oświetliło złocistym blaskiem ich nagie ciała i sprowadziło na nich sen.

- Hola, mój panie. Nie wiem, czy warto. Dam ci dychę, a co ty mi dasz w zamian? - spytała przekornie, idąc w jego kierunku.

- Co tylko zechcesz.

Jego głos był pieszczotą, jak dotyk. Zielone oczy błyszczały zachwytem i pożądaniem.

Postąpiła jeszcze krok naprzód, dała się objąć i posadzić na kolanach. Jedną ręką Bucka powędrowała pod spód flanelowej koszuli i znieruchomiała na pośladku Anne z taką naturalnością, jakby setki razy już tam spoczywała.

- Powiedz, na co masz chęć - poprosił schrypniętym głosem. Niepotrzebnie; wiedział przecież, że ona pragnie tylko jednego...

- Jednego dnia z tobą. Tylko my dwoje i żadnych problemów.

- Chyba to właśnie pragnął usłyszeć, bo sprawiał wrażenie zadowolonego.

- Dostałaś już dosyć. Teraz moja kolej.

Anne przyszyła nagle do głowy zabawna refleksja, że



„jankeska dycha” jest jedyną walutą świata, która w ciągu ostatnich stu lat nie straciła na wartości. Buck potrafił o to zadbać.

Jego dłoń powoli sunęła po plecach Anne w górę, przeslizgnęła się po żebrach, aż wreszcie zamknęła na jej pierś. Dziewczyna poczuła, że ogień, który od wczoraj nie wygasł, rozgorzał w niej na nowo. Odchodziła od zmysłów, znów rozpalona pragnieniem.

- Buck?!

Trzasnęły drzwi, a zaraz potem usłyszeli Bryce'a. Najpierw zawołał coś głośno w kierunku schodów, a potem zaczął się zbliżać w stronę kuchni.

- Zamorduję go - wycedził Buck, a Anne szybko zeskoczyła z jego kolan i usiadła na krześle przy stole, usiłując osłonić nagość koszulą Bucka.

- Dzień dobry. - Nieświadomy niebezpieczeństwa skazaniec powitał ich miłym uśmiechem, potem obrzucił oboje krótkim spojrzeniem, które zapaliło na twarzy Anne rumieniec wstydu, a wreszcie odwrócił się jakby nigdy nic i nalał sobie kawy. - Niezły dzień na handel ciuchami - rzucił.

Buck nie starał się wcale ukryć złości, ale teraz przez moment miał na twarzy wyłącznie zdziwienie. Popatrzył na Anne, wzruszył ramionami i zapytał:

- A kto ma handlować?

- Myślałem, że my - powiedział Bryce z miną niewiniątka. - Widziałem na dworze porozkładane ubrania, więc...

- Chcesz jeszcze pożyczyć?

Buck wstał i groźnie popatrzył na brata. Anne całkiem zapomniała o ubraniach, które wczorajszej nocy zdzierali z siebie w ekstazie. Policzki zapiekły ją silniej.

- Mam przynieść trochę starych rzeczy i rozłożyć tam, gdzie wasze? - spytał jeszcze Bryce.

- Skończ wreszcie - ostrzegł Buck.

Wyszli obaj z kuchni, a Anne nie mogła się powstrzymać od śmiechu.

-Chciałem tylko pomóc! - dobiegł ją od drzwi frontowych płaczliwy głos Bryce'a. - Ciekawe, co pomyślą sąsiedzi.

-Nie mamy żadnych sąsiadów, ty durniu.

Po chwili Anne usłyszała odgłos pracującego silnika samochodu. Wcześniej, kiedy Bryce się pojawił, dźwięk ten uszedł jej uwagi. Buck wrócił z zachmurzoną miną.

- Zastanawiam się właśnie - odezwała się Anne, spokojniejsza już, lecz ciągle speszona - co by było, gdyby Bryce zjawił się w domu wczoraj w nocy. Kiedy byliśmy na dworze albo... nawet później.

- Wtedy naprawdę bym go zabił - powiedział Buck. Podał Anne kawę, a potem wziął swoją filiżankę i podszedł z nią do czajnika. - Byłem pewien, że się nie zjawi.

- Skąd ta pewność?

- Bo mu powiedziałem, co będzie, jeśli się ośmieli - odparł z uśmiechem.

- Chcesz powiedzieć, że... że mu nie pozwoliłeś wracać do domu, bo wiedziałeś...

Buck się roześmiał.

- Miałem nadzieję - to wszystko. A potem, kiedy zaczęłaś tak dziwnie się zachowywać, tym bardziej wolałem, żebyśmy byli sami.

- Więc gdzie on się podziewał całą noc?

Uśmiech Bucka stał się nagle łobuzerski.

- Przypominasz sobie Liddy Evans?

Pokręciła głową przecząco.

- To ta dziewczyna z dzieckiem chorym na cukrzycę. W piątek widziałeś ją w fabryce, pamiętasz?

- Tak, wiem, wiem - powiedziała, przypomniawszy sobie obietnicę złożoną młodej kobiecie.

- Bryce za nią lata - oznajmił jej nie bez satysfakcji. -  
Z Liddy spędził noc.

- I te wszystkie dzieci były z nimi?

Anne przypomniała sobie mgliście, że kobieta wspominała o dwojgu, nie licząc syna, o którym mówiła najwięcej.

- Bryce znika, zanim wstaną. A nawiasem mówiąc, nie wiem do końca, czy bardziej mu zależy na mamie, czy na jej dzieciakach.

Anne poczuła w tym momencie głęboki podziw dla Bryce'a. Mało kto potrafiłby łączyć jedno z drugim.

- Czyli przyszedł po rzeczy na zmianę? - próbowała ustalić przyczynę porannej wizyty.

- Też nie. Rzeczy wziął jeszcze wczoraj.

- No wiesz! - W głowie jej się nie mieściło, że Buck się okazał tak przewidujący.

- Trudno winić człowieka za to, że ma nadzieję.

Spojrzała na niego z dezaprobatą, a potem spytała wprost:

- Więc po co przyszedł do domu?

- Wstąpił rano do Jimmy'ego, żeby sprawdzić, czy nie było czegoś do ciebie. Calvin Schwab dzwonił trzy razy.

- Wpadł do... Muszę przyznać, że niczego nie zaniedbasz - powiedziała z podziwem.

- Niezupełnie.

- Czyżbyś czegoś nie przewidział? - spytała z niedowierzaniem.

- Nie przewidziałem, że Calvin Schwab zepsuje nam dzień, a wydaje mi się, iż tak się stanie - zauważył pośpiesznie.

Anne też tak się wydawało. Miała przykry ucisk w żołądku, bo i ona z góry potrafiła przewidzieć przebieg rozmowy z Calvinem Schwabem.

-No, nareszcie dzwoniysz! - wrzeszczał Calvin Schwab do słuchawki mniej więcej godzinę później. - Gdzieś ty się podziewała?

-Nie było mnie.

Anne nie tłumaczyła się nawet swemu ojcu, tym bardziej nie będzie się zwierzać Calvinowi.

- Nie powiesz mi chyba, że poszłaś coś zwiedzać, Anne. Choćbyś pękła, nie znajdziesz tam nic ciekawego, wiem, bo przecież byłem w Webster, pamiętasz? W tych górach nie ma nic do oglądania.

Chciała mu powiedzieć, że bardzo się myli, gdyż góry w Kentucky są bardzo piękne. Chciała mu opowiedzieć o tutejszych ludziach, ich odwadze, wielkoduszności i uprzejmości. Chciała powiedzieć, kim są „swoi ludzie”, lecz zamiast tego spytała:

- Chcesz się dowiedzieć czegoś o zebraniu czy nie? Nie zależało jej wcale, by te słowa zabrzmiały aż tak szorstko i nieprzyjemnie. Calvin nie wiedział przecież, że zepsuł jej niedzielę. Była tak szczęśliwa z Buckiem, że marzyła o tym, by już nigdy nie myśleć o Nowym Jorku, Harriman Industries i Calvinie. Lecz skąd on mógł o tym wiedzieć? Jakże mógł przypuszczać, że nie minął jeszcze tydzień, a Anne gotowa była wykopać głęboką dziurę w urodzajnej glebie Kentucky, wleźć do środka i na dobre zapuścić korzenie. Sama właśnie to sobie uświadomiła i gdy rozważała w myślach, głośno zdawała drętwą relację ze spotkania z załogą. Gdyby została w Kentucky, popełniłaby błąd. Taka decyzja nie miałaby większego sensu, choć z drugiej strony byłaby całkiem naturalna. Czego więc się bała? Reakcji Bucka? Zrobiło jej się ciężko na sercu.

Buck miał wszelkie podstawy, by się spodziewać, że ich związek będzie przelotny. Czy nie poczułby się uwiązany, gdyby została dłużej, niż planowała?

Pokręciła głową i odsunęła od siebie tę myśl. Zwariowany pomysł!

- No cóż, teraz przynajmniej wiedzą, że sprawa jest poważna - podsumował Calvin. - Chyba cię chcieli zakatrupić, co? Dobrze, że dostali za swoje. Z nimi trzeba twardo. Jestem z ciebie dumny, Anne.

Ufff! Pewnie zapomniała mu powiedzieć o zamieszaniu, jakie wybuchło podczas zebrania, i o tym, że ratunek zawdzięcza braciom LaSalle.

- Jest jeszcze jedna sprawa, Cal. Nie sądzę, żeby była szczególnie istotna, ale muszę o tym wspomnieć - powiedziała, z góry się szykując na ostrą reprimendę. Milczenie Calvina uznała za zachętę. - Oni chcą nam złożyć ofertę kupna fabryki. Zakładają spółkę pracowniczą.

Milczenie.

- Cal?

- I ty uważasz, że to mało istotne? - spytał głosem drżącym od hamowanej pasji.

- Ty sam nazwałeś ich bandą prymitywnych górali, pamiętasz? Ja osobiście nie sądzę, żeby byli w stanie zgromadzić środki. Zarówno w sensie ekonomicznym, jak i merytorycznym. Co nam szkodzi, że spróbują? - Umilkła, by dodać po chwili: - Przynajmniej czymś się zajmą, nie będą mi sterczeć nad głową. Nie dadzą rady uwinąć się ze wszystkim w ciągu dwóch miesięcy.

- Lepiej, żebyś miała rację.

- A nawet gdyby im się udało - powiedziała, przypomniawszy sobie Bucka - cóż prostszego niż odrzucić tę ofertę?

- Miejmy nadzieję, że do tego nie dojdzie. Ostatnia rzecz, jakiej nam trzeba, to żeby jakieś dupki robiły zamieszanie.

Serce jej się ścisnęło ze złości i urazy, kiedy usłyszała lekceważącą uwagę Calvina. W głębi duszy miała nadzie-

ję, że Buck i pozostali robotnicy dopną swego na przekór wszystkim i wszystkiemu. Chciałyby wtedy zobaczyć minę Calvina Schwaba.

Ponieważ nie wiedzieli, jaką sprawę miał Calvin ani jak długo potrwa rozmowa, umówili się, że Buck podrzuci Anne do miasta, a ona weźmie swój samochód, zadzwoni z biura do Nowego Jorku i gdy ze wszystkim się upora, dołączy do Bucka.

Tak się złożyło, że Jimmy McKee okazał się człowiekiem niezwykle uczynnym. Zgodził się przyjmować wszystkie informacje przychodzące do motelu na nazwisko Anne, dzięki czemu jej nieobecność nie wzbudzi żadnych podejrzeń. Upierała się, żeby nadal płacić za swój pokój, lecz Jimmy uznał, że to pomysł całkiem niedorzeczny.

- My tutaj dbamy nawzajem o swoje interesy - powiedział z dziwnym uśmiechem i porozumiewawczym błyskiem w oku. - W tej chwili Buck interesuje się tobą.

Anne była mu wdzięczna za wyświadczoną przysługę, ale mimowolnie zaczęła się zastanawiać, jak długo może trwać „ta chwila”.

Załatwiła kilka spraw w biurze, żeby potwierdzić poIrzebę swej obecności w Webster oraz uciszyć wyrzuty sumienia, jakie się w niej obudziły po rozmowie z Calvinem. Stwierdziła, że nie byłaby w porządku, gdyby pozwoliła, aby rodzące się uczucie odwiodło ją od celu wyprawy.

Kiedy jechała z powrotem do domu Bucka, było już późne popołudnie. Drzewa rzucały na drogę długie, nieru-chome cienie. Dom wzniesiony na małej polance wśród bujnej przyrody sprawiał wrażenie bezpiecznej twierdzy. Był wielki, a choć stary, dobrze zniósł próbę czasu. Wy-

glądał tak, jakby stał w tym miejscu zawsze, jakby stanowił część krajobrazu.

Anne była dziwnie poruszona. Sama nigdy nie czuła się związana z żadnym miejscem, a tutaj wszystko do siebie pasowało i uzupełniało się wzajemnie: dom, Buck i te drzewa. Na czym polegał ów sekret?! Ile lat trzeba przeżyć w jednym miejscu, zanim człowiek się stanie częścią otoczenia, a ono z kolei częścią jego osobowości? Dwa lata? Dziesięć? Całe życie?

Nie miała pojęcia. Wiedziała tylko, że nigdy przedtem nie było jej tak dobrze. Siedząc na frontowych schodach domu Bucka, wciągała w płuca rześkie powietrze, słuchała szelestu liści kołysanych wiatrem i czuła niewyobrażalny spokój.

Codzienna szarpanina, pośpiech, zgiełk nie miały tu dostępu. Anne czuła, że opuszczają całe napięcie. W tych stronach mieszkała cisza, prostota i ukojenie, góry witały ją i zapraszały do siebie.

Roześmiała się głośno. Nie miała zwyczaju bujać w obłokach. Pora zejść na ziemię, poczuć twardy grunt pod nogami. Zaczęła się rozglądać za Buckiem, który był niezaprzeczalnie istotą z krwi i kości.

W kuchni na stole znalazła kartkę umieszczoną w wielkiej czarnej patelni i przytrzymaną otwieraczem do konserw, żeby nie sfrunęła.

*Jestem na rybach. Przyjdź, jeśli pamiętasz drogę. Jeśli nie, zacznij robić obiad. Niedługo wrócę.*

*Buck.*

Zacznij robić obiad. Zacznij obiad. Tak po prostu? To się nie mieściło w głowie! Buck chyba trochę za bardzo wczuł się w rolę. Jeśli mu się zdaje, że zdobył sobie prawa i może oczekiwać dalszych świadczeń, to się zawiedzie. Anne była pewna, że pamięta drogę do jeziora. Co więcej, gotowa była nogi uchodzić, a nawet stawić czoło lwom,

i tygrysom i groźnym niedźwiedziami. Nie miała najmniejszego zamiaru gotować obiadu na polecenie jaśnie pana.

Pomaszerowała na górę, żeby zmienić obuwie, i przy okazji stwierdziła, że jej wszystkie rzeczy zostały przeniesione do sypialni Bucka. Znalazła tam także pudło starych ubrań. Na łóżku czekała druga karteczka:

*To są stare rzeczy mojej siostry.*

*Możesz je włożyć, jeśli ci odpowiadają.*

*Jest też mapa na wypadek, gdybyś pobłądziła.*

Anne stwierdziła ze śmiechem, że Buck naniósł na mapę główne punkty orientacyjne.

- Bucku LaSalle - mruknęła, choć nie mógł jej słyszeć. - Ty byś najspokojniejszą kobietę doprowadził do białej gorączki.

Siedział na końcu starego pomostu z pochyloną głową, wsparty plecami o jeden ze słupków, i wyglądał beztrojsko jak Huck Finn. Absolutna wewnętrzna harmonia i pełny kontakt z przyrodą. Widziała jego gołe plecy. Złożoną koszulę i buty położył blisko na brzegu. Siedział po lurecku, wędkę trzymał między nogami, a na kolanach miał książkę, którą właśnie czytał. Aż szkoda psuć tę sielankę. Zdecydowała się jednak.

Stała na drugim końcu pomostu z rękami opartymi na biodrach.

- Mam zacząć robić obiad, tak?

Podniósł głowę i uśmiechnął się. Nie wydawał się w najmniejszym stopniu zdziwiony jej widokiem.

- Dzięki temu przyszedłeś, prawda?

- To był chwyt poniżej pasa, ale dziękuję za ubranie.

Zaczęła ostrożnie przesuwac się po pomoście w jego stronę. Wiedziała, że deski w każdej chwili mogą się załamać, ale próbowała o tym nie myśleć i brnęła wytrwale w kierunku Bucka. Przy nim będzie bezpieczna.



- Nie ma o czym mówić. To raczej ja powinienem być zobowiązany - powiedział, patrząc na jej strój.

Anne włożyła białą bluzkę bez rękawów, którą związała z przodu w węzeł, i obcisłe dżinsowe szorty. Czowała się dziewczęco i z satysfakcją stwierdziła, że Buck też docenił efekt, gdyż powiedział żartobliwie:

- Teraz wiem, że istnieje Bóg, który słucha głosów swoich owieczek.

- Nie powinieś wzywać imienia Bożego, zwłaszcza tutaj - ostrzegła poważnie, choć oczy i mina zdradzały, jak bardzo się cieszy, że znów mogą być razem. - To „coś” może się przewrócić i obydwójce zginiemy przez twoje bluźnierstwo - powiedziała, patrząc z obawą na deski.

- No cóż, skoro uważasz, że Pan Bóg jest tak drażliwy, to chodź tu i oprzyj się o mnie. Coś ci opowiem.

- A co? Coś o Panu Bogu? - spytała, siadając koło niego i krzyżując nogi w ten sam sposób. Po raz drugi przyszło jej do głowy, że to miejsce nadawałoby się na letnią rezydencję Boga, tak tu było cicho i pięknie. - Nie powiesz mi chyba, że rozmawiasz tu z Bogiem?

- Rozmawiam, często - odparł, podając jej otwartą puszkę schłodzonego piwa, którą wyjął przed chwilą z torby-lodówki. Potem pociągnął długi łyk z drugiej puszki.

- Kiedy ostatnio? - spytała.

Napiła się. Piwo zawsze na początku wydaje się najlepsze. Postawiła puszkę, odchyliła się do tyłu i oparła na łokciach.

- Nie dalej jak dziesięć minut temu - odrzekł. Przesunął puszkę stojącą mu na drodze i pochylając się w stronę Anne, scałował wilgotny ślad piwa z jej dolnej wargi. - Powiedział mi, że przez resztę dnia będę się kochał ze ślicznotką znaną jako Annie.

- Nie jestem znana pod tym imieniem - odparła, z trudem łapiąc oddech, gdyż wargi Bucka przesunęły się tym-

czasem po szyi w stronę wyciętego w szpic dekoltu. - Jesteś jedyną osobą, która mnie tak nazywa.

- Świetnie - wymruczał. Dotąd wspierał się na jednym ramieniu, lecz kiedy sięgnął drugą ręką, by odpiąć guzik broniący dostępu, książka zsunęła mu się z kolan. - W takim razie jest nas dwóch: ja i Pan Bóg.

Anne uśmiechnęła się, choć jej serce wyprawiało jakieś dziwne harce.

- Jesteś bardzo zarozumiała - oświadczyła, czując, że musi mu to wytknąć dla jego własnego dobra.

Uniósł głowę, zaskoczony.

- Przecież ci mówiłem, że na tym polega mój urok.

- Pamiętam o tym. - Przekręciła głowę i złożyła na jego wargach gorący pocałunek. - A na dodatek zapracowany, co?

Zmarszczył brwi, a kiedy Anne wskazała podręcznik o zarządzaniu przedsiębiorstwem, wzruszył ramionami i powiedział lekko:

- Kiedy ty pracujesz, ja pracuję także. A kiedy jesteśmy razem - kochamy się. Czy nie na tym właśnie polegała umowa?

- Mniej więcej. - Uśmiechnęła się na znak, że aprobuje taką interpretację. - Sądziłam tylko, że masz łowić ryby.

Wydawał się zgorszony, że go posądziła o zmianę planów.

- Trzymam wędkę w wodzie. - Zgiął się i zostawił na brzuchu Anne wilgotny ślad pocałunku. Nie patrząc sięgnął po stojącą obok puszkę i wpuścił kilka kropel piwa w sam środek pępka dziewczyny. - Nieważne, czym się naprawdę zajmujesz, jeśli trzymasz wędkę w wodzie, to jesteś na rybach.

Pochylił głowę i wysał piwo z pępka, wreszcie przeturlał się tak, że leżał na Anne z głową na wysokości jej brzucha i lekko pieścił wargami wrażliwą skórę. Poczuła,

że ramiona ciężą jej jak ołowiane, całym ciałem chłonęła jego dotyk. Opuściła głowę na pomost i przymknęła oczy. Kiedy Buck rozwiązał węzeł i rozchylił poły bluzki, Anne wyciągnęła ręce i zatopiła palce w jego włosach, gęstych, miękkich i ciepłych od słońca.

Pomost kołysał się na wodzie. Czas jakby stanął w miejscu. Wargi Bucka uchwyciły pulsujący koniuszek piersi Anne i cały świat nagle gdzieś się rozplątał. W głowie czuła pustkę, słyszała tylko plusk fal, rozbijających się o stare deski pomostu, i czuła cudowną, powolną pieszczotę warg i dłoni Bucka.

Byli jak Adam i Ewa w ogrodach Pana, odkrywający wszystkie dziwy i radości Stworzenia. Czy On przewi-dział tę moc zniewalania jej serca, duszy i ciała? O, tak. Jakże by inaczej mógł stworzyć taki cud? Cud, który trwa od początku do końca świata. Tak prosty i piękny, że wy-raża się w nim cała istota boskiego natchnienia.

Czuła blisko przy sobie wilgotne od potu ciało Bucka, tuliła jego głowę do piersi.

- Buck?- odezwała się nagle.
- Hmmm?
- Jeśli Południowiec pije z jankeskiego pepka, to jest to nadal jankeski strzał czy już żołnierska manierka?
- Och, ty!

## Rozdział 9

Dni, które nadeszły, stały się dla Anne mieszaniną przyjemności, rozterki, a nawet bólu. I nie istniały żadne szczególne momenty, w których każde z tych wrażeń objawiało się oddzielnie. Była to transakcja wiązana: wszystko albo nic.

Z jednej strony miała pracę w fabryce. Zyskała pewną przewagę nad załogą dzięki temu, że zaczęła już w niedzielę. Kiedy zjawiła się w poniedziałek, poczuła się nie-mile dotknięta, gdy się okazało, że nie będzie mogła pracować sama w sali konferencyjnej, którą zaanektowała na swoje biuro.

- Czyżby nie było tu żadnego innego pokoju, w którym moglibyście się spotkać? - pytała z niedowierzaniem.

- Owszem, proszę pani, są pokoje. Ale podzieliliśmy się na sekcje: budżetową, marketingu, produkcji i zarządzania - tłumaczył niski muskularny mężczyzna dobrze po pięćdziesiątce.

- Bardzo przepraszam, ale nie widzę związku z przestrzemią, jakiej potrzebuję do pracy.

- Sprawa polega na tym, że inne sekcje spotykają się w innych pokojach. - Mężczyzna widział chyba, że nie jest to problem Anne, tylko załogi, więc dodał pojednawczo: - My jesteśmy produkcją. Nas jest najmniej. Chyba nie będziemy przeszkadzać, jeśli sobie usiądziemy w kątku.

Anne rozejrzała się po przestronnym pomieszczeniu. W jednym końcu stał stół, którego używała jako biurka, poza tym pokój był pusty. Cóż było robić?

- Zgoda, ale bardzo proszę, żebyście mnie państwo nie zagadywali. - Jej urażona duma sprawiła, że brzmiało to nieco wyniośle i niepoważnie. - Będę bardzo zajęta.

Robotnicy rzeczywiście jej nie zagadywali, natomiast rozmawiali z sobą, a Anne stale łapała się na tym, że słucha.

Buck mówił jej, że ludzie wiedzą, na co się porywają. I rzeczywiście. Anne nie mogła się oprzeć wrażeniu, że o utworzeniu spółki pracowniczej musieli myśleć już wcześniej, zanim Harriman podjął decyzję o likwidacji fabryki.

Anne z przyjemnością przysłuchiwała się ich planom i sposobowi rozumowania. Omawiali każdy punkt powoli i metodycznie, nie podejmowali nie przemyślanych decyzji, nie wysuwali pochopnych wniosków. Była zbudowana, że tak wiele wiedzą o przemyśle tekstylnym, a potem uświadomiła sobie, że jako robotnicy w fabryce włókienniczej mają wiadomości z pierwszej ręki.

A więc z jednej strony Anne miała fabrykę. Z drugiej strony był Buck. Oboje pilnowali się, by nie pracować dłużej niż do szesnastej trzydzieści. O tej porze większość ludzi kończyła pracę. Kiedy byli sami, bardzo dbali o to, żeby nie rozmawiać o fabryce. A kiedy byli sami...

No cóż, jeśli o to chodzi, Anne doszła do wniosku, że odkryła sens określenia „sama rozkosz”. Rzeczywiście nie potrafiła sobie przypomnieć, by kiedykolwiek w życiu czuła się szczęśliwsza. Wiedziała, że Buck jej pragnie, potrzebuje jej towarzystwa i rozumie ją doskonale. Prowadzili długie, poważne rozmowy, przekomarzali się, kochali. Buck stał się jej przyjacielem, nie tylko kochankiem. Nigdy dotąd nie spotkała mężczyzny, który by po-

trafił łączyć jedno z drugim, ale stwierdziła, że tak jak jest - jest wspaniale.

Buck wiedział o niej nawet to, czego nigdy nie ujęła w słowa. Wyczuł na przykład, że w te dni, kiedy rozmawia z Calvinem Schwabem, lepiej zostawić ją w spokoju, dopóki nie opadnie wzburzenie, jakie w niej wywoływał szef. Buck wiedział, że kiedy się upokoi, sama go poszuka. Wiedział, w którym miejscu rozmasować kark i gdzie dotknąć, żeby odczuła to najsilniej. Wiedział, kiedy pragnie szalonej miłości, a kiedy chce, by ją długo pieścił. Rozmawiali z sobą wiele, lecz bywały takie momenty, kiedy słowa nie były potrzebne.

Jak to się stało, że trzy tak różne doznania: przyjemności, rozterki i bólu stale dochodziły do głosu? Miała wrażenie, że życie stało się pełne niepokoju, stale musiała uświadamiać sobie różnicę między dobrem a złem, była zmuszona ratować własną dumę i poczucie godności. Sprzeczne doznania kipiały w niej jak warzone w czardziejskim kotle jaszczurcze języki i skrzydła nietoperza.

Kiedy samolot wylądował w Kentucky, Anne sądziła, że ma skórę grubą jak podeszwa. Być może, gdy wypożyczyła samochód i jechała w kierunku Webster, wierzyła, że czeka ją zadanie godne mężczyzny. Od tamtej pory wiele się jednak zmieniło.

Dotąd była ślepa, myślała kategoriami korporacji. Teraz jednak stopniowo łuski spadały jej z oczu. Widziała ludzi z Webster takimi, jakimi byli w istocie. A byli to prości, zapracowani ludzie, którzy chcieli tylko zachować swe domy i żyć przyzwoicie. Ktoś z rządu nazwał chyba kiedyś tych ludzi „kręgosłupem Ameryki”. Jakim prawem ona, Anne Hunnicut, miałaby przetrącić ten kręgosłup? To nie było w porządku.

Podobali jej się. Byli uprzejmi, otwarci; stanowili zwartą społeczność. Nie potrafiłaby ich zniszczyć.

Dzień po dniu przysłuchiwała się, jak sekcja produkcji debatuje nad wyborem specjalizacji zakładu. Był to poważny problem, gdyż zakład nie mógłby sprostać produkcji wielu tkanin dla tak zwanego szerokiego odbiorcy. Mógł natomiast skoncentrować się na produkcji dużego metrażu określonego materiału.

W końcu się okazało, że sekcje: produkcyjna i marketingu muszą obradować wspólnie. Potrzebny był duży pokój - pokój Anne. Buck, który pracował w sekcjach budżetu i zarządzania przedsiębiorstwem, dołączył na krótko jako siła pomocnicza.

- Wciąż miałem cichą nadzieję, że coś takiego się zdarzy - szepnął, kiedy podszedł do jej biurka, by się przywitać, co było jedynie pretekstem. - Teraz możemy się widzieć cały dzień.

- Do szesnastej trzydzieści należę do Harrimana - odpowiedziała również szeptem, uśmiechając się z wysiłkiem i sprawdzając wzrokiem, czy aby nikt na nich nie patrzy.

- Kiedyś już o tym mówiliśmy, Annie. W Kentucky prawo nie zabrania patrzenia na piękne kobiety - rzekł z uśmiechem. - I po co się tak denerwujesz - dorzucił. - Przecież i tak wszyscy wiedzą, że razem mieszkamy.

Anne z przerażeniem wstrzymała oddech.

- Do licha, Annie. A coś ty myślała? Przecież to miasteczko. Bryce nie mieszka w domu ładnych parę dni.

- Buck, co się stanie, jak to dojdzie do Calvina albo Harrimana?

Milczał. Na jego twarzy pojawił się dziwny wyraz, lecz po chwili zniknął bez śladu.

- Nikt nie doniesie. To nie ich sprawa.

Zabolało. Dopiero teraz zrozumiała, jak upokarzająca musiała mu się wydać jej obawa o to, że wszystko się wyda. A przecież Anne chodziło wyłącznie o posadę. I tu

właśnie w jej rozumowaniu pojawiła się rysa, bo przecież zarazem nienawdziła tego, co musiała zrobić. Jeszcze jako stażystka nie była swoją pracą szczególnie zachwycona. Została tylko po to, by coś sobie udowodnić. Teraz wydawało się to nieistotne w porównaniu ze spustoszeniem, którego musiała dokonać, by osiągnąć ów cel.

Była to jednak tylko część prawdy. Anne wiedziała doskonale, że wystarczyłyby trzy słowa Bucka, by machnęła ręką na wszystko. „Zostań. Kocham cię”. Tylko parę głosek.

Problem polegał na tym, że Buck nigdy nie powiedział, że ją kocha. Nigdy nie rozmawiali o przyszłości. Tylko raz, rano, w górach, żartem zaproponował, żeby została w Kentucky. Jakże mu miała powiedzieć, że nie chce wracać do domu i woli już nigdy więcej nie widzieć Nowego Jorku? Jak mu miała powiedzieć, że chce zostać przy nim, bo czuje się szczęśliwa i bezpieczna, a życie ma dla niej sens? Czy mogła mu wytłumaczyć, że jest jej potrzebny, by pokazywać najprostsze sprawy, które się w życiu liczą, czy mogła powiedzieć... że go kocha?

Boże, kochała go. Kochała od samego początku. Wiedziała, że to się w życiu nie zdarza, że jeszcze dostanie za swoje, ale nic nie była w stanie na to poradzić. Zakochała się w Bucku.

Jeśli jednak nie wiązał z nią planów na przyszłość, co wtedy? Zdecydowała, że wtedy wróci do Nowego Jorku i do Harrimana. Tylko w ten sposób mogła uratować twarz. Cóż jej pozostanie po chwilach spędzonych z mężczyzną, który stał się dla niej najważniejszy na świecie? Tylko wstyd i ból. Przyjemnie będzie wrócić do biura i zadzierać nosa, że Anne Hunnicut stać na dokonanie wszystkiego, co sobie postanowi, nie licząc naprawy auta. Ale czy to się opłaci? Czy warto tylko po to znosić



wstyd i ból i żyć ze świadomością krzywdy, którą uczyniła ludziom w Webster?

Tydzień później miarka się wreszcie przebrała. Anne podjęła decyzję. Tego dnia Buck stanął jak zwykle przy jej biurku i zapytał zupełnie zwyczajnym głosem, może tylko odrobinę za głośno:

- Czy przynieść pani filiżankę kawy lub wodę mineralną?

Odpowiedziała podobnie:

- Och, bardzo dziękuję, panie LaSalle. Poproszę wodę.

Anne zawsze chciała dać mu pieniądze, a on niezmiennie odmawiał. Udawała, że wraca do pracy, on zaś wychodził z pokoju. Siedziała tak przez chwilę, a kiedy nie mogła dłużej wytrzymać, podnosiła głowę. Buck zatrzymywał się w przejściu, stawał tak, że nikt prócz niej nie mógł go dostrzec, i samymi tylko wargami mówił:

„Chodź do domu. Mam na ciebie ochotę”. Kiedy indziej znów stuknął palcem w nie istniejący zegarek i mówił cichutko: „Za pół godziny będziesz moja”. Tego dnia spytał: „Idziemy na ryby?” i uśmiechnął się tym swoim uśmiechem.

Anne nigdy nie omieszkała spłonąć rumieńcem i miała chęć chichotać jak podlotek. I tym razem nie było inaczej. Serce zaczęło jej walić, krew krążyła żywiej, szybko więc wetknęła nos w papiery, by odzyskać kontrolę nad sobą.

Nagle usłyszała pytanie zadane śmiertelnie poważnym tonem:

- Kto mu to powie?

„Komu powie i o czym?” - zastanawiała się Anne i nastawiła uszu, by się zorientować, czego dotyczyło pytanie, skierowane przez jednego z robotników do kolegów. Przez ostatnie kilka dni przysłuchiwała się, jak opracowywali plan działania. Zredukowali liczbę koncepcji do czterech i debatowali teraz nad wyborem najlepszej. Anne uważała w głębi duszy, że dwie były całkiem sensowne.

Zebrani nie przystąpili jeszcze do opiniowania koncepcji, która była jej cichą faworytką.

- W każdym razie nie ja - powiedział jakiś mężczyzna. - Nie sądzę, żeby się mylił. Jeśli poprzestaniemy na lokalnej dystrybucji, odpadną nam koszty transportu, a to zrekompensuje ograniczoną sprzedaż.

„Racja”- zgodziła się Anne.

- Ale przy ograniczeniu kosztów własnych moglibyśmy zapłacić za transport do Nowego Jorku, a wtedy sprzedamy dwa razy więcej - zauważył ktoś inny.

„Też dobry sposób, ale ryzykowny” - oceniła w duchu i zaczęła przerzucać papiery w poszukiwaniu pewnego kontraktu.

- Nie wyjdzie ani jedno, ani drugie - straszyl ten, który wcześniej zadał pytanie usłyszane przez Anne. - Harri-man dostarczy hurtownikom towar dwa razy szybciej i o połowę taniej. Nie damy rady. Pora się wycofać.

„Nie! Nie dawajcie za wygraną - myślała w panice. - Uda wam się”.

- Buck uważa, że mimo wszystko mamy szansę. Jestem tego samego zdania.

„Brawo!”

- Ja tam nie będę dłużej marnować czasu. Zaczynam się rozglądać za robotą. Mam na utrzymaniu rodzinę.

- Wszyscy mamy rodziny - powiedział kobiecy głos. - Już naprawdę nie wiem, co robić. Chciałabym wierzyć Buckowi, ale się boję.

Anne rozumiała to doskonale. Sama była przerażona, lecz trzymała oto w rękach lekarstwo na wszystkie ich problemy: długoterminowy, wielomilionowy kontrakt rządowy na dostawę tkanin ogniotrwałych, w których specjalizowała się fabryka. Od tego można było zacząć i na tym dalej budować. Jeśli dojdzie do tego potencjalny

lokalny rynek, na który Buck tak liczył... wszystko stało się możliwe.

Pozostawało pytanie: co robić? Czy wolno jej zdradzać swojego pracodawcę? Gdyby to wyszło na jaw, kosztowałyby ją utratę pracy. Jeśli dla pracowników ten kontrakt jest ostatnim ogniwem łańcucha, Anne musiała wrócić do domu, przełknąć gorycz porażki i przyznać, że nie potrafiła się wywiązać z zadania likwidacji fabryki. Biła się z myślami i wreszcie postawiła sobie pytanie, czy będzie w stanie żyć, wiedząc, że mogła ocalić warsztat pracy tych ludzi, lecz nie ruszyła palcem.

Bywały w życiu takie chwile, kiedy posiadanie trzech starszych braci okazywało się przydatne. Anne знаła sześć różnych sposobów wykonywania papierowych samolotów. Umowa wstępna dołączona do kontraktu rządowego spisana została na sztywnym papierze i za sprawą Anne przeistoczyła się w gustowny samolot myśliwski.

Obrzuciła wzrokiem przyszły cel, by się upewnić, że nikt jej nie obserwuje, i niewiele myśląc, posłała samolocik w powietrze. Wylądował przepisowo na samym środku stołu, przy którym obradowali członkowie sekcji.

W pokoju dał się słyszeć szmer zdziwienia. Anne, ze wzrokiem wbitym we własne biurko, oczami wyobraźni widziała utkwione w siebie spojrzenia. „Przeczytajcie to! - zaklinała w duchu zebranych. - Przeczytajcie i proszę, błagam, zaufajcie mi”.

Widziała kątem oka, jak jeden po drugim odwracają głowy w stronę samolociku. Jeden z mężczyzn sięgnął i uniół go w górę. „Nie puszczaj go z powrotem! Przeczytaj!” Usłyszała szelest rozwijanej kartki i odetchnęła z ulgą. Z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku wróciła do przerwanej pracy nad funduszem emerytalnym i socjalnym.

Kiedy po kilku minutach Buck wrócił z wodą, posłała

mu roztargniony uśmiech podziękowania. Nie chciała, by wiedział, co zrobiła. Poniewczasie przyszło jej do głowy, że koledzy i tak mu powiedzą. Nie chciała, by sądził, że zrobiła to dla niego. Bo prawda wyglądała inaczej. Zrobiła to, gdyż uważała, że tak właśnie postąpić należy. Jej uczucia do Bucka nie miały z tym nic wspólnego.

- Skąd się to wzięło? - usłyszała za chwilę głos Bucka.  
- Jak mogliśmy przeoczyć ten dokument? To by rozwiązywało sprawę, ale czeka nas jeszcze moc pracy.

Ktoś wyszedł z pokoju, a po kilku minutach pojawiła się Lily, poszukująca teczek z dokumentami dotyczącymi umowy rządowej na tkaninę ogniotrwałą. Czy przypadkiem nie ma jej tutaj?

Nigdy dotąd Anne aż tak się nie cieszyła z nadejścia sobotniej nocy. Przez cały dzień członkowie sekcji produkcji i marketingu wgryzali się w kontrakt rządowy jak stado głodnych rekinów. Anne, obserwując ich tylko, czuła się kompletnie wykończona.

Ona także zresztą odwaliała kawał roboty. Jeszcze kilka drobnych spraw, które należało załatwić, i praca zostanie wykonana, a Anne będzie mogła wracać do domu. Na myśl o powrocie wpadła w przygnębienie i czuła w myślach zamęt. Jedyne rozwiązanie, na jakie potrafi się zdobyć jej przepracowany, zmęczony umysł - to sen. Tylko w czasie snu mogła się uchronić od mętliku w głowie i galimatiasu sprzecznych emocji. Jakby jakiś mechanizm obronny uruchomił blokadę na czas wojny, którą Anne wiodła z sobą.

Niestety, przy Bucku nawet coś tak oczywistego jak sen wydawało się niemożliwe.

- Jak ty możesz wytrzymać, mając tylko jeden program w telewizji - powiedziała któregoś dnia takim to nem, jakby w cywilizowanym świecie takie rzeczy się nie

zdarzały. W gruncie rzeczy wiele innych drobiazgów ją drażniło, ale ten dokuczał szczególnie, bo przywykła wybierać spośród różnorodnych ofert, a u Bucka miała do dyspozycji melodramatyczny serial lub prognozę pogody. Buck wchodził właśnie do pokoju ze szklanką coli dla Anne i piwem dla siebie.

- Mówiłem ci, że nie przyłączałem innych kanałów, bo góry zakłócają odbiór. Musiałbym chyba sprzedać Bryce'a, żeby sobie pozwolić na ciągnięcie kabla z miasta przez góry aż tutaj. Na szczęście w poniedziałek wieczorem na tej stacji dają futbol.

„Jasne, po co komuś więcej” - zrywała się w duchu, głośno zaś spytała:

- A co z filmami? Nie lepiej było kupić magnetowid?

- Gdybyśmy oglądali w domu filmy, po co by było chodzić w sobotę do kina na randki? Może to i ciekawe, ale daleko mniej... romantyczne, jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

„Boże kochany, jeszcze nie wyjechałam, a ten mi już mówi o randkach z innymi kobietami” - pomyślała Anne, czując, że robi jej się ciężko na sercu.

- Owszem, rozumiem, co masz na myśli. Idę spać. Stała i patrzyła na niego, Buck także przyglądał się jej z pełnym niepokojem namysłem.

- O co chodzi, Annie? Proponowałem ci, żebyśmy poszli do kina, ale ty wolałaś zostać w domu. Potem - w tym momencie na jego wargach pojawił się na krótko smutny uśmiech - namawiałem, żebyśmy wcześniej poszli do łóżka - oboje. Ty jednak wolałaś oglądać telewizję. A teraz mówisz, że idziesz do łóżka. I mam wrażenie, że wolisz spać beze mnie, prawda?

Anne niezdecydowanie wzruszyła ramionami i nie odpowiedziała. Z ledwością wytrzymała jego spojrzenie.

- Co się dzieje, Anne? Co ja znów zrobiłem?

- Nie zrobiłeś nic, więc nic się nie dzieje. - Jego skoncentrowane spojrzenie świadczyło o tym, że nie wyczuł aluzji. - To był ciężki tydzień, Buck. Po prostu jestem zmęczona.

Chyba nie bardzo w to uwierzył, lecz udał, że przyjmuje jej wyjaśnienie za dobrą monetę.

- Słyszałem dzisiaj coś bardzo interesującego - powiedział, nie odrywając oczu od ekranu.

Ciekawość jak zwykle wzięła w niej górę.

- Co takiego?

- Liddy Evans opowiada wszystkim w fabryce, że zadzwoniła do niej pewna pani z Filadelfii i wypytywała o Teddy'ego. To jej średni syn, chory na cukrzycę.

- No i?...

- Ta dama powiedziała podobno, że Teddy się kwalifikuje do świadczeń z fundacji na rzecz dzieci chorych na cukrzycę. Liddy była uszczęśliwiona.

- To cudowna wiadomość. Bardzo cię cieszę.

- Chcesz teraz usłyszeć najciekawsze? - spytał, odwracając głowę, by spojrzeć na Anne.

- Nie chcę.

Anne postawiła nogę na stopniu. Odwrócona bokiem do Bucka, czuła na sobie uważny wzrok. Jej twarz powoli oblewał rumieniec. Ten dzień nie należał do udanych.

- Ta pani z fundacji nazywa się Grace Hunnicut.

- Niech to wszystko jasny szlag trafi - zaklęła cicho Anne.

Po prostu ręce jej opadły. Ciotka Grace obiecała, iż zadzwoni ktoś inny, aby nikt się nie domyślił, że Anne maczała w tym palce. Teraz wszystko się wydało.

- Wiesz, Anne? Zdobyłaś sobie wśród ludzi pewną popularność. Najpierw kontrakt rządowy, a teraz to... Ludzie mówią, że jak na Jankeškę z zarządu, jesteś całkiem fajna.

Westchnęła głęboko.

- A więc powiedzieli ci o kontrakcie? - Było to właściwie stwierdzenie. Kiedy wyświadczała różnym osobom jakieś uprzejmości, tego właśnie momentu nie lubiła najbardziej. Była strasznie zażenowana, kiedy dziękowano jej za coś, co w jej mniemaniu było po prostu ludzkie i rozumiało się samo przez się. Widocznie uważali, że tak wypada. - Ciotka nie powinna się była przedstawiać - powiedziała cicho.

Buck wstał i podszedł do niej.

- Dlaczego jesteś taka zła, że znam prawdę, hmmm? - spytał, pochylając się, by zajrzeć jej w oczy. - Czy to wstyd, jeśli ludzie wiedzą, że nie jesteś wcale taka twarda, za jaką chcesz uchodzić?

- Nie o to chodzi. Po prostu nie chcę, by się czuli zobowiązani.

- Dlaczego? Wyłumacz mi to.  
Wzruszyła ramionami.

- To nie było nic wielkiego. Wystarczyło zadzwonić do ciotki. Gdyby nie była w zarządzie, nawet bym nie próbowała.

- A ten kontrakt?

- Kontrakt sam niczego nie rozwiąże. Załedwie daje szansę. - Uniosła wzrok, a kiedy dostrzegła wyraz twarzy Bucka powiedziała: - Nie jestem aniołem.

- Aniołem nie, ale jesteś piekielnie fajną dziewczyną, Annie.

Jeszcze raz pokręciła przecząco głową, powiedziała „dobranoc” i poszła na górę.

„Skoro jestem taka wspaniała, to dlaczego nie poprosi, żebym została?” - zastanawiała się w chwilę później, kładąc się do łóżka jego siostry. Nie po raz pierwszy zadawała sobie to pytanie.

Nim się położyła, dłuższą chwilę stała przy oknie, próbując jakoś oswoić się z koniecznością rozstania. Wma-

wiała w siebie, że Kentucky jest brzydkie, Buck to zwykły prostak, a tutejsi ludzie nie są lepsi od innych. Wszystko na próżno. W ciągu zaledwie tygodnia i Kentucky, i Buck, i ludzie stali jej się bliżsi niż cokolwiek innego na świecie.

Buck, kładąc się spać, zapukał w jej drzwi i spytał, czy nic złego się nie dzieje. Odpowiedziała, że czuje się świetnie, lecz nie była to prawda. W rzeczywistości nigdy jeszcze nie była tak skrzywdzona i złamana. Dziesiątki razy porzucała ludzi i miejsca, lecz przedtem nie czuła tak dotkliwie. Wiedziała, że nawet po wyjeździe myślami już do końca życia zostanie w Kentucky, przy Bucku.

Czuła się teraz zagubiona i samotna. Porzuciła nadzieję, że kiedykolwiek znajdzie swoje miejsce na ziemi. Wiedziała, że jest dość silna, by dać sobie z tym radę, lecz na razie życie było jak pusta muszla. W oczach stanęły jej łzy, a gardło ścisnął ból. Całą duszą wyrwała się do Bucka, ciało tęskniło za jego dotykiem, lecz słyszała tylko bicie swego serca i czuła jedynie chłód.

- Miałaś tylko „trochę” się zakochać - płakała w poduszczkę. - Nigdy jeszcze nie wyszedł ci żaden przelotny roman, ty nieszczęсна kretynko.

„A więc postanowiłaś się poddać? - usłyszała nagle jakiś wewnętrzny głos. - Zostało ci jeszcze kilka dni, ale i tak z góry wiesz, że przegrałaś, i chcesz wymazać Bucka ze swego życia?”

„A co mam zrobić? - pytała tego głosu, który dodawał jej odwagi i kazał myśleć przede wszystkim o miłości. - Koteńku! Możesz jeszcze spać każdą kroplę miodu, żeby nikt inny nie mógł się tutaj pożywić”.

Z tym postanowieniem Anne pobiegła przez korytarz do pokoju Bucka. Drzwi były otwarte, więc po cichutku weszła do środka. Usłyszała tylko szelest pościeli i dostrzegła biel gwałtownie odrzuconej kołdry.



Buck czekał na nią, zamknął w ramionach i przez dłuższą chwilę trzymał w mocnym, kurczowym uścisku. Po chwili uścisk zelżał. Delikatnie pocałował ją w skroń i spytał mruklawie:

- Chcesz porozmawiać?
- Nie, chcę, żebyś mnie tak trzymał.
- Trzymam i już nie puszcę.

Anne starała się, by czarne myśli i liczne skrupuły nie miały do niej dostępu. Weekend należał tylko do nich dwojga. Pragnęła, by te wolne dni pełne były szczęśliwych chwil. Chciała kochać się z Buckiem. Chciała wiedzieć o nim absolutnie wszystko, by kiedyś to rozamiętywać w chwilach samotności.

Kiedy w poniedziałek wchodzili ramię w ramię do sali konferencyjnej, wciąż jeszcze promienieli radością. Oczy wszystkich obecnych zwróciły się w ich stronę w niemym oczekiwaniu.

- Przepraszamy za spóźnienie - powiedział Buck na powitanie. Ich wejście pozostałoby nie zauważone, gdyby oboje okazali choćby odrobinę skruchy i utrzymali powagę. - My... - Popatrzył na Anne i parsknął śmiechem. - Samochód nam się popsuł.

W pokoju nie było ani jednej osoby, której twarz nie wyrażałaby głębokiego powątpiewania. Buck poddał się w końcu, uniósł obie ręce i powiedział:

- No już dobrze. Przyznaję. Nie mogłem się od niej oderwać. Co mam więcej powiedzieć?

W pierwszej chwili taka szczerłość wstrząsnęła Anne. Oniemiała, zastanawiając się, jak wybrnąć z niezręcznej sytuacji. Wkrótce jednak dostrzegła, że tłumaczenie Bucka trafiło wszystkim do przekonania. Zachowywali się tak, jakby prędzej skłonni byli uwierzyć, że Buck i Anne zatrzymali się na poboczu szosy, żeby się kochać na tyl-

nym siedzeniu samochodu, niż w to, że popsuł im się samochód. Co więcej, nie widzieli w tym nic niestosownego. Nie skomentowali wyzwania Bucka nawet jednym słowem. Po prostu uśmiechnęli się życzliwie i wrócili do zajęć. Spojrzała na Bucka, który zmrugał kpiąco jedno oko.

-Widzisz? - szepnął, tak że nikt nie mógł go słyszeć.

- Mówiłem ci, że łatwiej pójdzie, jeśli wezmę całą winę na siebie. Nikt by nam nie uwierzył, gdybym powiedział, że to ty chciałaś zjechać z szosy.

-Musiałam ci udowodnić - odszepnęła, robiąc minę urażonej księżniczki.

Buck zmarszczył brwi.

-Przyznam, że nie chwytam.

-Powiedziałaś, że rano powinnam mieć większy apetyt. Musiałam ci udowodnić, że nie brakuje mi apetytu.

Przez chwilę patrzył na nią, jakby nie rozumiejąc, a potem powiedział z chytrym uśmiechem:

- Miałem na myśli śniadanie.

Anne uśmiechnęła się jeszcze bardziej chytrze niż on.

- Wiem o tym - powiedziała.

O godzinie dwunastej zebrani doszli do wniosku, że mogą zadzwonić do Joela Harrimana, złożyć ofertę i rozpocząć negocjacje w sprawie ceny. Rozmowę miało prowadzić kilku wydelegowanych pracowników, w tym Buck. Kiedy wyszli z sali konferencyjnej, Anne spojrzała na zegarek.

Minęło dwadzieścia minut. Pół godziny. Anne liczyła każdą sekundę, czując, że im dłużej to trwa, tym trudniejszą przeprawę ma Buck i tym silniej będzie rozczarowany, kiedy uzyska jedyną możliwą odpowiedź. Bo odpowiedź można było przewidzieć. Czuła się teraz jak zdrajczyni, gdyż z góry wiedziała, w jaki sposób się to skończy, a jednak pozwoliła im ciężko pracować i jeszcze podtrzymywała w nich nadzieję.

Chcieli dostać szansę, nic więcej. Szansę w uczciwej grze, której stawką było ich dotychczasowe życie. Ale w rzeczywistości nie dano im tej szansy. Karty zostały rozdane już wcześniej, na długo przed przyjazdem Anne. Po godzinie beznadziejnych negocjacji delegacja wróciła do sali. Jeden rzut oka potwierdził najgorsze obawy Anne. Spodziewała się odmowy, lecz mimo to było jej niewymownie przykro. Buck przywłókł się ostatni. Był załamany i przybity. Kiedy dostrzegła w jego oczach głęboki ból, poczuła, że serce jej się ściska.

Przeszedł bez słowa obok krzesła, na którym siedziała, jakby jej wcale nie dostrzegł. Tylko ręką przelotnie dotknął jej palców, a potem karku w intymnym geście podziękowania. Wyrażał w ten sposób wdzięczność za pomoc, a jednocześnie przepraszał, że zawiódł, bo wszystkie wysiłki zostały zmarnowane. Potem dołączył do kolegów siedzących przy stole pośrodku sali.

- Zrobiliśmy, co było w naszej mocy. - Buck próbował podtrzymać kolegów na duchu i tchnąć w nich trochę wiary w siebie. - Próbowaliśmy. Nadal sądzę, że mogło nam się udać, ale teraz już chyba się nie uda.

- I co my teraz zrobimy? - Bezzadność brzmiała w tym pytaniu zapiekła Anne nieprzyjemnie.

- Prędzej czy później znajdziemy sobie nową pracę - oznajmił złowieszczo.

Anne wiedziała, o czym Buck teraz myśli. Pewnie szykował się już do sprzedania ziemi i przeprowadzki w inne, odległe rejony. Widziała oczami wyobraźni, jak żyje pozbawiony korzeni i coś w nim powoli umiera.

Wpadła w dygot, który był reakcją na długotrwałe napięcie.

Cierpiała, a jednocześnie czuła gniew. Było jej przykro, a zarazem ogarniało ją oburzenie. Bała się, lecz jednocześnie wstępowała w nią niezwykła odwaga. I, o dzi-

wo, zwyciężyła odwaga. „Odwaga lub może raczej poczucie winy” - pomyślała Anne, spojrzawszy w stronę stołu, przy którym siedzieli przygnębieni robotnicy.

Zastanawiała się, czy przypadkiem nie jest szalona. Jeśli spełni, co sobie obiecała, a jej pracodawcy dowiedzą się o tym, straci pracę jak amen w pacierzu. I z rewolucyjną logiką doszła do wniosku, że byłoby to najlepsze wyjście. Nie wróci wprawdzie do domu jako superwoman, którą postanowiła zostać, lecz za to z lekkim sercem.

Pochyliła się i z kosza na papiery wyjęła poranną gazetę. Jej wszyscy trzej bracia od czasu do czasu pracowali jako gazeciarze. Anne czasami im pomagała i teraz, wykorzystując zdobyte doświadczenie, zwinęła gazetę w twarde rulon, wzięła zamach i rzuciła tak precyzyjnie, że pocisk wylądował w samym środku stołu.

Potem patrząc spod oka, widziała, że się odwracają, patrzą na nią zdumieni, a po kilku sekundach wracają do narzekania.

Do licha. Nie zorientowali się, jakie im sugeruje rozwiązanie. Gorączkowo rozejrzała się po pokoju w poszukiwaniu czegoś, co by pozwoliło jakoś przedstawić swój pomysł. Oczywiście łatwiej byłoby powiedzieć wprost, w czym rzecz. Powstrzymywały ją resztki lojalności wobec pracodawcy. Mogła coś zasugerować, lecz powiedzieć wprost - nie.

W pewnym momencie dostrzegła z ulgą małe radio z zegarem elektrycznym, które ktoś przyniósł do pracy w zeszłym tygodniu, żeby wiadomo było, która jest godzina.

Powoli odsunęła krzesło, wstała zza biurka i podeszła do radia. Wyciągnęła wtyczkę z gniazdka, a następnie zniosła odbiornik do stołu, przy którym siedzieli robotnicy, i postawiła obok leżącej tam gazety.

Wreszcie zwrócili na nią uwagę. Przesuwała wzrok

z jednej twarzy na drugą, lecz... dostrzegła tylko pustkę. Wprawiała ich w osłupienie swoim niecodziennym zachowaniem. Nawet Buck przyglądał się jej ze zmarszczonymi brwiami.

Anne złapała leżącą na stole kartkę, odwróciła ją na czystą stronę i wyrwała długopis z ręki najbliższej siedzącego mężczyzny. Narysowała kwadrat, ozdobiony w obu dolnych rogach małutkimi kółeczkami. Po przekątnej kwadratu wypisała „telewizja”, żeby nie mieli już żadnych wątpliwości. Wreszcie położyła swoje dzieło na środku stołu, obok radia i gazety, i czekała, bardzo z siebie zadowolona.

Wszyscy przeczytali głośno napisane przez nią słowo, dodając na końcu od siebie niewielki znak zapytania. Nie dostrzegła żadnego błysku zrozumienia, nie poruszyła żadnej struny. Widać było jednak zdrowe zainteresowanie.

- Och, ruszcież wreszcie głową! Co to jest? - krzyknęła, pokazując gazetę.

Zwróciła się bezpośrednio do Bucka, który był jedyną osobą w tym towarzystwie, znaną jej dostatecznie dobrze, żeby się dało wyładować na niej zniecierpliwienie.

- Gazeta - powiedział uprzejmie, pamiętając o tym, że wariatom nie należy się sprzeciwiać.

- A to? Co to jest?

- To jest radio.

- A teraz to. Co to jest?

- Telewizja.

- Zgadza się. A teraz przemysł to sobie. - Stała, wzięwszy się pod boki, i hipnotyzowała go wzrokiem w nadziei, że okaże się wystarczająco pojętny, by rozwiązać tę zagadkę.

Nagle coś mu zaświtało. Na moment. Potem jeszcze raz. W jego oczach pojawiła się pewność, że odgadł wła-

ściwie. Rozchylił lekko wargi, a kiedy w głowie całkiem mu się rozjaśniło, kąciki ust powędrowały w górę.

- Prasa - powiedział półgłosem takim tonem, jakby wzywał na pomoc cudownie skuteczną tajną broń. - Hariman nie chce, żeby to się rozniosło. Jak będzie wyglądał, jeśli się ludzie dowiedzą, że zniszczył całe miasto, odmawiając sprzedania fabryki?

Anne obserwowała z satysfakcją, jak z małej iskiereki zrozumienia powstaje wielki ogień, który błyskawicznie ogarnia wszystkich. Nie posiadała się ze szczęścia, widząc, że na twarze ludzi powraca entuzjazm i nadzieja. Ten widok działał na nią jak narkotyk. Jeśli robiła coś dla ludzi, to po to, by widzieć ich radość. Nie zależało jej na niczyjej wdzięczności.

Przy stole zapanował entuzjazm, a Anne przezornie zaczęła się wycofać za umowną linię demarkacyjną. Nim zdążyła ją przekroczyć, jedna z kobiet powiedziała:

- Panno Hunnicut, proszę pani... My... bardzo...

- Pani Joyce, jeśli się nie mylę? - przerwała obcesowo Anne, próbując złagodzić słowa uśmiechem. Cofnęła się i wyciągnęła rękę do kobiety. Kiedy ta przytaknęła i podała jej rękę, Anne, zwracając się najpierw do niej, a potem do wszystkich obecnych, rzekła: - Muszę powiedzieć pani i państwu, że obserwowałam waszą pracę w ciągu minionego tygodnia i jestem pełna podziwu. Przyznaję, że początkowo wasz pomysł wydał mi się niedorzeczny, ale uświadomiliście mi, iż nikt nie zna przemysłu włókienniczego tak dobrze, jak jego pracownicy. Być może nie powinnam tyle podsłuchiwać - ciągnęła nie spieszona - lecz niczego nie żałuję. Moja praca dobiegła końca i - tu Anne znów spojrzała na panią Joyce, by nie widzieć reakcji Bucka-jutro wyjeżdżam. Korzystając z okazji, życzę wam wszystkim powodzenia, bo jestem głęboko prze-

konana, że wasz zakład jako spółka pracownicza będzie wspaniale prosperował.

Odpowiedział jej chór głosów, co skwitowała ruchem głowy. Pomachała im jeszcze i odeszła od swojego biurka. Uniknęła bezpośrednich podziękowań, a jednocześnie udało się jej poinformować Bucka o swoim wyjeździe. Powinna się czuć bardzo sprytna. Niestety, było całkiem inaczej. Określając datę odjazdu, czuła, że serce ciąży jej w piersiach jak kamień.

Opróżnienie biurka nie zabrało wiele czasu. Po południu oddała Lily ostatnie teczki, z których korzystała.

- Jestem ci wdzięczna za pomoc - podziękowała sympatycznej sekretarce. - I cieszę się, że mogłam cię poznać.

- Pani jest uczciwa jak czysta żywa wełna - powiedziała jej Lily na pożegnanie. - To ja jestem dumna, że panią poznałam.

Anne wyczuła, że porównanie do szlachetnej tkaniny to najszczęśliwszy komplement, i doceniła go należycie. Jeszcze raz podziękowała i zarumieniona wyszła z sekretariatu.

- Cześć, skarbie!

Pisnęła ze strachu, a odwróciwszy się gwałtownie, stanęła twarzą w twarz z Buckiem.

- Przestraszyłeś mnie - poskarżyła się głośno, wypuszczając z płuc powietrze.

Popatrz, a ja myślałem, że aż się palisz, żeby mnie zobaczyć.

- Zawsze się palę, żeby cię zobaczyć. Nie widać?

Podszedł bardzo blisko i przeszył ją uważnym spojrzeniem, od którego serce Anne zadrżało, a na twarzy zakwitł jeszcze silniejszy rumieniec.

- Rzeczywiście jesteś trochę zaróżowiona i podekscytowana - przyznał z satysfakcją.

Pochylił się i pocałował ją w usta, potem ujął dłońmi jej

ramiona i ścisnął je lekko, wreszcie odsunął się trochę i dłuższą chwilę tylko na nią patrzył. Wzrok Bucka i delikatny dotyk dłoni potwierdzały, że nie jest uradowany rozstaniem.

Anne także daleka była od radości. „Powiedz, że ty też straciłeś dla mnie głowę - błagała w myślach. - Powiedz, że zakochałeś się po uszy w ciągu tego tygodnia, a potem zaproponuj, żebym została. Zrób to. Proszę!”

- Mamy teraz przerwę. Może ci przynieść filiżankę kawy? - zaproponował, uśmiechając się lekko.

- Wolę coś zimnego. Jestem teraz trochę rozpalona. Zaśmiał się i powiedział:

- Niestety, będziesz musiała pić z puszki. Automat nie serwuje napojów w żołnierskich manierkach.

- To nie szkodzi. Mam przy sobie, co trzeba.



## Rozdział 10

Anne uważała, że radzi sobie znakomicie, i była bardzo z siebie dumna. Wcześniej wyszła z pracy, popłakała sobie solidnie, a kiedy po kilku godzinach Buck wrócił do domu, wyglądała już zupełnie normalnie. Postanowiła, że nic nie będzie w stanie zepsuć ich ostatniej wspólnej nocy.

Gotowali razem obiad, śmiali się i przekomarzali, i nikt by się nie domyślił, ile wysiłku ją kosztuje nadrabianie miną. Poszli na ostatni spacer przez las w kierunku jeziora, a kiedy jej oczy wzbierały łzami, starała się odwracać głowę. Lecz gdy się całowali lub gdy ją tulił w ramionach, czuła się szczęśliwa i nie musiała niczego udawać.

Siedzieli na pomoście, dopóki słońce prawie całkiem nie zaszło. Buck wsparł się plecami o słupek, a Anne trzymał przed sobą, między nogami. Czuła ciepło i bliskość jego silnego ciała.

-Jak wam dziś poszła druga rozmowa z Harrimanem?  
- spytała Anne po długiej chwili milczenia. Korciło ją, by o to zapytać, i sama się dziwiła, że wytrzymała aż tak długo.

-Myślałem, że nie rozmawiamy o interesach po godzinach pracy - powiedział, łaskocząc wargami jej ucho.

-Wypadało spytać. Umowa już się nie liczy. Poza tym jestem ciekawa.

-Nie było drugiej rozmowy.

-Ale dlaczego? - spytała, obracając się, by spojrzeć mu w oczy.

- Uznaliśmy, że nic się nie stanie, jeśli zaczniemy ich straszyć prasą w środę albo w czwartek.

Anne westchnęła i poczuła miłe ciepło w sercu. Umościła się wygodnie w objęciach Bucka, przepelniona radością i wdzięcznością. Zaufała tym ludziom, a oni jej się zrewanżowali, czekając z wykorzystaniem informacji, którą im podsunęła, do jej wyjazdu z Webster. Wszystko wskazywało na to, że się co do nich nie pomyliła.

- Dlaczego mnie nie uprzedziłaś, że zamierzasz jutro wyjechać? - spytał głosem równie spokojnym jak wieczór, który zapadał.

Mój Boże, jakże lubiła słuchać, kiedy mówił. Każde wypowiedane cicho słowo działało na nią jak masaż erotyczny, dawało wytchnienie, a jednocześnie sprawiało, że krew zaczynała krążyć szybciej.

- Dopiero dziś się zdecydowałam - odpowiedziała, chłonąc z przymkniętymi oczami odgłosy nocy i echo jego głosu.

- I pewnie nie ma żadnego sposobu, żeby przesunąć wyjazd choćby o parę dni?

Uśmiechnęła się leciutko i przesunęła jego ramiona, żeby obejmowały ją jeszcze ciaśniej. Nie miała prawa obrażać Bucka, a i siebie samej, posądzeniem, że jest mu wszystko jedno lub że go nie boli rozstanie. Niewątpliwie zależało mu na niej. Tyle że nie aż tak, jak jej na nim.

- To niczego nie rozwiąże, Buck. I tak w końcu będę musiała wyjechać. Poza tym prosiłam Lily, żeby wysłała fax z informacją o zakończeniu pracy i podaniem terminu przyjazdu.

- Miałem nadzieję, że będziemy mieli więcej czasu - poskarżył się ze smutkiem w głosie. Poczula, jak jego pierś podnosi się i opada w głębokim westchnieniu. - A co robisz z urlopem? Mogłabyś...

- Buck, przestań - powiedziała, obracając się w jego

objęciach. Ujęła w obie dłonie twarz, która była jej tak droga, i delikatnie pocałowała go w usta. - Nie psujmy naszej ostatniej wspólnej nocy.

Nie musiała go namawiać. Zagłębił palce w jej włosach i pocałował ją z taką namiętnością, jakby chciał zebrać w jeden pocałunki całego życia. Anne czuła to i rozumiała, bo całując go, pragnęła wyrazić to samo.

Buck przerwał nagle i gwałtownie klepnął się dłonią po nodze.

- Do licha, chodź - powiedział wstając i pociągnął ją, żeby też stanęła na nogi. - Strasznie chciałbym się z tobą kochać, ale jeśli zrobimy to tutaj, będziesz miała całą śliczną pupcię skłutą przez komary.

- Czy nie sądzisz, że dzięki temu będę miała ciekawszą podróż? - Roześmiała się Anne.

Trzymając się za ręce, szli z powrotem przez las. Szybko zapadał zmrok. Anne widziała już na niebie migotanie pierwszych gwiazd. Dziwiła się, że Buck stąpa tak pewnie, podczas gdy ona widzi tylko do pół metra przed sobą.

Kiedy była z Buckiem, długie chwile milczenia nigdy jej nie ciążyły. Wiedziała, że choć jest bystry i dużo wie, nie ma zwyczaju rozpoczynać rozmowy tylko po to, żeby sobie pogadać. Lubił, kiedy wokół niego panowała cisza. Jednakże tej nocy stał się niezwykle rozmowny.

- Tak sobie myślę, że Webster pewnie wydaje się nudne w porównaniu z Nowym Jorkiem? - odezwał się ni stąd, ni zowąd.

- Tu jest spokojniej, ale ja się nie nudziłam - odrzekła, sugerując, że to dzięki niemu miasto było ciekawsze.

- No, a gdybyśmy się nie spotkali? Co byś wtedy myślała o Webster?

- Nie mam pojęcia - odpowiedziała szczerze.

- Nasze życie wygląda całkiem zwyczajnie. Człowiek dorasta, idzie do pracy, żeni się, chowa dzieci i wreszcie

umiera. Po drodze jest trochę śmiechu, trochę łez, sporo szarpaniny. Ludzie chcą mieć szacunek do samych siebie. W sumie żyjemy nieźle, ale nic szczególnego się nie dzieje. Czy mogłabyś coś takiego polubić? No wiesz, bez neonów, modnych sklepów i gwaru wielkiego miasta.

Serce Anne zaczęło bić mocniej, gdy Buck wspomniał o małżeństwie. Teraz tłukło się w piersiach jak oszalałe. Czego próbował się dowiedzieć? Czy to była chwila, na którą czekała? Ten moment, w którym wszystko miało się rozstrzygnąć?

Wzięła głęboki oddech i próbowała odpowiedzieć mu możliwie uczciwie.

- Przy założeniu, że cię nigdy nie spotkałam? - upewniła się jeszcze.

- Tak. Ja nie mam tu nic do rzeczy. Jesteś tylko ty. Sama.

Serce wciąż jeszcze biło jej mocno, lecz teraz czuła w gardle dławienie. Stwierdziła z przykrością, że nie na to czekała. Musiała odchrząknąć, zanim zdołała wydobyć z siebie głos.

- No wiesz, pokochałam Kentucky, naprawdę, ale chyba nie potrafiłabym siedzieć w domu z dziećmi i w kółko pucować gary, jak to robią niektóre tutejsze kobiety. Nie miałabym do tego cierpliwości. Lubię swoją pracę. Nie miałabym nic przeciwko takiemu życiu, o jakim mówiłeś, ale chciałabym także pracować poza domem.

Nie mogła dostrzec jego twarzy. W milczeniu trawił jej odpowiedź.

- Mówiłaś kiedyś, że ci się tu podoba - odezwał się wreszcie. - Nic nie stoi na przeszkodzie, żebyś się tu przeprowadziła. W fabryce potrzebny będzie główny księgowy. Bez problemu dostaniesz u nas pracę.

- Dzięki - powiedziała łagodnie. Fabryce by się przydała, nie jemu. - Zapamiętam twoją ofertę, na wypadek gdybym chciała zmienić pracę.

Nie było jej łatwo przelknąć rozczarowanie. Nawet kiedy wyszli z lasu i przecinali sąsiadujące z domem poletko, czuła w sercu gorycz.

Starła się być wobec niego uczciwa. Buck nie chciał jej zranić. Czuła, że w tym momencie, podobnie jak ona pragnął, by ich związek mógł trwać. Gdyby przyjechała do Webster i przyjęła posadę w fabryce, ich romans niewątpliwie mógłby się jeszcze przedłużyć. Anne byłaby szczęśliwa. Tylko jak długo? Chciała mieć wszystko albo nic; taką już miała naturę. Chciała mieć Kentucky, fabrykę, Bucka, może tylko w innej kolejności. Jeśli miałyby wejść w nowy układ, to potrzebowała wszystkich trzech elementów. Jeśli nie - nie będzie układu.

- Annie? - Cichy głos Bucka przywołał ją do rzeczywistości. - Czy coś cię gryzie? Jesteś taka milcząca.

- Myślałam o jutrzejszym dniu.

- Co takiego myślałaś?

Zatrzymała się i obróciła twarzą w jego stronę. Jedną jej rękę Buck trzymał w swojej dłoni, drugą wyciągnęła przed siebie i dotknęła jego piersi.

- Chciałabym, żebyś wyszedł do pracy, zanim się obudzę.

- A ja chcę zostać, dopóki nie będziesz musiała jechać na lotnisko.

- Wolałabym, żebyś tego nie robił. Ja... źle znoszę pożegnania - powiedziała, myśląc jednocześnie, że jak na ironię losu całe życie musiała się żegnać i jakoś to wytrzymywała. Tym razem nie była w stanie. - Wiesz, co tak naprawdę chciałabym teraz robić? - spytała nieco raźniej.

- Co? - Jego głos był tak cichy, że zabrzmiał prawie jak szept.

Anne także wyszeptała, niezwykle uwodzicielsko:

- Chcę pójść z tobą do łóżka. Natychmiast. - Jej dłonie powędrowały w górę i zaczęły rozpinąć guziki koszuli. -

Chcę się z tobą kochać całą noc. - Przyłgnęła ustami do jego szyi i rozchyliwszy koszulę, podciągnęła w górę biały podkoszulek. Przesunęła rękami po gładkim, silnym torsie i wymruczała: - Chcę o świcie zasnąć w twoich ramionach, a kiedy się obudzę...

Buck zamierzał ją właśnie pocałować, lecz nagle poderwał głowę w górę jak zwierzę, które wietrzy niebezpieczeństwo.

- Co to jest, do diabła?

- Co? - spytała, a po chwili usłyszała sama. Śmiech. Śmiech dzieci. Dobiegał od frontu domu.

Światło żarówki wiszącej nad tylnymi drzwiami oślepiło ją wprawdzie, lecz słyszała doskonale głos Bryce'a, który zwracał się do jakiejś niewidocznej osoby:

- Widzisz, mówiłem ci, że się ich doczekamy.

- Tym razem nie ujdzie mu na sucho - mruknął Buck, biorąc Anne pod ramię i prowadząc w stronę drzwi. - Co ty tu robisz, do diabła?! - zawołał.

Kiedy oczy Anne zaczęły przyzwyczajać się do światła, zobaczyła, że Bryce uśmiecha się przekornie.

- To jest także mój dom, zapomniałeś? - odciął się.

Buck otworzył drzwi i wpuścił Anne do kuchni.

- Nie myśl, że się skarżę na obecne warunki, ale nie zapominaj, starszy braciszku, że ja też mam do czynienia z kobietą. I to ona chciała wpaść, nie ja.

Spierali się jeszcze chwilę, lecz Anne już nie słuchała, bo do kuchni weszła Liddy Evans, ciągnąc za sobą całą trójkę swych dzieci. Anne nie miała pojęcia, że „średni chłopak” Liddy ma zaledwie pięć lat, najstarszy pewnie z sześć, najmłodszy cztery. Byli tak do siebie podobni, że można by ich uznać za trojaczki.

- Dobry wieczór pani - Liddy była zdenerwowana. Zasłoniła się wianuszkami dzieci jak tarczą. - Przepraszam, że przeszkadzam, ale jak tylko się dowiedziałam,

że pani wyjeżdża, to zmusiłam Bryce'a, żeby mnie tutaj przyprorowadził. Bo chciałam...

- Och, bardzo proszę, mów mi po imieniu - wpadła jej w słowo Anne, chcąc w ten sposób uniknąć podziękowań. - Wcale nam nie przeszkadzacie. Wiesz, nie miałam pojęcia, że twoi chłopcy są jeszcze tacy mali i... że z nich tacy przystojni kawalerowie.

Pochyliła się do nich, żeby się dowiedzieć, jak mają na imię, i tym bliższa znajomość została zakończona. Przez następne dwie godziny chłopcy szaleli na podwórzu, tylko od czasu do czasu wpadając do domu, by tchnąć trochę życia w rozmowę, którą dorośli prowadzili w pokoju, gdyż Buck wreszcie się złamał i podał gościom kawę.

Liddy Evans po pewnym czasie rozluźniła się zupełnie, więc Anne miała okazję wyrobić sobie zdanie na jej temat. Była rzeczywiście urocza: nieśmiała, skromna, a jednocześnie bardzo serdeczna. Kobieta tego rodzaju musiała wzbudzać w mężczyźnie takim jak Bryce instynkty opiekuńcze. Bez wątplenia żyła pod ciężarem stresu, ale choćby na podstawie zachowania jej synów można było wywnioskować, że radzi sobie świetnie, mimo iż na pierwszy rzut oka sprawiała wrażenie kruchej i bezradnej. Miała nie tylko urodę, lecz także charakter.

Anne wyraziła głośno tę opinię, kiedy oboje z Buckiem stali na werandzie, obserwując blednące w oddali tylne światła półciężarówki Bryce'a.

- Owszem. - Buck wciągnął w płuca haust świeżego powietrza i wypuścił je ze świstem. Następnie pochylił się i oparł o barierkę tarasu, jednym ramieniem objął Anne i wtulając twarz w jej szyję, dodał: - Ale ja też mam teraz do czynienia z kobietą. I moja kobieta miała właśnie mi zdradzić, czego pragnie. Pamiętasz?

- Owszem, pamiętam - odpowiedziała z uśmiechem i zarzuciła mu ramiona na szyję. - O, raj! - zawołała,

przewracając oczami i usiłując naśladować afektowany sposób mówienia Południowców. - Już myślałam, że nigdy w życiu nie pójda.

- Przedrzeźniasz mnie, panienko? - spytał, mrużąc groźnie oczy, a potem uśmiechnął się tak, że w środku wszystko jej się wywróciło do góry nogami.

- Czyż mogłabym się na to odważyć, panie Buck? Zwłaszcza wobec pana, który jest taki duży, taki silny i w ogóle.

- Jeśli zaraz nie przestaniesz, przekonasz się na własnej skórze, jaki jestem duży i silny. - Zartobliwie klepnął ją po pupie. Anne natychmiast mocno się podrapała w to samo miejsce. - Co się stało? - spytał ze śmiechem. - Swędzi?

- Och, mówię panu. Jakieś paskudztwo mnie ugryzło, i to przez ubranie - poskarżyła się, nadal usiłując naśladować jego akcent.

Ręka Bucka powędrowała usłużnie w swędzące miejsce.

- Zaraz cię ugryzę, i to przez ubranie - postraszył ją - jeśli w tej chwili nie przestaniesz. Lubię twój pretensjonalny, zatrącający z miejska akcent. Poza tym wolę przejść do rzeczy.

Ujął obiema rękami pośladki Anne i przyciągnął ją w swoją stronę. Anne posłała mu wstydlivy, domyślny uśmieszek.

- O, raju! - zawołała. - Słowo daję, że pan to już umie człowieka przekonać, panie Buck. Ale jeśli prędko pan tego nie zrobi, to przysięgam, że powiem coś brzydkiego na generała Roberta Lee.

Buck nie był człowiekiem, który lekceważył sobie ostrzeżenie. Rzucił się na nią jak jastrząb na polną mysz. W jednej chwili zaczęła omdlewać i słabnąć od jego gwałtownych pocałunków i śmiałych pieszczot. Zwilgotniała, rozpalona gorączką, choć w rękach trzymała nadal poły



koszuli Bucka, poczuła, że paznokcie wbijają się jej w zacisnięte kurczowo dłonie.

- Odgrażałeś się, że możesz mnie ugryźć przez ubranie - wymruczała w krótkiej przerwie na zaczerpnięcie oddechu. Jej południowy akcent zniknął bez śladu.

Buck roześmiał się, lecz nie w swój zwykły, hałaśliwy sposób.

- Chodź - powiedział, zamykając ją w ramionach. - Mam lepszy pomysł.

I rzeczywiście miał. Ich miłość była dotąd jak podróż w stronę gwiazd i księżyca, jak wyprawa w kierunku Jowisza i Marsa. Pieścił ją czule, brał gwałtownie. Drżał pod jej dotknięciem i oddawał się jej bez zastrzeżeń. Lecz tamtej nocy, ich ostatniej wspólnej nocy, z niczym nie dałoby się porównać.

Zostawili w tyle planetę Pluton, a namiętność porwała ich w przestworza. To była ich chwila, ich moment w czasie. Lata świetlne pełne ekstazy, radość i szczęście, których starczyłoby na całe życie.

Skupili w tym jednym momencie wszystkie pragnienia szubujące w przestworzach. Leżeli, trzymając się w ramionach, czując się mieszkańcami innego wymiaru, innego świata.

Kiedy szczęście osiągnęło apogeum, wrócili na Ziemię i znów zaczęli liczyć czas upływem minut i sekund, Anne poczuła, że pęka jej serce. Rozpadło się na tysiące kawałeczków, a tymczasem głowa Bucka spokojnie spoczywała na jej piersi. Przesunęła dłonią po plecach, starając się zapamiętać to mocne ciało, zachować wspomnienie dotyku skóry. Wiedziała jednak, że nigdy nie będzie w stanie przywołać w myślach tych samych wrażeń.

Czas działał na jego niekorzyść, bo świt zbliżał się wielkimi krokami. Czas był także sadystą, wiedziała to z doświadczenia, gdyż wkrótce zatrze w pamięci zdarzenia

minionego tygodnia i przyćmi wspomnienie twarzy Bucka. Ale nie zmieni miłości, którą czuła. Nie ukoji bólu rozstania i nie wypełni pustki.

Rozkoszowała się jego bliskością. Nie mogła znieść myśli o pożegnaniu.

- Buck? - odezwała się. W ciemnościach jej głos zabrzmiał głośno i ochryple.

- Mmm?

- Proszę cię, wyjedź, zanim się obudzę - powiedziała prędko, bojąc się, że się rozplacze.

Poczuła w jego ciele nagle napięcie.

- Annie...

- Proszę... - przerwała mu, bo zabrzmiało to tak, jakby zamierzał protestować. - Chcę, żeby to było moje ostatnie wspomnienie. Jak trzymam cię w ramionach.

Westchnął ciężko, lecz nic nie powiedział. Napięcie minęło, lecz teraz czuła, jak Buck drży. Zamknął ją w zaborczym uścisku. Zamknęła oczy, a łzy w ciemności spływały jej po policzkach. Po chwili uświadomiła sobie, że i on cicho płacze z głową na jej piersi.

Trzymała go w ramionach, przepelniona bezgraniczną miłością, dopóki ciemność nocy nie zaczęła się zmieniać w szarość świtu. Wsłuchana w spokojny, równy oddech Bucka, czuła w sobie pustkę i jakby odrętwienie. Zmęczone oczy, piekące, lecz już suche, przykryły się powiekami. Kiedy je rano otworzyła, Bucka nie było.

## Rozdział 11

Szarość. Mieszanina wszystkich kolorów, lecz jednak buro. Wstrętny kolor. Anne jeszcze nigdy w życiu nie widziała tyle szarości. Gdziekolwiek się obróciła, wszystko zdawało jej się szare. Zachmurzone, zasnute spalinami niebo nad Nowym Jorkiem było szare i nie przypominało w niczym błękitu Kentucky. Domy były szare. Mężczyźni spotykani w windach nosili szare garnitury, a dominującą barwą tego sezonu w damskiej modzie była szarość. Cały świat dopasował się barwą do jej nastroju i był szary.

Anne stała w grupie pieszych, czekających na zmianę świateł. Próbowwała wzbudzić w sobie chęć do życia, lecz ani jazda metrem, ani pokonanie na piechotę niewielkiego odcinka nie wpłynęły na zmianę jej nastroju. Bała się, że znów spędzi dzień, snując się bez celu z kąta w kąt, jak to się ostatnio często zdarzało. Nie czuła rozpacz, nic z tych rzeczy, jedynie ogólne odrętwienie i brak motywacji.

Nie potrafiła się cieszyć z powrotu na stare śmieci, ale dotkliwy ból, jaki czuła przed miesiącem, tuż po powrocie z Kentucky, także już wygasł. Widocznie znoszenie takiego nastroju przez wiele dni kosztowało ją wiele energii, której ostatnio nie miała w nadmiarze. W konsekwencji jej życie nie było ani białe, ani czarne, ani szczęśliwe, ani smutne. Było puste i szare. Kolor nieszczęśliwy, ale można z nim żyć.

Choć starała się nie myśleć, nie pamiętać, tłumić uczu-

cia, a nawet doszła w tym do wielkiej wprawy, coś niecoś przesączało się do jej świadomości.

Zeszła z krawężnika i spojrzała na potężny niebieskoszary budynek po drugiej stronie ulicy, siedzibę koncernu Harrimana. W ten sam sposób patrzyła na niego pierwszego dnia po powrocie. Tamtego ranka szarpały ją sprzeczne uczucia. Była załamana i zagubiona. Patrzyła w górę, nienawidząc tego gmachu, wszystkich, którzy pracowali w środku, i wszystkiego, co reprezentował. Była wściekła na Bucka za to, że nie wyznał jej miłości i nie błagał, żeby została. A jednocześnie bezgranicznie za nim tęskniła.

- A więc wróciłaś - powitał ją Calvin Schwab.

Stał w progu gabinetu Anne, oparty o drzwi, miał gładko wygoloną, podłużną twarz, patrzył na nią z góry, jakby domyślał się wszystkiego.

- Tak, wróciłam.

Umykała w bok spojrzeniem i przerzucała papiery na biurku. Bała się, że mógłby odczytać prawdę w jej oczach.

- Słyszałaś, jaką dostali odprawę, kiedy zadzwonili ze swoją ofertą? - spytał z wyraźną satysfakcją w głosie.

Anne zagryzła wargi, bo miała ochotę wstać i nazwać świnia tego faceta. Czy on zdawał sobie sprawę, jak wielką krzywdę wyrządził tym ludziom i jak bardzo ich rozczarował?

Nie powiedziała tego jednak, tylko rozcięła kopertę, może nieco zbyt wiele uwagi poświęcając tej czynności, następnie oparła się plecami o krzesło, wyjęła list i zaczęła uważnie studiować jego treść.

- Słyszałam - potwierdziła, nie podnosząc głowy.

- Trzeba przyznać, że twój plan świetnie się sprawdził. Pozwoliliśmy im strugać biznesmenów, żeby zatkać im gęby, a potem dostali ostrą odprawę. Podziało jak złoto.

- Od poniedziałku nie dali znaku życia. Dobrze się sprawiłaś, mała.

- Dzięki.

Anne nie miała pojęcia, że to był jej plan. Spróbowała przywołać na twarz wyraz wdzięczności i z przylepionym do warg uśmiechem podniosła wzrok. Calvin kilka razy pokiwał głową z zadowoleniem, po czym poszedł do siebie.

Kolejne pojawienie się Calvina w progu pokoju Anne dało jej nieporównanie więcej satysfakcji. Wyruszyła do Webster, by zyskać jego aprobatę i szacunek. Teraz widziała jego zdenerwowanie, lecz czuła się znacznie, znacznie lepiej.

- Ci cholerni górale znów się uczepili - oznajmił jej ze złością. - Do jutra rana mamy czas na zmianę naszego stanowiska w sprawie sprzedaży fabryki. Jeśli nie, to zwróć się do prasy.

- Nie może być - zdziwiła się obłudnie Anne, nadając twarzy wyraz niedowierzania. - Ciekawe, który z nich na to wpadł.

- LaSalle. To on dzwonił do Harrimana. Ten facet wprowadza mnie z równowagi.

Anne domyśliła się, dlaczego Buck zwrócił się bezpośrednio do Harrimana z pominięciem drogi służbowej. Calvin był bardzo wrażliwy na formy, zwłaszcza od kiedy znalazł się blisko szczytu. Pokiwała głową ze współczuciem.

- Nieźle to sobie wymyślił. (Któż mógł to lepiej wiedzieć niż ona). I co teraz zrobisz?

Niecierpliwie wzruszył ramionami.

- Harriman nie życzy sobie rozgłosu. - Przerwał i zastanawiał się przez chwilę. - Niech to szlag. Wrzucę ich na głęboką wodę. Nie przetrwają dłużej niż sześć miesięcy.

Anne była innego zdania, lecz pokiwała głową, jakby przyznawała mu rację. Jej serce tańczyło z radości.

W tym momencie czuła, że jest blisko Bucka. Dzieliły ich setki kilometrów, a jednak byli związani. Ten związek był tak realny jak ból rozstania. Anne wiedziała, że Buck w tej chwili odczuwa to samo. Ich myśli stopiły się w jedno.

Była to jedyna przyjemna chwila w ciągu ostatniego miesiąca. Jej wspomnienie, starannie pielęgnowane, przetrwało do wieczora. Anne była szczęśliwa ze względu na Bucka i innych mieszkańców Webster. Fabryka nadal będzie ich żywicielką, a w związku z tym niewiele zmieni się w samym mieście. Cieszyła się także ze względu na siebie. Z radością myślała o tym, że Webster zostanie takie, jakim go zapamiętała: piękne, spokojne i bezpieczne.

Zadzwonił telefon. Anne leżała na kanapie, myślała o Kentucky i tęskniła za Buckiem. Aparat stał w zasięgu ręki, lecz nie podniosła słuchawki, bo nie chciało jej się podjąć tego wysiłku. Romowę przyjęła automatyczna sekretarka.

- Annie? Mówi Buck. Wiesz... tęsknię za tobą. Dzwonię, żeby usłyszeć twój głos. Odezwij się od czasu do czasu. Chyba możemy porozmawiać, co? - Tu nastąpiła pauza, jakby Buck chciał powiedzieć coś więcej, a potem połączenie zostało przerwane.

Odezwąć się od czasu do czasu... Równie dobrze mógł jej zaproponować, żeby co wieczór wbijała sobie nóż w serce. Dzwonienie do niego i ciągle pożegnania byłyby rodzajem duchowego samobójstwa. Wiedziała, że nie zadzwoni. Nigdy. Cięcia chirurgiczne goją się prędzej niż rany szarpane. Myślała z goryczą, że Buck powinien to wiedzieć i zostawić ją w spokoju. Szloch rozrywał jej piersi. Wołała Bucka i z bólem nasłuchiwała, czy się odezwie.

Ten sam scenariusz powtarzał się noc w noc przez prawie tydzień. Wreszcie Buck dał za wygraną. Na próżno czekała na dzwonek telefonu. Płakała, wyobrażając sobie Bucka „Pod Wrzecionem”, a na jego kolanach dziewczynę w obcisłych dżinsach.

Wkrótce potem wszystko w jej życiu przygasło i straciło sens. Wstawanie stało się mordęgą. Chodzenie do pracy było jeszcze gorsze. Gdyby miała dość energii, poszukałaby sobie innej pracy. U Harrimana się sprawdziła. Może nie tak, jak to sobie wcześniej wyobrażała, lecz wystarczająco, zarówno zawodowo, jak i moralnie. Zrobiła to, co zrobić należało, i przynajmniej z tego mogła być dumna.

Wstąpiła na krawężnik i zmieszała się z tłumem ludzi zmierzających w kierunku błyszczących do szkła i chromu drzwi prowadzących do biurowca Harrimana. Nie patrząc, automatycznie nacisnęła guzik windy i czekała, przygarbiona i zrezygnowana.

- Dzisiejsza młodzież. - Kobieta stojąca z tyłu za plecami Anne wypowiedziała te słowa z bliskim pogardy lekceważeniem. - Młodzi tak szybko się dziś poddają. Jeśli zaraz po ukończeniu college'u nie dostaną sześciocyfrowego uposażenia, to im się wydaje, że świat się kończy. Zaczynają brać narkotyki i kończą na ulicy. Gdzie się podział dawny stosunek do pracy?

- Uspokój się, Sylwio - ściszone głosem mitygowała kobietę jej towarzyszką. - Trevor jeszcze znajdzie właściwą drogę.

- Nie sądzę. Uważa, że jeśli raz spróbował, to już wystarczy. Nie dostał posady konsultanta, więc postanowił wrócić na uczelnię i robić doktorat. Mówię ci, Milly, będziemy płacić za jego naukę do końca naszych dni, jeśli chłopak się w końcu nie przekona, że nic w życiu nie przychodzi łatwo. Wszystko wymaga pracy.

Otworzyły się drzwi windy i Anne weszła do środka, a za nią obie kobiety. Jedna z nich, pewnie Sylwia, zapatrzyła się na Anne, unosząc brwi, jakby miała do czynienia z „dzisiejszą młodzieżą”. Anne uśmiechnęła się blado i obserwowała numery pięter wyświetlane nad drzwiami w miarę wznoszenia się windy.

- Matka zawsze mi powtarzała, że kropla draży skałę.  
- Sylwia mówiła teraz ciszej i pochyliła się w kierunku Milly, jakby wyłączając w ten sposób Anne z rozmowy. - A wiesz, co powiedział Trevor, kiedy mu powtórzyłam te słowa? - Milly pokręciła głową przecząco. - Powiedział: „Ja nie chcę drażyć skały, mamu. Chcę zrobić doktorat”. Mówię ci, Milly, w dzisiejszych czasach młodzi ludzie nie mają żadnej odporności. Próbują, a jeśli nie idzie jak z płatka, rezygnują. Żadnego kośćca.

Niestety, Anne musiała wysiąść wcześniej niż Sylwia, lecz mimo to słowa obcej kobiety zapadły jej prosto w serce. Winda stanęła, drzwi się otworzyły, obie kobiety przez kilka sekund na nią patrzyły, nim się zorientowała, że powinna wysiąść.

Kropla draży skałę! Jeśli tak, Anne Hunnicut także to potrafi. Kiedy doszła do tego wniosku, na jej wargach pojawił się uśmiech, a cały świat zakwitł kolorami.

- Och, bardzo przepraszam - powiedziała Anne do Milly i Sylwii, wysiadając z windy. W progu, powodowana nagłym impulsem, przytrzymała na moment drzwi i z uśmiechem zwróciła się do Sylwii: - Bardzo pani dziękuję i życzę, żeby dogadała się pani z Trevorem. Jest pani bardzo mądrą kobietą, Sylwio.

Kobieta wydawała się zgorszona, że ktoś podsłuchiwał jej rozmowę, lecz Anne nie czuła żadnej skruchy. Teraz wszystko wydawało jej się takie proste!

Wzbierał w niej śmiech i wcale nie próbowała go powstrzymać. Szła głównym korytarzem, a jej sprężysty



krok zwrócił uwagę kilku mijanych sekretarek. W miarę zbliżania się do końca korytarza, gdzie mieściły się gabinety szefów, droga do szczęścia rysowała się coraz wyraźniej. Kiedy doszła do sekretariatu Calvina, doskonale wiedziała, co należy zrobić.

- Dzień dobry - przywitała się z miłym uśmiechem. - Cal jest u siebie? - Nim sekretarka zdążyła odpowiedzieć, Anne podeszła do drzwi. Z natury nie była przebojowa, lecz zbyt długo już siedziała beczynnie. Czuła przypływ energii i gwałtowną wolę działania. - Wpadnę tylko na chwilę - oznajmiła zdezorientowanej sekretarce, a następnie zatrzymała się, zwróciła w jej stronę i spytała:

- Pani bluzka nie jest szara, prawda?

- N... nie jest - wyjąkała zdumiona kobieta.

- Cóż za ulga - powiedziała Anne z uśmiechem, otwierając drzwi gabinetu Calvina.

- Anne! - zdziwił się, patrząc na nią zza biurka. - Mieliśmy wyznaczone na rano spotkanie?

- Tak mi się zdaje, Cal - odparła, stawiając wszystko na jedną kartę.

Zmarszczył brwi.

- Kiedy to zostało zaplanowane?

- Dawno temu. W gwiazdach.

Ledwo zdawała sobie sprawę z tego, co mówi. Wiedziała, czego chce i do czego dąży; tylko to naprawdę się liczyło.

- Co takiego?

- Nieważne, Cal. Wpadłam tu, żeby ci powiedzieć, że się zwalniam.

- Co takiego?

- Zwalniam się. Z pracy.

- Co takiego?

- Przykro mi, lecz nie zamierzam zostać nawet ustawowych dwóch tygodni. Odchodzę z dniem wczoraj-

szym, bo dziś mam jeszcze mnóstwo spraw do załatwienia. Nie musisz mi mówić, że to jest nieodpowiedzialne, bo sama wiem. Prawdę mówiąc, chyba nigdy w życiu nie byłam aż tak nieodpowiedzialna. Nic na to nie poradzę. Muszę jechać.

- Dokąd, na litość boską?

- Do Kentucky, Cal.

- Co?

- Jeśli nie będę działać, nigdy nie zdołam wydrążyć skały. A muszę to zrobić, choćbym miała strawić na tym całą resztę życia.

- O czym ty mówisz?

- Dziękuję ci... za wszystko, Cal. Życzę szczęścia - powiedziała szczerze, zмирzając w stronę drzwi.

- Anne, czyś ty zmysły postradała? - spytał skrzekliwie, zdumiony jej zachowaniem.

Uśmiechnęła się, a potem z jej ust znów wydobył się pensjonarski chichot.

- Postradałam. I dobrze mi z tym.

Wpadła do swojego pokoju, wzięła, co jej było potrzebne, co niepotrzebne zostawiła i po pięciu minutach była już w windzie. Miała wprawę, więc do piątej wieczorem zdążyła spakować połowę rzeczy, umówić się z pośrednikiem w sprawie mieszkania na dzień następny i zamówić firmę zajmującą się przeprowadzkami na dzień później. Od tygodni nie czuła się tak pobudzona. Zastanawiała się, czemu wcześniej nie przyszło jej do głowy takie rozwiązanie.

Lubiła kończyć raz zaczęłą rzecz. Nigdy nie poddawała się w połowie drogi. No, może ten jeden jedyny raz, kiedy rzuciła pracę u Harrimana. Miała przed sobą dużo czasu, a jednak zrezygnowała z Bucka, nawet nie próbując walczyć. Początkowo uważała, że ich związek będzie krótko-

trwały. Buck sądził podobnie. W jej uczuciach zaszła zmiana. Chciała z nim zostać, lecz była nazbyt dumna, żeby wprost mu o tym powiedzieć. A jeśli w jego wypadku było podobnie? Może i jemu duma nie pozwoliła mówić? Może i on ją kochał?

Ha! Kocha, czy nie - to bez znaczenia. Dopóki istniała choćby najmniejsza szansa na wspólną przyszłość z Buckiem, Anne postanowiła tę szansę wykorzystać. Sprawi, że Buck ją pokocha. Jeśli przeprowadzka do Kentucky nie pomoże, spróbuje czego innego. Ale nie podda się. Nigdy.

Kochała tego mężczyznę i kochała miejsce, w którym mieszkał. Chciała mieć i Bucka, i Kentucky. Wszyscy, którzy znali Anne Hunnicut, mogli zaświadczyć, że jeśli już coś sobie postanowiła, nie było dla niej rzeczy niemożliwych.

- Zadzwoń do ciebie, kiedy już będę miała nowy adres i numer telefonu - mówiła radośnie do słuchawki, jednocześnie wpychając nogą ostatnią pakę książek do sypialni. - Jutro się zjawi ekipa od przeprowadzek, a ja wyjadę, jak tylko skończą. Powinnam coś wiedzieć w piątek, a najdalej w sobotę.

- Pewna jesteś, że to mądre posunięcie? - pytał ojciec Anne z wyraźną troską w głosie. - Wszystko stało się tak nagle. Na ogół nie podejmujesz pochopnie tego typu decyzji.

- To najmądrzejsza rzecz, jaką zrobiłam w życiu.

- No cóż, masz głowę na karku i zawsze wiedziałas, czego chcesz, więc przypuszczam, że postępujesz słusznie - powiedział, próbując przekonać samego siebie, że niecodzienne postępowanie Anne oparte jest na rozsądnej ocenie faktów, którą przez całe życie się kierowała.

- Więcej niż słusznie - oświadczyła z przekonaniem.

Porozmawiali jeszcze chwilę o braciach Anne i pożegnali się.

Anne stała, wzięwszy się pod boki, i zastanawiała się, co jeszcze należy zrobić. Wszystko poza rzeczami niezbędnymi zostało spakowane i porządnie złożone w sypialni, poza zasięgiem wzroku, żeby nie psuć wrażenia, kiedy zjawi się pośrednik. Meble zostawiła tam, gdzie stały, bo choć ta przeprowadzka wyjątkowo ją cieszyła, nadal nie znosiła widoku sprzętów porozstawianych w całym mieszkaniu bez ładu i składu.

Nie miała w tej chwili nic pilnego do roboty, podeszła więc do okna i spojrzała w dół na ruchliwą ulicę. Dwa miesiące temu była całkiem zadowolona i z życia, i z mieszkania. Było przytulne, miała stąd blisko do rodziny. Spojrzała na sklepy i tarasy przed domami, po czym doszła do wniosku, że jednak będzie jej tego brakowało. Troszkę.

Miała przecież znajomych, z którymi chciała się pożegnać, były w Nowym Jorku miejsca, które lubiła i na niektóre chciała jeszcze popatrzeć przed odjazdem. Kiedy w jej głowie zaczął kiełkować zamiar urządzenia pożegnalnego przyjęcia, zadzwonił telefon.

- Annie? Czy to ty?

Jedna jedyna osoba nazywała ją w ten sposób. Anne była tak zaskoczona, że nie mogła wydobyć z siebie głosu. Miała wrażenie, że oto jej myśli się zmaterializowały. Przedziwna sprawa.

- Cholerny automat - zaklął Buck.

- Nie, nie! - powiedziała prędko, czując, że serce w niej zamiera. - To ja. Jestem w domu.

- Och, Annie. Chwała Bogu.

- Buck? Wszystko w porządku? Nic złego się nie stało?

- Teraz już w porządku, ale zaczynałem myśleć, że cię nigdy nie znajdę. Powinienem był wziąć taksówkę, ale

pomyślałem sobie, że pójde na całość i pojechałem metrem. To jednak niezupełnie to samo co autobus. - Jego cichy śmiech sprawił, że krew zaczęła w niej krążyć żywiej.

- Nie to samo - potwierdziła, wstrzymując oddech i bojąc się zadać to najważniejsze pytanie, żeby się zbytnio nie rozczarować.

- Podałem się w końcu i spytałem kogoś o drogę, ale coś mi się zdaje, że poszedłem o jedną przecnicę za daleko, a potem skręciłem w prawo, kiedy powinienem był skręcić w lewo. Krótko mówiąc: zabłądziłem.

Teraz już musiała zapytać.

- Jesteś w Nowym Jorku?

- W Webster raczej ciężko się zgubić, Annie.

Roześmiała się z jego zakłopotania, a zarazem śmiała się z czystej radości.

- Wiesz chociaż, gdzie jesteś?

- Jakaś włoska restauracja. Nie jestem nawet w stanie wymówić nazwy.

- Przeliteruj - poprosiła, a kiedy to zrobił, nakazała: - Zostań tam, Buck. Będę za dwadzieścia minut. Nigdzie się stamtąd nie ruszaj.

Po odłożeniu słuchawki Anne dwie minuty biegała po mieszkaniu, wydając okrzyki radości i objając się o ściany jak ptak, który wyrwał się z klatki. Kiedy się opamiętała, doprowadziła do porządku, żeby wyglądać możliwie reprezentacyjnie, i doszła do restauracji, oddalonej od jej mieszkania o dwie przecznice, zostały jej jeszcze trzy minuty.

Zatrzymała się w progu, żeby oczy przywykły do mroku. Usłyszała niski, dobrze jej znany głos, jeszcze zanim dojrzała Bucka. W głównej sali tylko kilka stolików było zajętych. Siedział przy jednym z nich, rozparty wygodnie, ze szklanką piwa w ręce, czarując dwie panienki za-

chwyczone jego męską urodą i akcentem Południowca. Śmiał się jak... jak głupi do sera.

- Przysięgam. Zeszłego lata złapałem taką jak ramię starego Mario. Jasna rzecz...

Uniósł wzrok, a kiedy dostrzegł Anne, uśmiechnął się tym swoim uśmiechem, od którego mało się człowiek nie skręcił. Powiedział: „Anne”, tak jej się w każdym razie zdawało. Ruszał wargami, lecz nie było słyhać żadnego głosu.

Szli, wpatrzeni w siebie, mijając stoliki i obcych ludzi, aż się spotkali na środku sali. Przez długą, nieprzyjemną chwilę stali, jakby o coś pytając, oceniając wzajemne reakcje. Buck, chyba nieświadomie, oburącz ujął jej dłonie, jakby sprawdzał, czy naprawdę tu jest.

- Cześć - powiedziała głupio, kiedy milczenie zaczęło jej ciążyć, a nic mądrzejszego nie przychodziło do głowy.

- Cześć. - Jego głos był niewiele głośniejszy od szeptu. Objęli się. Niezręczny gest ludzi niepewnych.

Wreszcie Buck cofnął się o krok. Patrzył na nią, nawet nie mrugnawszy powieką. Po chwili, jakby dopiero teraz zdał sobie sprawę, gdzie się znajduje, rozejrzał się i znów podniósł wzrok na Anne.

- Czy znasz jakieś miejsce, dokąd moglibyśmy pójść i porozmawiać w cztery oczy? - spytał niespokojnie.

- Może być moje mieszkanie?

Skinął głową i skierował ją w stronę drzwi. Typowy dla ludzi z Południa sposób, w jaki pożegnał Maria i obie dziewczyny, wywołał uśmiech Anne i nappełnił ciepłem jej serce. Buck nie zmienił się w ciągu ostatniego miesiąca. Nadal był tym samym otwartym, uprzejmym, wrażliwym, delikatnym i cudownym mężczyzną, którego pokochała.

- Zdjęcia i mapy nie są w stanie oddać wszystkiego. Trzeba zobaczyć Nowy Jork, żeby się przekonać, jak tu

naprawdę wygląda - zauważył, kiedy wyszli z restauracji i włączyli się w tłum przechodniów.

Ze śmiechem ujęła rękę Bucka i ścisnęła ją w swojej dłoni. Tak bardzo pragnęła być z nim sama. Jeśli to tylko sen, nie miała ochoty się budzić.

Szli, gawędząc o tym i owym. Anne pytała o Bryce'a i Liddy, o Jimmy'ego McKee, Lily i innych znajomych. Ciekawa była, jaką miał podróż, co się dzieje w fabryce i jaką Buck pełni tam funkcję.

- To jest właśnie jedna ze spraw, o których chciałbym pomówić, kiedy będziemy u ciebie - powiedział Buck, idąc za nią po schodach. - W każdym razie powinni być gotowi ze wszystkim w ciągu miesiąca. Potem Art Anderson, adwokat, Lily i Drake przyjadą do miasta, żeby podpisać dokumenty. Wszyscy są przejeźci. Powinno się udać.

- A co z tobą? Zostaniesz na dotychczasowym stanowisku, czy zajmiesz się czymś innym? - spytała, wyczuwając, że Buck celowo pomija jakąś sprawę. Włożyła klucz do zamka, była jednak zbyt zajęta obserwowaniem zachowania Bucka, by otwierać drzwi.

Buck delikatnie dotknął ustami jej warg, a potem poprosił z uśmiechem:

- Wejdzmy do środka. Chcę z tobą porozmawiać o sprawach ważniejszych niż fabryka.

Anne otworzyła drzwi i zapaliła lampę. Stali oboje na środku pokoju, w którym nie było nic, co by świadczyło o obecności właściciela. Anne całkiem zapomniała o przewodźce. Chciała usłyszeć, co Buck ma do powiedzenia, zanim oznajmi mu swoją nowinę, a teraz pewna była, że Buck się zorientuje.

Zmarszczył brwi.

- O co chodzi? - spytała, widząc jego wahanie.

- Nie sądziłem, że jesteś taka... jak by tu powie-

dzieć... oszczędna. - Jeszcze raz się rozejrzył, po czym wzruszył ramionami. - Zresztą to nie ma znaczenia. - Zwrócił się w stronę Anne, ujął ją za ramiona, podprowadził do kanapy i lekko naciskał, aż kolana jej się ugięły i usiadła. Potem odszedł od niej, jakby dystans miał mu ułatwić mówienie.

Chodził w tę i z powrotem od drzwi kuchni do drzwi sypialni. Jego nerwowość udzieliła się Anne. Aż ją skręcało. Siedziała na brzegu kanapy, czekając niecierpliwie. Denerwowała się, a milczenie Bucka jeszcze pogłębiało jej niepokój. Nie zdziwiłaby się, gdyby jej oznajmił, że spodziewa się dziecka.

Nagle roześmiał się niepewnie i przeczesał włosy palcami.

- Jezu. Trenowałem całymi tygodniami, a teraz nie wiem, jak zacząć.

Nie wiedziała, jak mu pomóc, więc tylko uśmiechnęła się zachęcająco. Poza wszystkim innym ona także miała coś do powiedzenia i niecierpliwie czekała na stosowny moment.

- Pamiętasz tę noc, kiedy mnie oskarżyłaś, że cię wykorzystuję? Powiedziałaś wtedy, że twoim zdaniem wszystko, co się zdarzyło między nami, od początku sobie zaplanowałem. Od tej chwili, kiedy się spotkaliśmy na szosie.

- Tę noc, kiedy po raz pierwszy się kochaliśmy? - spytała, uśmiechając się ciepło na samo wspomnienie. - Pamiętam. Bardzo dokładnie.

- Miałaś rację. Rzeczywiście wiązałem z tobą różne plany już w pięć minut po naszym spotkaniu. Ale żaden z nich nie miał nic wspólnego z fabryką. - Spojrzała mu prosto w oczy. Tego dnia, kiedy się spotkali, twarz Bucka miała ten sam wyraz. Wyraz oczarowania, który ją obez-



władniał, a zarazem przerażał. Milczała, czekając na dalsze słowa.

- Wiesz, zapragnąłem cię w tej samej chwili, w której zobaczyłem, że stoisz na szosie. Kiedy się na mnie złościłaś, że nie jesteś kawałkiem mięsa. - Uśmiechnął się, a potem roześmiał głośno, przypominając sobie ten moment. - Stwierdziłem, że pewnie nie wskoczysz mi do łóżka i będę się musiał trochę pozalecać.

- Pozalecać? - Wbrew woli musiała się roześmiać z tego tak staroświeckiego określenia. Była rozbawiona, lecz słowa Bucka wywołały w niej także inne uczucia. Serce jej wezbrało uniesieniem, czuła w sobie niezwykłą werwę.

- Chciałem cię zbałamucić - powiedział z uśmiechem, lecz po chwili znów spoważniał. - Taki był plan wstępny. Zmodyfikowałem go od tamtej pory. Cel został ten sam, ale... wszystko się zmieniło. Teraz to wygląda inaczej.

- W jakim sensie inaczej? - spytała z lekką chrypką. Dużo by dała za to, żeby się dowiedzieć, czy i on jest tak poruszony jak ona i równie zdenerwowany.

Patrzył na nią długo. W jego oczach widziała niepewność i najprawdziwszy strach, uczucia, o które nigdy by nie podejrzewała człowieka tak śmiałego i pewnego siebie. Odwrócił wzrok i nieświadomie obracał w dłoniach swoją czapkę z napisem „Madę in America”. Po kilku sekundach znów zwrócił twarz w jej stronę.

- Annie... Cholera, ciężko to wytłumaczyć - poskarżył się, następnie mówił, ważąc każde słowo: - Bardzo dużo dla mnie znaczysz. Czasami, kiedy jesteśmy z sobą, czuję, że tracę głowę, i to mnie przeraża, ale... ale kiedy cię nie ma, jest dużo gorzej. Chciałbym cię tulić w ramionach, kochać bez opamiętania... a jednocześnie nie mam odwagi cię dotknąć. Jesteś inna niż wszystkie.

- Na czym to polega? - spytała zaniepokojona. Nie

byłaby w stanie się zmienić, a bardzo chciała, żeby ją akceptował, lubił jako człowieka, kochał taką, jaką jest.

- Na tym, że jesteś czymś więcej. Jesteś bardziej kobieta niż jakakolwiek inna dziewczyna. Jesteś mądra i bystra jak mało który mężczyzna, a zarazem delikatna i czuła jak matka z niemowlęciem przy piersi.

Przeszedł przez pokój, stanął przy oknie i patrzył w dół, na ulicę.

Zdumiewał ją opór, który musiał pokonać, by wypowiedzieć swoje uczucia. Każde słowo przychodziło mu z trudem, a jednak mówił, gdyż pragnął, by go zrozumiała.

-Sprawiasz takie wrażenie, jakby nie był ci potrzebny mężczyzna. W pewnym sensie podziwiam twoją niezależność. .. Zastanawiam się tylko, czy mogę ci coś zaofiarować.

-Kto ci powiedział, że nie potrzebuję mężczyzny? - spytała, niemile zaskoczona jego opinią. Ciekawa była, jakim cudem mógł odnieść takie wrażenie. - Może nie potrzebuję wsparcia w sensie finansowym, ale zawsze pragnęłam znaleźć w kimś oparcie w sensie emocjonalnym. Mieć kogoś, z kim się spędza wieczory. Kogoś, z kim się dzieli życie, wychowuje dzieci, z kim się człowiek wspólnie starzeje. Można potrzebować człowieka w rozmaity sposób. Sądzę, że pieniądze są tu akurat najmniej ważne.

Najpierw spojrział na nią przez ramię, dopiero po chwili całkiem odwrócił się w stronę pokoju, nie odchodząc jednak od okna.

- Wiem tylko jedno - powiedział bez cienia uśmiechu. - Jesteś mi potrzebna, Annie. Bardzo cię pokochałem.

Anne poruszyła się niespokojnie. Całe jej ciało drżało z podniecenia. Chciała czuć dotyk Bucka, jego wargi na swoich ustach, dłonie na gołej skórze. Tęskniła za ciepłem jego ciała, jękiem bólu i rozkoszy. Gdyby chciał ją

pocałować, teraz nadarzała się okazja. Jeśli chcesz działać, zacznij teraz, zachęcała go w duchu.

Niestety, Buck najwidoczniej nie skończył jeszcze przemowy. Już otwierała usta, żeby powiedzieć, co dyktowało jej serce, lecz powstrzymała ją gestem.

- Nie. Poczekaj chwilę- rzekł poważnie. - To nie koniec. Chcę powiedzieć wszystko, żeby już raz z tym skończyć.

Jego słowa brzmiały jak przygrywka do wielkiego „ale”, które zazwyczaj towarzyszy dobrym nowinom. Słowa miłości i przywiązania zastygły jej na wargach i czekała drżąca, a jednocześnie zdjeta przerażeniem.

- Zwolniłem się z pracy.

- Co zrobiłeś?

- Zwolniłem się z pracy w fabryce.

- Ale dlaczego? - spytała z niedowierzaniem.

- Bo chcę być z tobą - odrzekł, bezradnie rozkładając ręce, jakby sądził, że wyjaśnienia są tu zbędne. - Chciałem, żebyś ze mną została, zamieszkała w Kentucky, pracowała w fabryce i żebyś wyszła ze mnie za męża. Długo nad tym myślałem i w końcu doszedłem do wniosku, że nie mam prawa cię prosić, żebyś zerwała z dotychczasowym życiem. Nie mam do zaoferowania nic lepszego. Więc postanowiłem - mówiąc to, patrzył w podłogę- postanowiłem, że to ja przyjadę do Nowego Jorku i będziemy razem.

Anne zakreśliło się w głowie od nadmiaru myśli. Ledwo wierzyła własnym uszom. Zwolnił się z pracy? Zostawił swoje ukochane Kentucky - tylko dla niej? Brakowało jej słów, w gardle dławilo wzruszenie. Ze łzami w oczach przeszła parę kroków, które ich od siebie dzieliły.

Podniósł głowę, kiedy w polu widzenia dostrzegł stopy Anne. Uśmiechnęła się wbrew woli, widząc na jego twa-

rzy wyraz niepewności. Wyznanie musiało go wiele kosztować. Jak wiele, tego Anne nigdy się pewnie nie dowie.

Kiedy wyciągnął rękę i starł łzę z policzka Anne, zdała sobie sprawę, że płacze. Przełknęła z trudem kilka razy i dopiero wtedy była w stanie wymówić jego imię.

Buck ujął twarz Anne w obie dłonie i głęboko zajrzał jej w oczy. Opuszkami palców leciutko gładził policzki. Potem z pełną czci obawą złożył na ustach pocałunek. Przytuliła się, chcąc sobie przypomnieć ciepło i siłę jego ciała. Pierwszy raz w życiu poczuła, że dobiła wreszcie do przystani.

Zniknęła pustka, wątpliwości się rozwiały, prysła obawa. Znalazła swoje miejsce. Buck był dla niej jak opoka. Jego ramiona były domem. Od dziś znajdzie w nich na zawsze schronienie i oparcie.

Namiętne pocałunki zatarły wspomnienia posępnych samotnych tygodni. Anne promieniała radością. Gotowa była wejść na dach i stamtąd oznajmić całemu światu, że kocha i jest kochana.

- Zwolnienie się z pracy nie było mądrym posunięciem - powiedziała, śmiejąc się, gdyż wargi Bucka zeslizgnęły się w dół po szyi, co było przyjemne, lecz trochę załaskotało.

Ujęła jego twarz w obie dłonie i odsunęła na siłę od dekoltu bawełnianej bluzki. Chciała, żeby słuchał jej z uwagą.

Znajdę sobie jakieś zajęcie - powiedział, wzruszając ramionami. - Mam zręczne ręce. Widziałem tu niedaleko, w Salonie Masażu Queenie, że szukają kogoś do pomocy.

- U Queenie... Czy zdajesz sobie sprawę, co to za miejsce?

- Jasne. Chodzi się tam na masaż pleców. Moim zdaniem na spacerze w lesie ludzie prędzej by się pozbyli napięć, no ale tu jest w końcu Nowy Jork. - Znów wzruszył

ramionami. - Dopóki nie znajdę czegoś lepszego, mogę i masować plecy.

- Masować plecy? Buck...

Parsknął śmiechem, porwał ją w objęcia, okręcił w powietrzu i głośno pocałował.

- Przecież na mnie nie narzekałaś. - Rozbawiło go jej zdumienie, którym dała do zrozumienia, że uważa się za osobę bardziej niż on bywała w świecie. - Nie dbam o to, co będę robił. Coś sobie znajdę. Przywyknę do Nowego Jorku. Zależy mi tylko na tym, żeby cię mieć przy sobie.

Znów ją pocałował. Pozwoliła, ale tylko raz.

- Ja też chcę być przy tobie, kochany, ale teraz oboje jesteśmy bez pracy i nie zdołamy zarobić na życie. Będziemy zbyt słabi, żeby się kochać, i umrzemy w łóżku.

- Coś ty powiedziała?

- Że umrzemy w łóżku.

Nie to! Co miałaś na myśli, mówiąc, że oboje jesteśmy bez pracy? Ty też się zwolniłaś?

- Wyobraź sobie. - Odsunęła się nieco i wskazując ręką pokój, powiedziała z uśmiechem: - Aż tak oszczędna nie jestem. Tak u mnie wygląda, kiedy się przeprowadzam.

- Przeprowadzasz się?

Kiwnęła głową.

- Zaproponowano mi przecież świetną posadę w pewnej małej fabryce włókienniczej w Kentucky. Zdecydowałam się przyjąć ofertę.

Przeżycia, które malowały się jeszcze przed chwilą na jego twarzy: żal, smutek i ból zdawały się gdzieś rozpląwać. Wargi rozciągnęły się w uśmiechu, zielone oczy rozbłysły. Nagle opuściło go całe napięcie. Istniało niebezpieczeństwo, że powodzenie uderzy mu do głowy i przemieni go w pewnego siebie samca. Żadna kobieta przy zdrowych zmysłach nie życzyłaby sobie takiej transfor-

macji. Lecz Anne mimo wszystko się uśmiechnęła. Stwierdziła, że nawet wtedy będzie miała bzika na jego punkcie.

- Dlaczego nie powiedziałaś, że mnie kochasz? - spytał.

Postąpił dwa kroki do przodu i uważnie patrzył jej w oczy.

- A dlaczego ty tego nie zrobiłeś? - odpowiedziała pytaniem na pytanie.

Wyglądał na zdziwionego.

- Mówilem, skarbie. Sto razy. Na sto rozmaitych sposobów. Pamiętasz?

Skinęła głową w milczeniu. Oczywiście pamiętała. Czowała tę miłość w każdym pocałunku, w każdym spojrzeniu, w dotyku, w drzeniu ciała, kiedy się kochali. Nie potrafił mówić o swoich uczuciach. Wolał je wyrażać w działaniu.

- Widzisz, dokąd człowieka prowadzi niepoohamowana duma? - Odgarnął pasma włosów, które jej spadały na twarz, druga ręka zaślizgnęła się po biodrze i w zaborczym geście znieruchomiła na pośladku dziewczyny. - Usychałaś tu z tęsknoty, a przez ten czas mogliśmy się kochać.

- Usychałam? Ja?

- A nie? Bo ja strasznie - powiedział cicho, przygarbiając ją jeszcze bliżej.

Więc dlaczego mnie nie powstrzymałeś? Dlaczego nie powiedziałaś, że mam zostać? - spytała, naiwnie żalując, że nie pędził za nią na lotnisko i nie błagał o powrót.

- Coś ty? Czy taki prosty facet z Kentucky ośmieliłby się dyktować cokolwiek nowoczesnej kobiecie z Nowego Jorku?

- Zdaje się, że już to kiedyś przerabialiśmy - ucięła, nie chcąc się wdawać w bezsensowne przekomarzanie.

Buck przez chwilę patrzył w inną stronę, a kiedy znów podniósł wzrok na Anne, w jego oczach zgasły iskierki

przekory. Patrzył na nią jak człowiek całkowicie bezbronny i czekający na pocieszenie.

- Jest mi strasznie przykro, Annie. Zrobiłem to wyłącznie dla twego dobra. Myślałem, że tego właśnie chcesz i będziesz szczęśliwa, jeśli pozwolę ci odejść.

- A ja chcę tylko ciebie, Buck. Przy tobie czuję się szczęśliwa.

- Za chwilę jeszcze bardziej cię uszczęśliwię- wymru-  
czał, przesuwając wargami po jej szyi, a ręką rozpinając  
bluzkę. - Jeśli jeszcze nie spakowałaś łóżka. - Po chwili  
pociągnął ją na podłogę, mówiąc: - Właściwie po co nam  
łóżko?

„Rzeczywiście, po co?” - zastanawiała się w jakiś czas  
potem. W Kentucky rzadko kładli się do łóżka, więc dla-  
czego w Nowym Jorku miałyby być inaczej? Ludzie są  
tylko ludźmi. Wiadomo, kim jest mężczyzna, a kim ko-  
bieta. Ale kiedy pokochasz chłopaka z Kentucky, zrozu-  
miesz, czym naprawdę jest miłość.